

**Rebizant-Siwilo Monika**

**Dziki rozmaryn**



*Mojej siostrze Marcie  
urodzonej 21 czerwca  
naszym córkom Kasi i Wiki*

*Ciemno od tajemnic, strach ile ich było,  
ogień i krew na ziemi pokrytej kulami  
i nagle dobry księżyc i las z jagodami,  
dziecko, co na wrzosach twarzyczkę złożyło*

**Ks. Jan Twardowski**

## Od Autorki

Drogi Czytelniku,

Jest takie miejsce w Puszczy Solskiej, w którym zatrzymał się czas. By tam dotrzeć, wystarczy zejść z piaszczystej wierzchowiny Wrzosowisk i podążać wciąż przed siebie, mając po prawej stronie zachody, a po lewej wschody słońca. Po wielu godzinach marszu, za olchowym uroczyskiem, zobaczysz wzgórze, zamknięte uściskiem dwóch wąskich strumieni. Po zwalonym drzewie, wdychając woń bagiennych roślin, wejdź ponownie na wierzchowinę, gdzie wśród trawy zarośli tkwią pozostałości dawno zapomnianego grodziska. Wsłuchaj się w ciszę lasu i szept strumieni. Może usłyszysz wołanie dusz uwiecznionych mocą prastarych sił pomiędzy niebem a piekłem. W owianym legendą królestwie Tego, Który Wie baśń bywa prawdą, a życie — zagadką. Jego moc, która przez stulecia decydowała o wędrówce ludzkich dusz, słabnie i zmierza ku zatraceniu, bywa jednak, że przemierza puszczańskie ścieżki pod postacią szarego wilka. To znak, że ponownie rośnie w siłę. Karmi się on bowiem wszelkim złem i nienawiścią ludzkiego serca. Nie lękaj się jednak i śmiało przemierzaj puszczański trakt. Na rozstaju dróg pochyl w zadumie głowę przed mijaną kapliczką. Wsłuchaj się w szmer wody i śpiew strzelistych sosen. Zaprowadzę Cię na Roztocze.

## PROLOG I

*Jest taka roślina na bagnach, która sprawia,  
Że widzimy to, co ukryte przed oczami zwykłych śmiertelników.  
Trujące ziele z rodziny włosowatych Ledum palustre —  
dziki rozmaryn.  
Pokryta jego pyłkiem borówka bagienna —  
Vaccinium uliginosum, łochynia, pijanica, durnica — wywołuje  
halucynacje...*

### **Puszcza Solska, czerwiec 1947 rok**

W dolinie Sopotu płonął ogień. Dym unoszący się znad ogniska roznosił po Puszczy zapach płonących cierniowych gałęzi, pokrzyw i ostów. Emilia i Sabina z uwagą słuchały słów matki. Przy ich bosych stopach leżały polne kwiaty, trawy i zioła, z których zwinnymi palcami wyplatały wieńce. Wpatrzona w ogień kobieta snuła cicho baśń, wrzucając w płomień sosnowe igły i szyszki. Nad wrzosowiskami unosił się odurzający, żywiczny zapach.

— *Dawno temu, przed wiekami* — mówiła — *na wzgórzu opasanym wodami dwóch strumieni stał warowny gród, którego nie zmożły przez lata siły wroga.*

*Żyła w nim, wraz z rodzicami, piękna dziewczyna imieniem Tanewa. Mijały lata i zmieniały się pory roku. Nic nie zakłócało*

*miłości i zgody, która ich łączyła. Lecz pewnej zimy do bram ich domostwa popukała śmierć. Matka Tanewy przywołała do siebie córkę.*

*— Oto twoje wiano, Tanewo — drżącymi dłońmi podała jej księgę. — Przeczytaj ją uważnie, a zapisane w niej słowa wypełniaj z mądrością. W tobie, córko, jedyna nadzieja... Ojciec kocha mnie nad Życie. Kiedy umrę, pogrzy się w rozpacz. Nie zwlekaj, aż Zgaśnie na twoich oczach i zatraci chęć do życia. Idź na bagna i narwij kwiatów dzikiego rozmarynu w rozświetloną blaskiem księżycy Noc Kupały. Przygotuj z nich wywar tak, jak tu napisano, i gdy na niebie ukaże się słońce, podaj go ojcu. Tylko w ten sposób zapomni o mnie i otworzy serce na nową miłość. Tego pragnę. Niech będzie szczęśliwy.*

*Po tych słowach zamknęła oczy i umarła.*

Marianna przerwała opowieść i z powagą spojrzała na przybrane córki, podobne do siebie niczym dwie krople porannej rosy. Urodę odziedziczyły po Róży. Obie miały ogromne niebieskie oczy i twarzyczki usiane jasnymi piegami. Gdy się śmiały, na ich policzkach tworzyły się urocze dołeczki. Oddała im całą siebie i kochała jak własne dzieci, a one odwzajemniały jej tym samym. Anioły Snu szeptały, że nadszedł czas, by Emilka i Sabina poznały swoje przeznaczenie. Taka też była wola Róży i Marianna chciała ją wypełnić.

*— I stało się, jak powiedziała... — podjęła opowieść. — Na Zamkowym wzgórzu zapanowała żaloba, a rycerz nie umiał zapomnieć ukochanej zony. Jego lśniące dotąd, hebanowe włosy przypominać zaczęły pióra dzikich gołębi gnieźdzących się w zamku. Z dnia na dzień coraz szczelniej zamykał się w skorupie swojego cierpienia. Tanewa widząc smutek ojca, postanowiła pomóc mu odnaleźć w życiu nową miłość, by przedłużyć puszczański ród Gołdapów. Gród*

*potrzebował męskiego dziedzica, a Tanewa ślubowała czystość i wytrwanie w panieństwie do końca swych dni...*

*Nastala wiosna, a za nią, kroczyło lato. Śniegi już dawno stopniały, a serce rycerza Goldapa biło coraz słabiej.*

*— Zrobię, co przyrzekłam — zapłakała Tanewa. Nie chciała, by ojciec zapomniał matkę, lecz nie było innego sposobu... Otworzyła starą księgę i z uwagą przeczytała zapisane w niej słowa. Potem długo spoglądała w niebo, odczytując znaki, które w niej znalazła. Słowo po słowie. Tak jak obiecała. Wspomnienie matki dodawało jej odwagi. Nadchodził właściwy czas, by spełnić jej prośbę. Księżyc odwiecznym prawem natury, na trzy noce umarł dla świata i Tanewa czekała cierpliwie, aż ponownie się narodzi- Srebrny bochen dostojnie wyłonił się z ciemności w pradawną Noc Kupały. Tanewa wzięła wiklinowy kosz i ruszyła na bagna.*

*Wędrowała przez leśne ostępy wiele godzin. Unikala przetartych szlaków i omijała z daleka śródleśne osady, las jednak tętnił życiem Życiem. Dokoła trwała tajemnicza noc płonących ognisk, prastarych pieśni, dziewczęcych marzeń wplatanych niczym ruta w panieńskie wianki rzucające na wodę. Tanewa nie ustawała w drodze, choć z oddali wołały ją radosne płomienie sięgających nieba ognisk. Niemal widziała, jak skakali przez nie piękni, nieustraszeni młodzieńcy. Dziewczeta, nucąc tajemnicze pieśni, rzucały na wodę swe ruciane wianki, a chłopcy je chwyтали, by w zamian odebrać od dziewcząt gorące pocałunki na miękkim posłaniu z zielonych mchów. Ich piski i śmiechy niosło w głąb Puszczy gadatliwe echo. I ona miała marzenia, lecz z rozwagą odsunęła od siebie pokusę Kupalnej Nocy. Musiała ratować ojca. W jej rękach spoczywał los świetnego rodu Goldapów.*

*Ogień przygasł i Marianna wrzuciła w płomienie garść szyszek.*

— Czy była wiedźmą jak ty, mamó? — zapytała Emilia, pracowicie wyplatając swój wianek.

— Tak... — uśmiechnęła się do córki. — Jej serce przepełniała miłość do matki, która nauczyła ją spoglądać w przyszłość.

— Czy dobrze jest znać przyszłość, matko? — odezwała się Sabina, która od jakiegoś czasu nieruchomo patrzyła w ogień. Niedokończony wianek położyła na kolanach.

— Dar jasnowidzenia jest błogosławieństwem, gdy z pokorą przyjmujemy zapisany nam w gwiazdach los. Przekleństwem, gdy zapagniemy zmieniać jego wyroki.

— Mów dalej, matko! — prosiła Emilia. — Co się stało potem?

— *Tanewa знаła drogę, letnią porą, przed laty, przesyła ją Z matką. Wędrując przez Puszcę w postukiwaniu leczniczych roślin i krzewów, bardzo oddaliły się od wzgórza. Kiedy wracały, kosze wypełnione po brzegi wonnymi ziołami były tak ciężkie, że co jakiś czas musiały odpocząć. Idąc wzdłuż pokrytej spienionymi szypotami rzeki, trafiły na śródleśną polanę, malowniczo porośniętą wrzosami.*

— *Jak tu pięknie!* — zachwyciła się dziewczyna.

— *I niebezpiecznie* — odpowiedziała szeptem matka. — *Spójrz tam...* — wskazała dłonią rzekę. — *Starzy ludzie powiadają, że pod szypotami znajduje się podziemne królestwo Tego, Który Wie...*

*Tanewa słyszała o nim wiele przerażających opowieści. Złęczniona, przytuliła się do matki.*

— *Nie bój się, córeczko* — uspokoiła ją kobieta. — *Jego bramy otwierają się tylko raz w roku, w pradawną Noc Kupały, gdy krzew o białych płatkach pokrywa swoim pyłkiem bagienną borówkę...*



*Opuściły wówczas szybko leśną polanę. Tej nocy Tanewa postąpiła podobnie. Zostawiła za sobą szumiącą rzekę i weszła na bagienne tereny Puszczy.*

*— Kim tak naprawdę jest Ten, Który Wie, matko? — pytała, gdy bezpiecznie dotarły do grodu.*

*— Nikt tego jeszcze nie odkrył — odrzekła rodzicielka. — jedni mówią, że jest prastarym duchem Puszczy, inni, że panem podziemnego grodu, jeszcze inni twierdzą, że rozgniewał okrutnie bogów, za co uwięzili go na bagnach i tylko wtedy, gdy przez noc nie widać srebrnej tarczy księżyca, przemierza puszczańskie ścieżki pod postacią szarego wilka...*

*— A ty jak myślisz matko? — dociekała Tanewa. — Kim według ciebie jest Ten, Który Wie?*

*Matka zamyśliła się. W końcu rzekła.*

*— W jednym wszyscy się zgadzają. Ten, Który Wie został stworzony na podobieństwo mężczyzny, przez co odczuwa nieustannie pragnienie obcowania z kobietą. Co roku w Noc Kupały przemierza Puszcze w poszukiwaniu kochanki.*

*Tanewa zarumieniała się. Tyła jeszcze dzieckiem i niewiele wiedziała o miłości. O nic więcej nie pytała.*

*Marianna ukradkiem obserwowała dziewczęta — one także zdawały się zawstydzone. Emilia spuściła oczy i jeszcze szybciej wyplatała wianek. Sabina ruszyła w jej ślady. Od rzeki powiał wiatr i płomień strzeliły w niebo czerwonym blaskiem. Żywiczny zapach sosnowych igieł wzbił się w górę i popłynął z wiatrem w dolinę.*

*— Tanewa przedzierała się przez gęsty las. jej kruchą postać oświetlał co jakiś czas sunący po niebie księżyc — mówiła dalej Marianna. — W końcu dotarła na miejsce. Poznała, że jest u celu po tym, że ziemia pod jej stopami niebezpiecznie ugięła się przy każdym kroku.*

Woń bagiennych roślin wypełniała powietrze. Uważnie spoglądała pod nogi i pośród przegnitej zieleni mchu dostrzegła w końcu krzewy dzikiego rozmarynu. Zerwała pełne garście kwiatów i ułożyła w koszyku. Noc przemijała szybko i dziewczyna ruszyła w powrotną drogę. Musiała podać wywar ojcu przed pierwszym blaskiem jutrzeńki.

Lecz nagle księżyc skrył się za chmurami i Puszczy. spowiała nieprzenikniona ciemność. Tanewa nie mogła zdołać kroku. Księża mówiła wyraźnie, by podążać za księżycem, a gdy zniknie, cierpliwie czekać, aż ponownie ukaże się na niebie. Tak też Zrobiła. Czas płynął wolno. Zmęczenie dawało o sobie znać. Dziewczyna poczuła dojmujący głód. Od rana niczego nie miała w ustach. Przykucnęła, by odszukać dłońmi bagiennie jagody. Narwała po omacku pełną garść i uniosła do ust. Nie potrafiła się im oprzeć. Słodka borówka szybko złagodziła uczucie głodu.

— Czego szukasz w moim królestwie i dlaczego zrywasz owoce należące do mnie? — usłyszała łagodny, męski głos.

Trwoga przeszła serce Tanewy. Próbowwała dostrzec w ciemnościach, kto do niej przemawia, lecz w pobliżu nie było nikogo. Księżyc wciąż przesłaniały chmury i Puszcę otulał mrok.

— Kim jesteś i czego chcesz Ośle mnie? — szepnęła.

— Jestem Tym, Który Wie — odpowiedział. — Twoja uroda poruszyła moją tęsknotę za żoną, której nie mam. Ty nią zostaniesz Tanewo. Bądź gotowa, gdy pojawię się, by zabrać cię do mego królestwa. Taka jest cena za owoce, które zerwałaś.

— Nie będę twoja, panie — szepnęła przerażona. — Za jagody Żądaj wszystkiego, oprócz mnie ~ prosiła.

— Będzie, jak powiedziałem — usłyszała. — A teraz zaniosę cię tam, skąd przyszedłaś, najmilsza.

Nagły blask oślepił ją. Puszcza rozstała się przed nimi, ukazując miękki dywan z wrzosów. Włosy czesał jej wiatr, gdy jak

*na skrzydłach pokonywała przestrzeń na grzbiecie potężnego wilka. Czula jego szorstką, pachnącą lasem sierść. Po chwili popadła w omdlenie.*

Ognisko znowu przygasło i od Sopotu powiało chłodem. Bliźniaczki z niepokojem rozejrzały się wokół siebie. Miały bose stopy i zwiewne sukienki, zbyt cienkie na tę porę dnia. Drżąc z zimna, objęły się ramionami. Promienie zachodzącego słońca ślizgały się po ruinach starej papierni, wypełniając je czerwienią.

Marianna wrzuciła w palenisko grubą gałąź i po chwili zrobiło się cieplej. Emilia i Sabina usiadły bliżej ognia, opierając się o siebie plecami. W dłoniach trzymały ukończone wianki. Wyglądały tak spokojnie jak nigdy dotąd. Baśń pobudziła ich dziecięcą wyobraźnię. Tylko Marianna wiedziała, że ta opowieść jest prawdziwa.

— Czy Tanewa zdążyła na czas, po tym jak spotkała wilka? Opowiadaj, mamoo... — prosiły zgodnie.

Marianna spojrzała w niebo. Słońce powoli zasypiało, przybierając barwę czerwieni. Miała dokładnie tyle czasu, ile potrzeba, by spełnić ich prośbę. „Przecież to ich wielki dzień — pomyślała. — Dzisiaj z niewinnych dzieci staną się wiedźmami”. Mówiła więc dalej.

*Tanewa obudziła się u stóp wzgórza i była pewna, że śniła.*

— Słońce niebawem wejdzie, a wywar niegotowy — wyrzucała sobie w myślach. — jak mogłam pozwolić, by zawładnął mną sen!

*Zebrała do koszyka rozsypane wokół kwiaty, przebiegła przez drewniany most i weszła do grodu. Niebo przybierało różowy odcień. „Czy zdążę? Ogień w kominie ledwie się żarzy, a czas nagli” — myślała. Wrzuciła w palenisko garść suchych gałęzi- Woda w kociołku Zawrzała. Wtedy wsypała do niego kwiaty.*

— Witaj mi Swarożycu, boże o jasnym licu... — modliła się do słońca. Zdążyła na czas. Woń dzikiego rozmarynu wypełniła garnkowe komnaty. Tanewa podała wywar ojcu i patrzyła ze smutkiem pomieszanym z radością, jak spełnia się woła matki. Rycerz Gołdap Z każdym kolejnym łykiem, zostawiał za sobą przeszłość. Oczy rozbłyły mu dawnym blaskiem, pierś unosiła w pełnym oddechu, w żyłach znowu zawrzała krew. Jeszcze tego samego dnia wyruszył na spotkanie nowej miłości, zaciskając w dłoni flakonik z miłosnym wywarem. Ze wzgórza żegnała go córka.

Wtedy zły los powtórnie zapukał do bram zamku. Córka, jak niegdyś matka, zrozumiała to pierwsza. Usłyszała głos, który ją wzywał.

— Zejdź do mnie, ukochana. Sprawię, że będziesz wieczna... Tanewa spojrzała w dół i zadrżała. Zrozumiała, że nie śniła.

Popelniła niewybaczalny błąd, za który przyjdzie jej słono zapłacić. Zapomniała o przestrodze matki. Nie wolno zrywać niczego, co nie stanowi celu wędrówki. A Tanewa właśnie to uczyniła w magiczną noc... Słodkie jagody na wieki przypieczętowały jej los i oto upomniał się o nią Ten, Który Wie. Czekał na nią pod murami zamku pod postacią szarego wilka, jej czas na ziemi właśnie dobiegł końca.

Z rozpaczą powiodła wzrokiem po zamkowym wzgórzu. Wiedziała, że musi posłuchać wezwania. Ten, Który Wie miał nad nią władzę, której nie zdoła się oprzeć. Nie bała się śmierci, lecz mroku podziemnego królestwa, do którego nie docierał najślabszy promyk słońca. Posłuszna woli oblubieńca po raz ostatni spojrzała w niebo. Zacisnęła w dłoni kwiat dzikiego rozmarynu i skoczyła z wysokiej baszty w nurt wijących się pod zamkiem strumieni.

Imieniem pięknej Taneny, nazwano rzekę, w której zginęła...

— Straszne rzeczy opowiadasz, matko — szepnęła Sabina.

— Boję się - drżała Emilia.

Przypadły do matki i położyły głowy na jej kolanach.

— Nie bójcie się — gładziła ich długie, falujące włosy.

- Życie będzie płatać wasze drogi, lecz musicie wyjść mu naprzeciw. Gdy staniecie na rozdrożu, nie wiedząc, którą z dróg podążać dalej, wybierzcie zawsze tę ciernistą, pełną kamieni, niosąc swój krzyż na chwałę Boga. Druga z nich, choć usłana aksamitem zielonej trawy, prowadzi niezmiennie do gorejących wrót piekieł. A teraz chodźcie za mną

- powiedziała, podnosząc się z ziemi. — Pójdziemy nad Sopot, by w jego nurcie odczytać wyroki przeznaczenia...

## PROLOG II

*Nie o zemstę, lecz o pamięć wołają ofiary..*

### **Puszcza Solska, czerwiec 2013 rok**

Ostrze z impetem rozcięło leśne poszycie. 'Ziemia ustępowała lekko po deszczu. Opór stawiały jedynie splecione korzenie drzew, połączone pajęczyną podziemnych macek. Wilgotny zapach sunącej w dole rzeki wypełniał płuca starego mężczyzny, który odsypywał na bok kopczyki żółtawego piachu. Jego ruchy były miarowe i opanowane. Wykrot był prawie gotowy na przyjęcie gościa. Szwabskie ścierwo spocznie tam, gdzie jego miejsce.

Pracując, wciąż się uśmiechał. Był znowu dzieckiem, małym chłopcem bawiącym się w piaskownicy. Spoglądał na oblepione krwią, liśćmi i ściółką ciało, po którym maszerowała niespiesznie armia czerwonych mrówek i sycił oczy tym wspaniałym widokiem. Wciąż nie mógł uwierzyć, że zwierzyna tak głupio wpadła w jego ręce.

Krzywa sosna, która niemal wisiała nad piaszczystą skarpą, dodawała tej chwili specjalnej oprawy. Spływający w dolinę piasek odsłaniał nagie, poskręcane korzenie sosny, pod którymi znajdowało się przestronne wgłębienie, niewidoczne zarówno od strony lasu, jak i rzeki. Idealnie

nadawało się na grób. Często tu przychodził, siadał na skarpie i patrzył. Karmił pamięć nienawiścią, a ona dodawała mu sił. Aż nadszedł moment, na który tak długo czekał.

Cios zadał celnie i skutecznie. Był aż nadto humanitarny. Śmierć przyszła natychmiast, a powinna była boleć, zwłaszcza jego!

Radość tak go pochłonęła, że wyprostował się zbyt gwałtownie. Ból w krzyżu przygiął go do ziemi niczym suchy patyk. Mężczyzna przeklinając pod nosem, oparł się o drzewo. Nienaturalnie skrecony jak mechaniczna zabawka, z której wyrzucono baterie, czekał, aż niemoc przejdzie. Jednocześnie odezwał się stary ból w nodze, pulsował i narastał, lecz do niego już dawno przywykł. Nikt nawet nie podejrzewał, że kiedyś jego noga nadawała się do amputacji. Miał szczęście, bo trafił w ręce prawdziwego medyka, może nawet cudotwórcy. O wiele dokuczliwsza była starość i nowe dolegliwości, nad którym nie panował, tak jak teraz. Bardzo go to złościło.

Z pnia sosny zeskoczyła wiewiórka, przycupnęła u jego stóp i zaciekawiona łypnęła na niego okiem. Rozbawiła go, przez co ból trochę złagodniał. Powoli się wyprostował, lecz zastygł w bezruchu. Przypominał stare, przydrożne drzewo, skrzypiące przy łada wietrzyku. Sekundy wlokły się i wydłużały. Musiał wytrzymać, bo inaczej nie ruszy się z miejsca.

Wiewiórka stała na tylnych łapkach i patrzyła. — Basia, basia... — zawołał.

Ostrożnie, by jej nie spłoszyć, ściągnął rękawicę i wyjął z kieszeni parę orzechów. Zawsze nosił je przy sobie, tak na wszelki wypadek. Położył orzeszek na otwartej dłoni

i czekał cierpliwie. Wiewiórka natychmiast zwąchała ucztę. Zakręciła się wokół własnej osi, jakby goniąc puszysty rudy ogonek, potem wdrapała się na sosnę i dopiero z niej miękko wylądowała na ramieniu mężczyzny, zsunęła się do dłoni i skradła orzeszek. Trzymając go w pyszczku, wdrapała się ponownie na drzewo i pobiegła do dziupli. „Pocieszne stworzonko” — pomyślał.

— Masz jeszcze, basia... — Rzucił orzechy na ziemię. Wiewiórka odszukała przysmaki wśród igliwia i zniknęła w dziupli.. Odprowadził ją wzrokiem, a gdy nie wychylała się długo, ponownie spojrzął na trupa. Nie przyszedł tu przecież, by dokarmiać wiewiórki. Los rozdawał karty niespiesznie, lecz sprawiedliwie.

Założył rękawicę i wrócił do pracy. Od dawna nie czuł się tak silny, radosny i spełniony. Za chwilę dół będzie odpowiedni. Jeśli jest zbrodnia, musi być i kara. Żaden trybunał tego nie załatwi. Już wtedy przysiągł, że ich pomści i dotrzymał słowa.

— Czas na ciebie — warknął. Podeszedł do ciała, przeturlał je nogą na krawędź dołu i jednym zdecydowanym pchnięciem wrzucił pod konar. Opadło na dno z głuchym plaśnięciem. Zadowolony otarł przedramieniem spocone czoło. Czuł, że wszystko będzie dobrze, lecz przeszłość zapuściła w nim korzenie, szeptała, by był ostrożny, tak na wszelki wypadek. Zwykle słuchał wewnętrznego głosu. Dzięki niemu przetrwał najgorsze.

Efekt był zadowalający. Postanowił, że nie będzie maskował grobu. Chciał, by leśne zwierzęta wyczuły ścierwo i pożarły je niczym padlinę. Złożył saperkę i schował do wojskowego plecaka, który przerzucił przez ramię. Cię-



zar starej broni przyjemnie mu ciążył. Teraz ma nowe pamiątki.

Stał jeszcze chwilę, wciągając w płuca znajomy zapach lasu. Od strony bagien powiał letni wiatr, rozwiewając jego białe jak mleko, miękkie włosy. Puszczą go wołała, a on nie umiał i nie chciał sprzeciwić się jej wezwaniu. Ostatni raz spojrział w grób. Odchodząc, splunął do jamy. Postanowił uczcić ten dzień na swój własny sposób. To dobry czas, by odwiedzić uroczysko.

Znał drogę na pamięć. Mógł pokonać ją z zamkniętymi oczami, w środku bezgwiazdnej nocy, czy, jak teraz, w zasnuty mgłą poranek. Szedł równym krokiem i oddychał pełną piersią. Rześkie powietrze cudownie wypełniało mu płuca. Wiosna była słoneczna, a zatem lato, które dzisiaj się rozpocznie, będzie wyjątkowo upalne.

Wchodził coraz głębiej w las. Poszycie z każdym krokiem ugięło się pod ciężarem jego stóp. Wśród olszyn dostrzegł bielejące kępy dzikiego rozmarynu, w pobliżu którego borówka zawsze była najdorodniejsza. Nie przyszedł po kwiaty, jednak pochylił się ostrożnie i zerwał parę garści gałązek bagna, po czym upchnął je w plecaku. Przydadzą się na odstraszanie moli. Jego wzrok przykuły jagody, których chciał dzisiaj skosztować. Były dojrzałe i dorodne jak wtedy, przed laty, gdy zdołał oszukać śmierć. Już się jej nie bał.

Od pamiętnego czerwca 1944 roku, stała się jego towarzyszką, cichym współnikiem, wyrozumiałym przyjacielem. Ściągnął rękawice i zerwał garść granatowych owoców. Trzymał je na otwartej dłoni. W końcu zamknął oczy i wsypał jagody do ust. Rozkoszował się ich słodyczą.

Smakowały tak samo jak wtedy, gdy spróbował ich po raz pierwszy. Słońce wspinało się po niebie coraz wyżej, a on patrzył zamyślony w głąb uroczyiska, gdzie znajdowały się tak ważne dla niego miejsca. „Trójka” najbliżej, tuż przy bagnach, dalej „Dwójka”, „Jedynka” najbliżej leśnego traktu.

Oczy mu zwilgotniały. Tyle dotkliwych wspomnień, które niezmiennie go bolały, lecz od których nigdy nie uciekał. Przeciwnie, pielęgnował je w sobie, rozdrapywał rany i cierpiał. Przypominały mu o zemście, której dzisiaj dokonał.

Echo niosło donośny dźwięk kościelnego dzwonu. Drgnął, jakby zbudzony ze snu. Dzwon wzywał wiernych na poranną mszę. To już ta godzina? Powinien wracać. Zerwał jeszcze trochę jagód, wyprostował się ostrożnie i poprawił na ramieniu wojskowy plecak. Za sobą zostawił bagna.

Szedł coraz szybciej i po kilku minutach marszu wszedł w brzozowy zagajnik. Lubił te smutne, partyzanckie drzewa o białej korze. Chciał, by kiedyś rosły nad jego grobem. Za nimi biegła w stronę józefowskich kamieniołomów dróżka. Przecinała obok starego młyna most nad ledwie widoczną w zaroślach Czarną Rzeczką. Serce rzeczki biło na bagiennym uroczyisku, na Czartowym Polu strumyk wpływał do Sopotu. Od Wrzosowisk dzielił go niewielki odcinek leśnej drogi. W dole, bliżej rzeczki znajdowała się polana.

Przechodząc przez drewniany mostek, uważnie rozejrzał się dokoła. Bywało czasami, że jakiś zbłąkany turysta lub inny amator leśnych wędrówek odpoczywał w tym

miejscu, studiując mapę, lub robił zdjęcia, gdy przypadkiem odnalazł ukrytą wśród zarośli figurkę św. Jana Nepomucena.

Okolice od wielu lat były niemal bezludne. Staruszkowie nie wędrowali po lesie. Czas tutaj zatrzymał się i nie zamierzał biec do przodu. I to mu odpowiadało. Trzymało przy życiu. Będzie miał co wspominać, gdy usiądzie w ciepłym kącie kuchni z kubkiem gorącej herbaty w dłoniach.

W pobliżu nie dostrzegł nikogo. Las szumiał cicho, a jego szmer splatał się z płynącym z oddali szumem wodospadów. Sopot hałaśliwie przetaczał swoje wody, Czarna Rzeczka płynęła spokojnie. Mężczyzna wiedział dobrze, że spokój jest zawsze pozorny.

W bagiennych ostępach Puszczy tkwiły od wieków nie-ujarzmione przez człowieka siły przyrody i zjawiska, które nie poddawały się upływowi czasu, były wieczne w swojej potędze i nieustannie obnażały bezsilność człowieka. Mieszkańcy śródleśnych osad bronili się przed nieznanym, stawiając na błotnistych uroczyskach i śródleśnych polanach figury i kapliczki Jana Nepomucena. Święty służył ludziom, ratując od diabelskich sideł, błędnych ogników i wszelkich okrutnych potęg. Trwał na owianych mrokiem polanach, słuchał pohukiwania puszczyków i sowych lamentów, odważnie wypełniając swoją misję.

Polanę wokół młyna porastała smukła, błyszcząca od rosy trawa. Zanim koryto rzeki odcięło figurkę od lasu, znajdowały się tutaj słynne rozstaje dróg, po których — jak powiadano - włóczyły się duchy samobójców.

Mężczyzna przystanął, przeżegnał się i, jak zwykł to czynić zawsze, odmówił wieczne odpoczywanie.

Potem wszedł do młyna i po zmurszałych, skrzypiących ze starości schodach wspinał się na górę. Stopnie uginały się niebezpiecznie pod jego ciężarem, lecz zdawał się tego nie słyszeć. Wchodził powoli i ostrożnie. Poddasze tonęło w gęstych jak mgła pajęczych sieciach rozciągniętych na całej przestrzeni niczym upiorne hamaki.

Tłuste krzyżaki przyglądały się intruzowi jakby zdziwione jego wizytą. Jedne wisiały nieruchomo, inne trochę od niechcienia, leniwie przesuwwały się do uwięzionej, brzęczącej żałości zdobyczy. Otrząsnął się z obrzydzeniem. Od dziecka bał się tych miniaturowych stworów żywcem wyjętych z nocnych koszmarów, lecz miał tym samym pewność, że nie znajdzie bezpieczniejszego miejsca, by ukryć swoje trofea.

Marzył o tym, by jak kiedyś Indianie, zapiąć pas ofiary wokół bioder i zawiesić na nim niczym skalpy sztylet i pierścień.

— *Meine Ehre heißt Treue*. Moim honorem jest wierność — powtórzył szydercze słowa wygrawerowane na skórzanym pasie po obu stronach klamry w kształcie trupiej czaszki. Podobna szczyrzyła zęby z grubego pierścienia Niemca.

Przeszedł do najdalszej części poddasza, przyklęknął, wyjął z plecaka trofea i odsunął zmurszałą deskę. Ułożył wszystko ostrożnie, obok wcisnął złożoną saperkę. Na razie nie będzie mu potrzebna. Lecz kto wie? Może los będzie łaskawy i postawi na jego drodze także innych. Czas uciekał jednakowo dla niego, jak i dla nich, jednak czuł, że ma nad nimi przewagę. Nosił w sobie tajemnicę, której sam do końca nie pojmował. Przypominał mu o niej jeszcze obecny w ustach słodki smak bagiennych borówek.

Najważniejsze, że wszystko potoczyło się po jego myśli. Zasunął deskę i trzymając przed sobą plecak, pochylony przeszedł labirynt pajęczyn i po skrzypiących, spróchniałych schodach zszedł na dół. W poczuciu dobrze wykonanej misji wracał do Wrzosowisk.

W starym, wojskowym plecaku niósł przedmiot, z którym nigdy się nie rozstawał. „*Swoim Wilkom wdzięczna Ojczyzna- 1863*”. Znał tę inskrypcję na pamięć, lecz dopiero teraz stał się jej godny. Dokonał zemsty, zatopił stalowe ostrze w ciele wroga i pomścił śmierć swoich bliskich. Już nie był zającem kryjącym się w zaroślach, lecz wilkiem, który obnażył kły.

„Jakie piękne jest życie, gdy triumfuje sprawiedliwość!” — pomyślał.

*Pan Bóg snami pisze naszą przeszłość i przyszłość*  
— Juliusz Słowacki

**Wrzosowiska, sierpień 2013 r.**

**Emilia**

Wrzosowiska spały. Wokół panowała cisza, tylko w oddali szumiały wodospady. Po śmierci matki smutek przygiął mnie do ziemi. Kolejne dni pokazały, że będę musiała znieść dużo więcej. Wznałam swój grzech i z wiarą podążyłam na swoją małą Golgotę. Poprowadziłam na nią także swoich bliskich. Taką pokutę wyznaczył mi los. Przyjęłam to z pokorą.

— Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina! Obiecałam Mariannie, że nie będę płakać, lecz łzy nie

słuchały, wypełniały mi usta słonym smakiem. Twarz Marianny, jej drobna, krucha postać i spracowane dłonie... wszystko to odeszło na zawsze, przysypał je cmentarny piach. Bardzo chciałam przywołać obraz swojej prawdziwej matki, Róży Sokół, lecz pamięć odmawiała mi posłuszeństwa.

— *Podaj mi swoje dłonie, Emilko* — mówiła Marianna w noc poprzedzającą swoje odejście do wieczności. — *Przekażę ci siłę. Będzie ci potrzebna.*

Matka żegnała się ze mną. Umrze i zostawi mnie tutaj zupełnie samą. Nigdy już nie wróci. Nie dotknę jej. Nie usłyszę jej głosu!

Palce Marianny z wielką siłą zacisnęły się na mojej dłoni.

— *Opanuj się, dziecko* — powiedziała surowo. — *Śmierć jest wpisana w nasze życie, jest jego nierozdzielną częścią. Nie pielęgnuj Żałoby, tylko pamięć o mnie. W ten sposób pomożesz mi odejść. Łzy Żyjących są jak kamienie dla tych, którzy umarli i chcą wzlecieć ku światłu. Dlatego, gdy zamknę oczy, nie oplakuj mnie. Myśl o tych, którzy zostają. Zło nie skryło się w mrokach przeszłości, lecz rośnie w siłę i niebawem z powrotem spróbuje zapanować nad światem.*

Zadrżałam. Czy choroba przed śmiercią zupełnie zmała jej umysł? Słuchałam jednak z uwagą. Matka przez całą noc mówiła rzeczy przedziwne, tajemnicze. Przeplatała je legendami i przypowieściami, które dobrze znałam, ale również takimi, które słyszałam po raz pierwszy, jakby chciała w ciągu tej ostatniej, ziemskiej nocy, nauczyć mnie wszystkiego. W końcu wyczerpana opadła na poduszki.

— *Na mnie już czas* — westchnęła. — *Muszę odpocząć.* Pochyliłam głowę, a ona przyciągnęła mnie do siebie i ucałowała.

— *Pamiętaj, Emilko* — wciąż zdrabniała moje imię, jakbym była małą dziewczynką — *musisz być silna i odważna. Musisz otworzyć swoje serce, duszę i umysł na to, co się niedługo stanie. Bądź czujna i słuchaj tego, co podpowie ci serce.*

Skreśliła na moim czole znak krzyża i zamknęła oczy.

Księżycy nie było widać, lecz niebo zdawało się tym nie przejmować. Otulało wieś granatowym płaszczem przetykanym gwiazdami. Jedna z nich świetlistą smugą opadała na ziemię. Czy skrywała cząstkę duszy Marianny?

Ciszę nocy zakłócił nagle szmer. Wstrzymałam oddech. Ktoś szedł w moją stronę. Nie byłam gotowa, by spojrzeć Jakubowi w oczy... Odetchnęłam z ulgą, gdy z mroku wyłoniła się znajoma postać Józefa.

— Mogę przy tobie usiąść, Emilko?

Skinęłam głową i przesunęłam się na ławeczce. Józef usiadł obok mnie. Jego bliskość sprawiła, że coś chwyciło mnie za gardło.

— Tak mi wstyd... — poskarżyłam się.

— Najgorsze masz już za sobą — z czułością pogładził moją dłoń.

— Mylisz się, kochany. — Westchnęłam. — Czuję, że najgorsze dopiero przed nami.

— Cokolwiek się wydarzy, będę przy tobie - zapewnił, otaczając mnie ramieniem.

Przytuliłam się do niego z ufnością. Był świadkiem ostatnich wydarzeń. Nie pojmował tego, co się stało, i tego, co odsłonił los. Lecz nie szukał na siłę odpowiedzi.

Na ziemię spadła kolejna gwiazda.

— Pomyślałaś życzenie? — Wskazał dłonią niebo.

— Przez całe życie wypowiedziałam ich tysiące, lecz żadne się nie spełniło — poskarżyłam się.

— Zadbam o to, by wszystko w twoim życiu zmieniło się na lepsze. I pomyślę życzenie za ciebie. Za nas — poprawił się.

Poczułam ciepło wokół serca. Józef stał się moją opoką. Mężczyznę, którego wsparcia i siły tak bardzo potrzebowałam. Decyzję o wspólnej starości podjęliśmy zupełnie niedawno, a potem, w obliczu wszystkich wydarzeń, na śmierć o niej zapomnieliśmy. Zapamiętałam ten dzień



bardzo dokładnie. Marianna uciekła do lasu, a ja, biegnąc za nią, złamałam nogę. Józef wszystkim się zajął.

— O nic się nie martw, Emilko — pocieszał mnie, gdy wróciłam do domu z nogą uwięziona w gipsie. — Nie zostawię cię w potrzebie. Oboje zbyt dużo przeszliśmy w życiu i tak naprawdę mamy tylko siebie...

Mówił prawdę. Poczulałam ogarniający mnie spokój i wdzięczność, a może nawet czułość dla Józefa. Spojrzałam mu w oczy. Były zamglone jakąś młodzieńczą nieśmiałością. Wyraźnie chciał mi coś wyznać.

— Powiedz to głośno, Józefie Zaborniaku - ośmieliłam go.

Józef zaczerwienił się po czubki uszu. Wyraźnie zmieszany powoli wstał z ławki. Nerwowo odchrząknął.

— Wiem, że to nie jest najlepszy moment, ale... jeśli nie powiem tego teraz, nigdy więcej się na to nie zdobędę.

Serce załomotało jak za dawnych lat. Uśmiechnęłam się do niego i czekałam. Józef pochylił się i ostrożnie zgiął przede mną kolana. Drżącymi rękami ujął moją dłoń.

— Czy zostaniesz moją żoną, Emilko? — zapytał cicho. W przestworza uleciał nagle cały bagaż przeżytych lat.

— Tak — odpowiedziałam. — Zostanę twoją żoną, Józefie. Jego twarz rozjaśnił uśmiech. Zapomniał o tym, że nie jesteśmy najmłodszy, zbyt szybko poderwał się z klęczek i w tej samej chwili głośno krzyknął. Ból sparaliżował go.

— Spokojnie, wytrzymaj! — próbowałam wstać. Ja również zapomniałam, że moją nogę unieruchamia gips. Zachwiałam się i wpadłam prosto w jego ramiona. Józef krzyknął z bólu. Przestał, gdy pogładziłam jego plecy otwartą dłonią. Z ulgą przymknął oczy, ból ustępował.

— Wciąż to potrafisz, Emilko?

— Mam nadzieję. — Przesuwałam dłoń po jego plecach. Józef położył głowę na moim ramieniu.

— Narzeczony ze mnie jak się patrzy — powiedział zawstydzony.

— A ze mnie narzeczona. — Zaśmiałam się. — Widocznie zasługujemy na siebie bardziej, niż myślimy...

Przytrzymałam dłoń w miejscu, gdzie gorącym strumieniem pulsował ból. Czułam, jak stopniowo zanika. W końcu odszedł na dobre. Zmarszczki na twarzy Józefa wygładziły się. Nachylił się i pocałował mnie w usta. Zadrzałam pod tym pierwszym od pół wieku pocałunkiem. Moją twarz okrył rumieniec.

— Jesteś taka piękna, Emilko — szepnął, gdy otworzyłam oczy.

— Nie opowiadaj bzdur, Józiu. - Zaśmiałam się. — I pomóż mi wstać, bo jeszcze ktoś nas zobaczy.

— Chyba tylko Marianna. — Zerknął na okno. — Albo Reks. — Zachichotał. Ostrożnie podniósł się z klęczek, potem objął mnie w pasie i posadził z powrotem na ławce. Poczułam błogie ciepło jego ramion...

— Kiedy im powiemy? — Z zamyślenia wyrwał mnie jego głos. — Może jutro?

— Nie wiem, czy to dobry czas na świętowanie... — Zawahałam się.

— Cienie przeszłości wirują nad naszymi głowami, nie dając wytchnienia.

— Czas leczy rany, Emilko — przekonywał.

— Masz jakiś pomysł?

— Jeśli się zgodzisz... Urządzimy jutro wieczorem uroczyste, zaręczynowe ognisko.

Zadrzałam, chociaż noc była ciepła. Bałam się powiedzieć o nas Julii. Kolejne wyznanie, kolejna niespodzianka. W obliczu całej prawdy życiowe plany dwojga zakochanych starszków wydawały się wręcz groteskowe.

— A jeśli się rozpada? — Szukałam jakiejś wymówki. Czułam jednak, że Józef nie ustąpi.

— Emilko, kochanie... — zaśmiał się. - Jaki deszcz?! Spójrz w niebo. Przewidujesz pogodę lepiej ode mnie.

Uniosłam głowę. Józef miał rację. Będzie pięknie.

— A zatem jutro — zdecydowałam.

— Wszystko przygotuję. Spójrz, spada kolejna gwiazda. Świetlista smuga łagodnie sunęła w dół. Która to już tej nocy?

— Nie patrz na nią tak zachłannie — przestrzegłam. — Może to nie gwiazda, tylko Latawica?

— Złowróźbna boginka przestworzy?

— Ta sama, która wypatruje na ziemi chłopców...

Józef wydawał się rozbawiony. Na chwilę zapomnieliśmy o tym, co trudne. Życie zawsze wygrywa ze śmiercią i bólem.

— O ile mi wiadomo, Latawice polują wyłącznie na młodych chłopców. — Przytulił mnie mocno. — Która by chciała takiego starego dziada jak ja? - Wskazał palcem swoją pierś.

— Nigdy nic nie wiadomo. — Poklepałam go pocieszająco po dłoni. Józef podniósł moją rękę do ust i ucałował.

— A gdybym ci obiecał, że każde twoje życzenie się spełni... O co byś poprosiła?

— Żeby Marianna żyła — odparłam bez zastanowienia. Józef westchnął głośno. Tego jednego życzenia nie mógł spełnić ani on, ani nawet tysiąc spadających gwiazd.

— Mnie też bardzo jej brakuje — westchnął.

— Wciąż mam przed oczami jej postać — przyznałam.

— I nie ten z ostatnich lat, gdy posiwała i straciła siły, ale widzę ją taką, jaką była przed laty. Młodą, uśmiechniętą, z długim, czarnym warkoczem przerzuconym przez ramię.

— I taką pozostanie w naszych sercach — pocieszał mnie.

— Wiem, że cierpisz, Emilko, lecz taka jest kolej rzeczy. Coś się kończy, coś się zaczyna. Trudno się z tym pogodzić. Zajęło mi to wiele długich lat. Lecz wiem, że nawet najdotkliwszy ból kiedyś znika. Jak księżyc, gdy rozplywa się w ramionach jutrzeńki.

Wiedziałam, że mówi prawdę, lecz rana, którą nosiłam, była jeszcze zbyt świeża, zbyt dotkliwa.

— Może nie od razu, może nie jutro, lecz za parę dni popatrzymy na wszystko inaczej.

Spojrzeliliśmy w niebo, szukając w nim pociechy.

— Chciałabym się w końcu pozbyć tego cholerstwa... — Ze złością szarpnęłam uwięzioną w gipsie nogę. Czułam dławienie w gardle. Obecność Józefa była kojąca, jednak wolałam być znowu sama.

— Spójrz na to inaczej — uspokajał mnie Józef. — Gdybyś jej nie złamała, może nigdy nie poznałabyś swojego wnuka.

Oboje, jak na komendę, spojrzeliśmy w okno na poddaszu. Było uchylone, a wewnątrz paliła się lampka. Jakub nie spał...

— Wszystko będzie dobrze, Emilko — powiedział drżącym głosem Józef i wstał z ławki. Podał mi leżącą w trawie kulę i pomógł wstać. Podałam mu rękę.

Szliśmy wolno przez rozświetlone gwiazdami podwórko. Przyroda zdawała się nie przejmować naszymi ludzkimi sprawami. Wrzosowiska otulała sunąca od łąki mgła.

## **Jakub**

Tej nocy przybrana matka upomniała się o mnie. Senna mara przyszła jak zawsze niespodziewanie. Surowe oblicze Sabiny Zerfass było porażająco smutne. Zaklinała mnie do powrotu.

— Wracaj do domu, synu — prosiła, a jej cichy szept rozszarpywał mi duszę. — Wracaj do ojca. Zaklinam cię na święte rany Zbawiciela! Na jego Mękę! Wracaj, Jakubie! Dochowaj przysięgi!

Obudziłem się zlany potem. Sen przeplatał się z jawą. Ból z euforią. Lęk z nadzieją. Spoglądając w okno szukałem wzrokiem księżyca, lecz go nie dostrzegłem. Niebo usłane gwiazdami nie dawało na moje pytania jasnych odpowiedzi.

Matka upadła, a ja pomyślałem, że mógłbym go zabić. Ta myśl nie wydała mi się straszna. Adam po prostu na to zasługiwał.

— Odsuń się i przepuść go!

Ksiądz Tobiasz wyrósł przed bratem niczym mur. W porę odgrodził go ode mnie. Patrzyli sobie w oczy. W spojrzeniu księdza dostrzegłem tylko ból. Ominąłem go i z omdlałą matką w ramionach wszedłem do kuchni. Ręce Emilii trzymające różaniec drżały. Józef zachował przytomność umysłu.

— Zanieś ją do mnie — zdecydował i otworzył szeroko drzwi. Poszedłem za nim. Niosłem matkę ostrożnie po drewnianych schodach. W pokoju ułożyłem ją na łóżku. Mama oprzytomniała.

— Pić — szepnęła.

Józef zbiegł na dół. Wrócił zdyszany, trzymając w jednej dłoni szklankę z wodą, w drugiej kieliszek z miksturą o ciemnej barwie i niemiłej woni.

— Wypij — zachęcał mamę. — To zioła. Pomogą ci. Wzięła kieliszek i wychyliła do dna. Popiła wodą.

— Spróbuj zasnąć — prosił zatroskany.

Położyła się bez sprzeciwu i przymknęła oczy.

Ukryłem się na poddaszu, położyłem na łóżku i zamknąłem oczy. Wszystko wokół wirowało. Ziemia uciekała spod nóg. Myśli napawały mnie lękiem, atakowały jak chmara żarłocznych muszek. Były wszędzie, kąsały dotkliwie i rozszarpały duszę.

Dotknąłem dłonią szkaplerznego medalika, który babcia Marianna zawiesiła na mojej szyi. Nosiłem go jak przykazala. Wiedziałem już, że należał do Miszki Tatara, a jego ukochana „Sarna” nawiedzała mnie w snach. Moją prababką była Róża Sokół, babką Emilia, matką Julia. Tylko ojciec pozostawał tajemnicą, zagadką, której najbardziej się bałem.

Rozrzucone na podłodze rysunki aniołów przypominały o tej, która aniołem nie była. Lecz ja także nie wiedziałem, kim jestem. Czy zgłębię zagadkę swojego istnienia? Czy uwolnię cienie władające niepodzielnie moją duszą? Czy dowiem się, kim tak naprawdę jestem i komu — prócz matki — zawdzięczam swoje istnienie? Czy zdołam ujarzmić serce, które poznało smak miłości?

Obok łóżka leżała Biblia, którą podarował mi przed wyjazdem ojciec. Czytałem ją nocami, gdy nie chciałem, by zawładnął mną sen. Szukałem na jej kartach pociechy i odpowiedzi na moje ludzkie i te wykraczające poza świat żywych pytania. Co odkryje przede mną teraz?

Usiadłem na łóżku i zapaliłem lampkę. Biblia była bardzo stara i rozpadała się w rękach. Miała zagięte kartki, wytarte strony, a na marginesach widniały liczne zapiski i oznaczenia skreślone dłonią Eryka Zerfassa.

Najwięcej było ich w Dziejach Apostolskich oraz przy Listach św. Pawła. Litery zachodziły na siebie, a ołówek w wielu miejscach rozmazał się. Przy niektórych wersach ojciec stawiał wykrzykniki. Nie mogłem ich w całości odczytać, nawet nie próbowałem. Uznałem, że są formą bardzo osobistej, wręcz intymnej rozmowy z Bogiem, w którą nie powinienem wnikać. Ojciec z pewnością często czytał Biblię i wcale mnie to nie dziwiło. Zanim poznał Sabinę, był przecież ewangelikiem.

Tym bardziej doceniałem jego gest. Podarował mi na drogę coś bardzo osobistego, w ten sposób zacieśnił naszą więź. Dlatego wrócę do Monachium, chociaż będzie mi krwawić serce i dusza. Nie mogę postąpić inaczej. Czas rozstania był bliski. Złożyłem przysięgę i będę musiał opuścić Wrzosowiska. Lecz zanim to nastąpi, chcę lepiej poznać moją prawdziwą mamę. Chcę być blisko niej.

Otworzyłem Księgę i zanurzyłem się w jej słowach. Wzrok mimowolnie przyciągały fragmenty zaznaczone na czerwono. Musiały być dla ojca szczególnie ważne: „Paweł przeszedł okolice wyżej położone i przybył do Efezu. (...) Następnie wszedł do synagogi i odważnie przemawiał

przez trzy miesiące, rozprawiając i przekonując o królestwie Bożym". I dalej: „Był tam pewien uczeń, imieniem Tymoteusz, syn Żydówki, która przyjęła wiarę, i ojca Greka (...) i Paweł postanowił zabrać go ze sobą w podróż". W innym miejscu znowu: „Wiedźcie, że brat nasz Tymoteusz został uwolniony. Jeżeli przybędzie na czas, odwiedzę was wspólnie z nim". I kolejny fragment, podkreślony najmocniej, otoczony pędą: „Pośpiesz się, by przybyć do mnie szybko. (...) Opończę, którą pozostawiłem w Troadzie u Karpa, zabierz po drodze, a także księgi, zwłaszcza pergaminy".

Postanowiłem, że zapytam ojca o wszystko, gdy wrócę. Teraz próbowałem zgłębić te słowa samodzielnie. Gdy będzie to możliwe, porozmawiam z księdzem Tobiaszem. Cierpiałem na myśl o tym, co w tej chwili przechodził. Musiało mu być bardzo ciężko po wstrętnych oskarżeniach, które wysnuła najpierw Natalia, a potem Adam Stawarski.

Miałem do księdza wiele pytań i wiedziałem, że potrafi uchwycić i wyjaśnić to, czego większość ludzi nawet nie umie dostrzec. Tylko dzięki niemu przetrwałem ten dzień. Straciłem Natalię, lecz odnalazłem mamę i babcię. Miałem też swojego Mistrza. Doprawdy, jestem szczęśliwcem!

Przewróciłem kolejną kartę Biblii i spojrzałem na ilustrację, która niezmiennie do mnie przemawiała. Potrafiłem wpatrywać się w nią przez długi czas, nigdy mnie nie nudziła, a wręcz przeciwnie, miała w sobie dziwną siłę przyciągania. Anioł siłujący się z Jakubem, skreślony ręką mistrza Paula Gustave Dore'a. Reprodukcję tego obrazu otrzymałem kiedyś w prezencie od księdza Tobiasza. Obrazek był mały i nosiłem go zawsze przy sobie. Gdy



walczyłem ze snem, wpatrywałem się w przedstawione na nim postacie: mojego imiennika Jakuba i skrzydlatego posłańca Boga. Rozważałem biblijny kontekst owej próby sił człowieka i anioła, do końca jej nie pojmując. Gdy wyjeżdżałem z Monachium, zostawiłem obrazek ojcu. Chciałem wyrazić mu swoją wielką wdzięczność za to, że zgodził się na ten wyjazd. Obiecał, że po moim powrocie szczerze porozmawiamy i bardzo chciałem dotrzymać słowa. Wiele się zmieniło, właściwie wszystko. Jednak z godziny na godzinę było lepiej. Pokrzepiony słowami księdza Tobiasza dostrzegłem w oddali światło w tunelu. Już dużo spokojniejszy wczytałem się w słowa Biblii. Z każdym wersem czułem, jak spływa na mnie spokój i wiara, że wszystko, co dobre, jest dopiero przed nami.

## **Emilia**

Kłamstwo, które niosłam na swoich barkach przez niemal dwadzieścia lat, ujrzało w końcu światło dzienne i pogmatwało jeszcze mocniej życie tych, których kochałam. A najbardziej chłopca, który był moim jedynym wnukiem. Wnukiem, którego wymazałam ze swojej pamięci, o którym nie chciałam słyszeć. Dopiero podczas pogrzebu Marianny zrozumiałam prorocze słowa Sabiny. Moja bliźniacza siostra zadzwoniła do mnie po długich latach milczenia i zapowiedziała, że teraz kolej na mnie...

— *Niedługo umrę, bo tak było mi pisane, lecz nie odchodzę spokojna. Zło wyciąga swoje ręce po chłopca. Zrobiłam dla niego wszyst-*

*ko, co możliwe, teraz twoja kolej, Emilio. Musisz zająć się swoim wnukiem. Musisz wyznać Julii prawdę...*

Rzuciłam słuchawkę, jakby sparzyła mi dłonie. Zaraz potem wyrwałam ze ściany kabel telefoniczny. Nigdy więcej nikt nie będzie do mnie dzwonił i opowiadał bredni! Nie mam i nigdy nie miałam żadnego wnuka. Julia urodziła córkę, która umarła przy porodzie. Teraz moją wnuczką jest Natalia. Nie mam też siostry bliźniaczki, bo w moim sercu umarła bardzo dawno temu.

Odchorowałam tę rozmowę bardzo dotkliwie. Wmawiałam sobie, że była wytworem mojej wyobraźni. Odczułam ulgę, gdy otrzymałam z Niemiec telegram od Eryka: „Sabina nie żyje. Bądź spokojna. Wszystkim się zajmę. E.Z”.

Przekazałam smutną wiadomość Mariannie, a telegram spaliłam. Julia kupiła mi telefon komórkowy. Adam anulował moją umowę w telekomunikacji i wszystko powoli wracało do normy.

Wtedy z kolei dziwne rzeczy zaczęła opowiadać Marianna. Przywykłam, że opowieści matki balansowały na pograniczu dwóch światów: realnego i nadprzyrodzonego, lecz to, co mówiła i robiła teraz, kazało mi przypuszczać, że starość przyniosła mojej matce jakąś dotkliwą chorobę. Wkrótce poznałam jej nazwę. Alzheimer. Współczułam jej z całego serca i postanowiłam opiekować się nią najlepiej, jak potrafiłam, by fizycznie jak najmniej odczuła narastające objawy niedomagań. I gdy wszystko wydawało się już przesądzone i opanowane, nasze życie weszło w nowy niepokojący etap — do Wrzosowisk przyjechał Tobiasz i Jakub.

Dlaczego matka uciekła do lasu? Dlaczego odwiedziła spróchniałą ze starości chatę w Puszczy, miejsce naszego wojennego schronienia? Co oznaczał medalik zawieszony na szyi młodego kleryka? A potem usłyszałam słowa, które chociaż wyszły z ust Natalii, dla mnie pochodziły z innego świata. Jakby Sabina ze mnie zadrwiła i zza grobu wypominała mi kłamstwo...

— *Nazywa się Zerfass. Jakub Zerfass. Prawda, że ładnie?*

Serce najpierw przestało mi bić w piersi, by po chwili przyśpieszyć i uderzać szatańskim rytmem. Każda sekunda była odtąd przerażającym pasmem następujących po sobie zdarzeń. Wyznałam prawdę. Nie mogłam postąpić inaczej. Sabina i Marianna z pewnością świętowały w niebie swój triumf, gdy wichur moich grzechów obrócił w pył budowany od lat spokój Julii, powalił Jakuba w cmentarny piach u naszych stóp i wzniecił w Natalii płomień nienawiści.

To także przeżyłam, chociaż oddychałam i poruszałam się jak we śnie. Lecz nie był to jeszcze koniec...

Nie sądziłam, że kiedykolwiek w życiu powrócę do przeszłości, którą zamknęłam na klucz i pogrzebałam. Teraz wszystkie moje lęki zmartwychwstały i popychały mnie naprzód, zmuszały do działania. Widziałam znaki na niebie i ziemi, a do moich uszu docierały prorocze słowa, mimo to byłam ślepa i głucha, zagubiona w powodzi słów i zdarzeń. Może ranek okaże mi swoją łaskę. Może świt przyniesie nadzieję.

Miałam od dawna sprawdzony sposób, by stłumić lęk. Sięgnęłam do nocnej szafki i wyjęłam z szuflady różaniec. Tylko tak potrafiłam mierzyć się z rzeczywistością. Pacior-

ki przesuwały się pod palcami, niosły ukojenie. Nie pamiętam, kiedy zasnęłam.

## **Julia**

Odrzuciłam koc i z wysiłkiem wstałam z łóżka. W ustach czułam gorzki smak ziół. Zatoczyłam się jak pijana, lecz znalazłam w sobie siłę, by zejść na dół. Kapryśny los był dla mnie łaskawy. Oddał mi dziecko, które uważałam za martwe. Szczęście na powrót uniosło moją duszę do nieba.

Wyszłam przed dom. Powietrze było rześkie. Wzięłam głęboki oddech. Głowa pękała od nadmiaru wrażeń, tajemnic i potwornych słów mojej córki i męża. Wyrzuciłam ich ze swojego serca. Spojrzałam na otulone poranną mgłą łąki i zapragnęłam, by ten dzień i każdy następny był dla mnie dobry. Chciałam zrzucić z ramion ciężar wspomnień, przynajmniej część z nich zgubić na polnej drodze. Wbiegłam na nią, coraz bardziej przyspieszając.

Słońce coraz śmielej wspinało się po niebie. Spod moich nóg zerwały się spłoszone skowronki. Poszybowały w niebo jak szare, dźwięczne pociski. Zawirowały nad łąką błękitnych chabrow, liliowych dzwonek, żółtych przytulii i różyczek tysiącznika. Przyroda jest wieczna i piękna, na przekór naszym snom.

Zdyszana poddałam się. Zwolniłam bieg. Pochyliłam głowę i opierając dłonie o kolana, miarowo oddychałam. Wypełniała mnie miłość, której barw dotąd nie było mi dane poznać. Miłość, która potrafi przenosić góry. Miłość

do własnego dziecka. Żadna inna nie miała z nią najmniejszych szans.

## **Emilia**

Ujrzałam dolinę Sopotu zanurzoną w czerwieni zachodzącego słońca. Drżałam na całym ciele. Od wody wiał nieprzyjemny chłód. Krzaki jeżyn przypominały wykrzywione szyderczo ludzkie twarze. Wodospady szumiały coraz głośniejsze. Woda pieniała się jak ślina na pyskach wściekłych zwierząt. Ich syreni śpiew narastał, narastał, narastał... Poczułam, że odrywam się od ziemi i unoszę coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zawisam w próżni, w przedziwnym stanie nieważkości. W dole, krętą ścieżką nad rzeką, szła przedziwna procesja. Prowadził ją Tobiasz. W wyciągniętych dłoniach trzymał krucyfiks. Za nim jedna za drugą szły trzy kobiety. Pierwsza, z upiętą wokół głowy koroną hebanowych włosów, niosła na rękach niemowlę. Druga, jasnowłosa i bardzo piękna, dźwigała okrągły jak bochen chleba brzuch. Trzecia, z talią osy, miała dwa ciemne, sięgające kolan warkocze. Pochód zamykał mężczyzna, którego ramiona przypominały konary potężnego dębu. Na jego szyi znajomo błyszczał srebrny medalik. Patrzyłam z góry, jak wiatr nadyma rozpięte koszule mężczyzn, jak igra włosami kobiet, jak powłóczyste szaty ludzi zahaczają się co chwilę o skręcone krzewy jeżyn. Drzewa potrząsały zielonymi koronami. Rozcapierały sękate gałęzie, broniąc dostępu do wrzosowej polany.

Tobiasz szedł niestrudzenie. Pozostali za nim. Wrota Czartowego Pola rozwarły się przed wędrowcami na oścież. Tylko niebo zasnuły czarne chmury. Wiatr dął przez wrzosowiska jak oszalały. Czesał łany fioletowych wrzosów. Przetaczał po niebie błyskawice. Niósł na skrzydłach pomruki burzy. Postaci w zwiewnych szatach otoczyły księdza. Coraz mocniej zaciskały wokół niego pętlę. Ksiądz trwał pośród nich niewzruszony. Z uniesionym czołem i błyszczącymi oczami podniósł sztylet i wbił sobie w pierś...

Krzyczałam przeraźliwie, nawet wówczas, gdy na dobre otworzyłam oczy. Serce waliło mi w piersi jak kowalski młot. Paciorki rozerwanego w rozpacz rozciąła rozsypały się po całym pokoju.

## **Jakub**

— Babciu... Co się stało?

— To nic, nic... To tylko zły sen, tylko sen... — powtarzała.

Usiadłem przy niej. Oddychała ciężko i cała się trzęsła.

— Czy ja krzyczałam?

— Tak. Dlatego przybiegłem.

Babcia Emilka z przerażeniem wpatrywała się w okno. Dłonie kurczowo zaciskała na brzegach łóżka.

— Pić — zacharczała.

Za oknem świtało. Mrok przechodził w szarość. Zachrypłym od snu śpiewem przemówiły ptaki. Twarz babci była trupioblada. Trzymała się łóżka niczym koła ratun-

kowego. Pobiegłem do kuchni i zaczerpnąłem studziennej wody z wiadra. Przytknąłem babci kubek do ust i trzymałem. Piła wodę łapczywie, jakby jej wnętrzości trawił piekielny płomień. Przęłykała głośno. Nie przestała, dopóki nie wypła wszystkiego do ostatniej kropli.

— Dziękuję — wyszeptała.

— Jeszcze? Pokręciła głową.

— Już dobrze, już dobrze — powtarzała.

Oddech stopniowo się wyrównywał. Wzrok utkwiony gdzieś w dali, powoli przesunął się na mnie. Wróciła do rzeczywistości. Zobaczyłem, jak przez twarz Emilii Sokół przechodzi bolesny skurcz. Puściła łóżko i wyciągnęła w moim kierunku ramiona, jakby to mnie, a nie ją, przeraził zły sen. Z ulgą przytuliłem się do niej. Czekałem na ten gest. Przymknąłem oczy, a babcia zamknęła mnie w kołysce ramion jak niemowlę.

— Proszę, byś mi wybaczył, Jakubie... — Emilia pogładziła mnie po włosach, potem odsunęła od siebie i spojrzała w oczy. Jej szorstkie, spracowane dłonie zamknęły się czule na mojej twarzy.

— Wyrządziłam ci wielką krzywdę i chcę ją naprawić.

— Nie mam do ciebie żalu, babciu...

Emilia westchnęła cichutko. Nie wierzyła mi, lecz mówiłem prawdę. Pokochałem Wrzosowiska, szumiący w dolinie Sopot, tajemnicze ruiny papierni, a nawet cmentarne anioły oplecione bluszczem wieczności. I kochałem Natalię, lecz ona nie chciała mnie znać.

Babcia ucałowała mnie w czoło. W jej oczach błyszczały łzy.

— Moja wina jest wielka, Jakubie, i nie ma dla mnie usprawiedliwienia...

Chciałem zaprzeczyć, lecz babcia powstrzymała mnie gestem dłoni.

— Zgrzeszyłam ciężko, bo próbowałam oszukać przeznaczenie. Wmówiłam sobie, że potrafię odmienić los. Miłość do jedyne­go dziecka zaślepiła mnie. Lecz przeznaczenia nikt jeszcze nie zdołał oszukać...

W zadumie pokiwała głową.

— I tak jest dobrze, tak jest sprawiedliwie...

Babcia cicho opadła na poduszki. Wydawała się spokojniejsza. Spojrzała na mnie z czułością.

— Idź do swojej mamy, chłopcze — powiedziała. — Już wstała i myśli o tobie. Jest na łące.

Zapach łąki odurzał. Uspokajał myśli. Na widok mamy serce niemal wyskoczyło mi z piersi. Obojgu nam wzruszenie zaciskało gardła.

— Możesz nazywać mnie Julią, jeśli chcesz — pierwsza przełamała milczenie i ostrożnie, jakbym za chwilę miał rozwiać się w powietrzu, dotknęła mojej twarzy drżącymi palcami. — Minie trochę czasu, zanim oboje przywykniemy na dobre do nowej sytuacji. Poza tym... lubię swoje imię.

— Jest równie piękne jak ty sama.

Przycisnąłem dłoń mamy do policzka. Była ciepła. Znowu nie mogłem uwierzyć, że wszystko dzieje się naprawdę. Oboje, czułem to, byliśmy sobą onieśmieleni i jednocześnie siebie ciekawi. Szczęśliwi i przerażeni. Pełni nadziei i rozdarci mnogością pytań, na które nie umieliśmy jeszcze udzielić odpowiedzi.



— Jakubie, wszystko to, co odkryliśmy w ostatnim czasie... Wszystko, co się wydarzyło, może pomieszać zmysły... Dlatego chcę zabrać cię na wędrowkę, tylko my dwoje i las. Może uda się nam zrobić pierwszy krok i naprawić więzi, które nie z naszej winy zostały zerwane. Pojedziesz ze mną?

— Bez wahania — zapewniłem cicho.

Chciałem spędzić z nią każdą sekundę mojego życia. Nowy dzień u boku mamy był jak pierwsze, nieporadne kroki dziecka. Los połączył nas na nowo. Ja zmartwychwstałem dla niej, a ona dla mnie. Cud nowego życia był najpiękniejszym prezentem, jaki kiedykolwiek otrzymałem. Postanowiłem cieszyć się nim, dopóki trwał.

## **Tobiasz**

Okna w pokoju księdza seniora wychodziły na wschód. Obudziłem się z rękami zaciśniętymi wokół szyi, jakbym próbował zatamować przepływ krwi z rozszarpanego gardła. Sen był bardzo realny, nigdy podobnego nie śniłem. Przeniósł mnie na obsypaną śniegiem polanę pośród lasu. Byłem zupełnie sam, zdany na własne siły, bezbronny jak dziecko. Czuję na twarzy zimny powiew wiatru, siarczasty mróz przenikał mnie na wylot. Drzewa stały nieruchome i posępne. Na niebie błyszczał złowrogo ostry sierp księżycy. Ciszę nocy przerwało głośne wycie wilków. Wataha wpadła na polanę. Podchodziła w moim kierunku, coraz bliżej i bliżej. Śnieg skrzypiał pod ciężarem potężnych łap wilków. Osaczały mnie, zacieśniały krąg. Najpotężniejszy basior skoczył mi do gardła.

Rozejrzałem się dokoła nieprzytomny. Dopiero teraz zrozumiałem, z czym od dziecka zmagają się Jakub. Długą chwilę nie pojmowałem, gdzie jestem. W końcu przypomniałem sobie, że spałem tej nocy w pokoju księdza {Conradowskiego. Franciszek tłumaczył, co było powodem zamiany pokoi, lecz nic z jego słów nie zapamiętałem. Spojrzałem w okno, by z pokorą rozpocząć nowy dzień, lecz fortel nie zadziałał. Oprócz koszmarne snu głowę rozsadzały mi nikczemne słowa mojego brata. Zaciskały dłonie w pięści. Wstrzymywały oddech.

Przeciagnałem palcami po twarzy. Domagała się golenia, lecz przyznałem w duchu, że nie znajdę na to siły. Dobiegała szósta i Franciszek na pewno czekał ze śniadaniem. Włożyłem sutannę i zaścieliłem łóżko. Na ścianie zauważyłem obraz, którego wczoraj nie dostrzegłem. Przyglądałem mu się nie wiedząc, co mam myśleć. Ze zjedzonych przez korniki ram szczyrzyła do mnie kły wilcza horda. Stałem bez ruchu, wpatrując się w zimowy krajobraz leśnej polany, jakby żywcem wyjęty z mojego snu. Nie odpowiedziałem na ciche pukanie do drzwi, lecz kościelny mimo to wszedł do pokoju.

— Jak się księdzu spało na nowym miejscu?

— Dobrze — skłamałem.

— Już może ksiądz spać u siebie — oświadczył z dumą. -Fachowców wezwałem i pozbyłem się szerszeni. Niestety z tego mogło być, oj, mogło! Paskudne stworzenia, jakby tak księdza na raz parę ukąsiło...

— Przeżegnał się.

A więc chodziło o szerszenie... Franciszek bardzo się starał, by moja obecność w parafii była dla mnie spokojna i bezproblemowa.

— Dziękuję, Franciszku.

Kościelny spojrział na mnie uważnie. Jego siwe, krzaczaste brwi uniosły się w górę.

— Jakiś ksiądz dziwny... Stało się coś złego?

— Miałem zły sen... I dopiero zauważyłem ten obraz.

— A tak, tak, jest poruszający - przyznał. - Ksiądz proboszcz jest do tego obrazu bardzo przywiązany. Namalował go podobno jakiś lokalny artysta malarz. Na jego obrazach zawsze pojawiały się wilki. Były jego autografem, znakiem rozpoznawczym...

— To bardzo ciekawe, co mówisz, Franciszku. Tak wiele można zobaczyć, gdy patrzymy uważnie.

— Wiele znam podobnych historii - wydawał się zadowolony moją pochwałą. Dostrzegłem, jak założył dłonie do tyłu i uniosł wysoko podbródek. Przypominał teraz greckiego filozofa nauczającego w gaju oliwnym. Przez chwilę zapomniałem o smutku rozsadzającym mi duszę.

— A jeśli chodzi o wilki, to ksiądz proboszcz podkreśla zawsze, że chrześcijanin uznał za obrończynię przed wilkami Najświętszą Panienkę, a Kościół ustanowił wkrótce święto Matki Bożej Gromnicznej. Do dzisiaj bywa, że niektórzy parafianie wypalają znak krzyża na belce stropu i obchodzą z nią swoje gospodarstwa, błogosławiąc dobytek.

— „*O Panno prześliczna, gromniczna! Pod ogień Twój święcony, wiszący nad woskiem gromnic przyz las kolący i wyjące wilki idę bez wszelkiej obrony...*” — Przypomniałem sobie słowa wiersza.

— Kazimiera Iłakowiczówna — odgadł Franciszek. — Ksiądz proboszcz poezję bardzo lubi. — Zauważył malujące się na mojej twarzy zdziwienie i wskazał mi półkę

z książkami. Przeglądałem je kiedyś i rzeczywiście, było wśród nich wiele tomików poezji. — A ten akurat — ciągnął Franciszek — to ulubiony wiersz księdza. Często sobie na głos różne czytamy. Zwłaszcza zimową porą, gdy wieczory długie i cisza wokół aż dzwoni w uszach.

— Jesteście bardzo ze sobą zżyci — zauważyłem.

— Ano tak, przyznać muszę, że bardzo mi księdza proboszcza brakuje... Ale my tu sobie rozmawiamy, a tam wszystko stygnie. Chodźmy na śniadanie — zarządził.

Drewniana podłoga uginała się pod naszymi krokami. W ciemnym i ciasnym korytarzyku, który oddzielał pokój proboszcza od kuchni, po naszych nogach z piskiem przebiegła wystraszona mysz.

— Oj, będzie zima ostra tego roku - zawyrokował Franciszek, przepuszczając mnie w drzwiach do kuchni. — Jak się pchają do domu, chociaż jesień nawet nie zawitała, to znaczy, że mrozy będą tęgie — prorokował.

Uśmiechnąłem się w duchu. Na myśl przyszła mi babcia Marianna. Jej prognozy zawsze się sprawdzały. Wiedziała, czy nadchodzące lato będzie deszczowe czy suche, kiedy zaatakuje zima i czy tego roku będzie po lodzie czy po wodzie. Jej znajomość rzeczy tkwiła, jak mówiła, w kościach, cała reszta w doświadczeniu przeżytych lat. Przewidziała nawet własną śmierć...

— Kiedy liście bardzo szybko opadają z drzew, to znak, że będzie mroźna zima — powtórzyłem zasłyszaną kiedyś myśl Marianny.

— Mówi ksiądz jak tutejszy - zauważył kościelny.

W ustach Franciszka był to komplement. Odkąd przyjąłem zastępstwo na parafii, odnosił się do mnie uprzej-

mie, ale wyczuwałem, że mnie obserwuje i ocenia. Z każdym dniem dystans między nami się zmniejszał. Coraz częściej wymienialiśmy uwagi na temat pogody i życiowych spraw w ogóle. Zauważyłem, że denerwowały go zmiany, nawet najdrobniejsze. Choroba księdza seniora, nagły wyjazd młodego proboszcza i moje zastępstwo bardzo boleśnie zachwiały codziennym rytmem starszego pana. Miwał przez to zmienne nastroje. Jednego dnia był jak do rany przyłóż, a drugiego nie odpowiadał na pozdrowienia. Byliśmy w tych nastrojach trochę do siebie podobni. Jediną różnicą było to, że ja starałem się je kontrolować.

Usiadłem za stołem, pozwalając, by tak, jak lubił, czuł się gospodarzem. Parafia była jego domem, jego całym światem, którego częścią coraz mocniej chciałem być.

Słońce zajrzało przez okno. Rzuciło pomarańczowy cień na kromki swojskiego chleba ułożone w koszyczku i pachnący szczypiorkiem twarożek. Każdego innego dnia rozkoszowałbym się tak pięknym porankiem, lecz dzisiaj, mimo szczerych chęci, nie umiałem wyprzeć z pamięci słów mojego brata. Dudniły mi w głowie, kłuły w sercu i boleśnie przygnębiały. Były stokroć gorsze od emocji, które zafundował mi nieprzyjemny sen.

— Niech ksiądz pije, póki gorąca.

Franciszek postawił przede mną świeżo zaparzoną kawę w filiżance. Kupił ją specjalnie dla mnie, gdy się zorientował, jak bardzo lubię kawę. Uznał, że wypicie paru filiżanek aromatycznego napoju będzie dla mojego serca bezpieczniejsze, niż wypicie paru kubków. Przyjąłem tę profilaktykę ze zrozumieniem i wdzięcznością.

— Mówią, że sen na nowym miejscu bywa proroczy — zagadnął, siadając przy stole naprzeciw mnie. Pijał zwykle herbatę. Czasem z jego kubka wydobywał się owocowy aromat. Zauważyłem, że sładził wyłącznie miodem. Dzisiaj pachniało rumiankiem.

— Tak bywa — przyznałem.

— Opowie ksiądz?

— Lubi Franciszek takie historie?

— Owszem, mam taką słabość — oznajmił kościelny. — Ksiądz proboszcz gani mnie za to, ale bywa, że sam sny opowiada, a często niewesołe są, oj, niewesołe. — Pokręcił głową. — To jak, opowie ksiądz?

— Śniłem sen o wilkach, które zimową porą otoczyły mnie na leśnej polanie... — zacząłem.

W tym momencie usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Przeczcucie wypowiedziało mi, kto za nimi stoi. Poczułem, jak drżą mi dłonie. Odstawiłem filiżankę z niedopitą kawą i czekałem. Pukanie powtórzyło się.

— Proszę! — wyręczył mnie Franciszek.

— Szczęść Boże — usłyszałem cichy głos Adama. — Ja do brata.

Głos miał wyraźnie zachrypnięty i wyczułem od niego nieprzyjemny zapach alkoholu. Coś zacisnęło mi krtań jeszcze mocniej. Spojrzałem mu w oczy. Wyglądał gorzej niż ja. Twarz pokrywał mu ciemny zarost, miał wymiętą koszulę, która wystawała niedbale ze spodni, zabłocone buty. Jak zawsze utopił smutki w alkoholu. Wstałem od stołu i Adam posłusznie wycofał się w mrok korytarza. Wyglądał na skruszonego, lecz zbyt dobrze znałem brata. Kain na zawsze pozostanie Kainem i nie zawaha się nigdy, by dobić Abła.

— Porozmawiamy na dworze — zwróciłem się do Franciszka, który bez słowa obserwował nasze nienaturalne zachowanie.

— Nic ksiądz nie zjadł — zaprotestował kościelny.

— Nie mam dzisiaj apetytu — przeprosiłem. Franciszek skinął głową i zaczął sprzątać ze stołu.

— Za pół godziny msza — przypomniał.

— To zajmie mi tylko chwilę... — odpowiedziałem.

## **Julia**

Mama już wstała i krzątała się po kuchni, kuśtykając na zdrowej nodze. Na nasz widok przystanęła. Wyglądała źle. Miała podpuchnięte oczy, szarą twarz i wydała mi się nagle bardzo zmęczona i leciwa. Dłoń wsparta na kuli lekko drżała.

— Zabieram Jakuba na Roztocze — oznajmiłam w progu chłodniej, niż chciałam. Gdzieś we mnie złośliwy chochlik jątrzył ranę. Wykreśliłam ze swojego serca Natalię, zaraz po niej Adama. Nad mamą wciąż wisiał katowski topór moich myśli jak nad głową nieszczęsnej Katarzyny. Czy jak Sobiepan Zamoyski nie zgodzę się zastosować prawa łaski? „Okłamała cię, Julio... — szeptał głos w mojej głowie. — Nie powiedziała, że urodziłaś zdrowego syna... Ukrywała to przed tobą przez dziewiętnaście lat... Oddała go Sabinie... Przerwała waszą więź... Nie masz pewności, że nie okłamię cię znowu... A może jeszcze coś ukrywa?”

— To bardzo dobry pomysł... — Grymas na twarzy mamy miał przypominać uśmiech. Moja twarz pozostała niewzruszona. - Musicie coś zjeść przed wyjazdem.

— Niczego nie przełknę...

— A ja owszem... — odezwał się Jakub.

— Zaparzyłam ci malinową herbatę, którą tak lubisz. — Wskazała kubek z pokrywką. Jakub podziękował uśmiechem, a mnie coś zakłuło w sercu. Zazdrościłam im tej bliskości, którą wypracowali przez ostatnie tygodnie. Ja nie miałam nawet tego.

— Mogę zaparzyć kawę. — Spojrzał na mnie. W jego oczach odczytałam niemą prośbę, bym dała swojej matce szansę.

— Poproszę — złagodniałam.

Jakub nastawił wodę i przygotował kubki.

— Będzie tylko sypana — uprzedził.

— Z twojej ręki wypiję choćby truciznę.

— Nie będzie takiej potrzeby, chociaż podejrzewam, że kawa będzie paskudna.

Uśmiechnęłam się po raz pierwszy od długiego czasu.

Czajnik na kuchni zaczął gwizdać. Jakub odstawił pusty kubek i zalał moją kawę. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Boże, mam syna. Czego jeszcze chcę od życia? Czego więcej mi trzeba?

— To ja nakarmię moje ptaszki — oświadczyła mama i podpierając się kulą, ruszyła wolno w kierunku wyjścia. Jakub otworzył przed nią drzwi do sieni. Śpiące na starej kozetce dwa kocury obudziły się, zamiauczały i leniwie się przeciągnęły. Mama zagadała do nich, jak robiła to zawsze. Smutek pozostawał smutkiem, lecz choćby nie wiem jak bolało, życie toczyło się dalej.

Jakub postawił przede mną zalewajkę i usiadł naprzeciwko. Zamieszałam ciemną ciecz łyżeczką, jakby była



ambrozią. Co jeszcze lubi? Jakie ma marzenia? Jaki jest? Mój syn... Jakub na pewno zadawał sobie podobne pytania. On też chciał mnie lepiej poznać. Ostrożnie uniosłam kubek do ust i przełknęłam.

— I jak? — Oczy mu się śmiały.

— Okropieństwo! Wypiłam do dna.

## **Tobiasz**

Słowa mają wielką moc. Potrafią uskrzydlać, ale też ranić. Po rozmowie z Adamem nie byłem już Ablem, lecz Kainem. Nie pamiętam, jak zdołałem odprawić mszę. Wierni nie mieli kształtów, byli czarną, rozmytą masą. Eucharystia paliła w przełyku. Nie byłem godzien, by spożywać ciało i pić krew Pana. On błogosławił swoim prześladowcom. Ja nie potrafiłem.

Ominąłem grupę wiernych tłoczących się przy zakrystii i, nie oglądając się za siebie, zbiegłem z Księżej Górki w kierunku rzeki. Chciałem jak najszybciej zostać sam. Słyszałem, jak Franciszek uspokaja ludzi i usprawiedliwia moje zachowanie bardzo ważnymi sprawami.

Na moście zawieszonym nad wąską odnogą Sopotu dopadła mnie całkowita niemoc. Nogi ugięły się pode mną. Odmawiały posłuszeństwa. Oparłem głowę o drzewo i zapłakałem. Moją klęskę uświadomił mi Adam. Nie chciałem mu pomóc. Byłem tylko nędznym grzesznikiem, słabym, małym człowieczkiem, który nie umiał odpuścić win własnemu bratu. Jak miałem pomóc innym, gdy nie umiałem

pomóc sobie? Czułem, że się uginam pod ciężarem ostatnich wydarzeń. Zbyt wiele tajemnic spadło na moje barki.

Wiatr zakołysał drzewami. Poruszył gładką powierzchnię rzeki. Stwórca przemówił do mnie łagodnie. Jego cierpliwość była niezmierna. Ratunkiem była spowiedź. Mógł jej wysłuchać tylko jeden człowiek. Otarłem łzy i krętą ścieżką nad Sopotem poszedłem w stronę przystanku.

Dotarłem do niego w chwili, gdy autobus zniknął za ostrym zakrętem na moście obok Nepomucena. Zrezygnowany usiadłem na ławce. Miałem do wyboru czekać cierpliwie lub udać się do Zamościa pieszo. Przez chwilę brałem pod uwagę drugie rozwiązanie. Nagle zabrzmiał klakson. Spojrzałem na drogę i wielkie było moje zdziwienie, gdy autobus ponownie wyłonił się zza zakrętu. Pobiegnęłam w jego kierunku. Drzwi autobusu rozsunęły się przede mną z łoskotem.

— Jedzie ksiądz do Zamościa, mam nadzieję... — Kierowca nie był w dobrym nastroju. Patrzył na mnie rozeźlonym wzrokiem.

— Tak. Szczęść Boże — przywitałem się, pospiesznie wchodząc do środka. Drzwi natychmiast się zasunęły. Kierowca wystukał bilet. Z niepokojem sięgnąłem dłonią do kieszeni sutanny. Na szczęście znalazłem parę monet. Zapłaciłem i usiadłem na pierwszym z brzegu wolnym siedzeniu. Kierowca ruszył z impetem.

— Dla mnie czas pracy święty — mruczał pod nosem kierowca. — Jak się ktoś spóźnia, to niech się potem martwi.

— Dlaczego więc pan zawrócił? — zapytałem.

— Dla świętego spokoju — odburknął. — Widzi ksiądz te staruszki? Podniosły taki rwetes, że młodego proboszcza

na pastwę losu zostawiam, że nie było wyjścia i wróciłem. — Machnął ręką.

Spojrzałem do tyłu. Siedziało tam parę kobiet. Rozpoznałem kilka twarzy, które widywałem w kościele.

— Szczęść Boże i serdecznie dziękuję.

— Szczęść Boże księdzu — odpowiedziały chórem. — Niech ksiądz pozdrowi od nas proboszcza seniora — poprosiły. — I niech ksiądz przekaże, że modlimy się o jego zdrowie.

— Z radością... — obiecałem.

Autobus kołysał się na wybojach. Patrzyłem na drogę. Staruszki o czymś głośno rozprawiły. Uśmiechnąłem się w duchu po raz pierwszy dzisiejszego dnia. Świadomość, że parafianie mnie zaakceptowali, była miłym uczuciem. Odmówiłem w ich intencji modlitwę. Kierowca przyspieszył, nadrabiając opóźnienie.

## **Julia**

— Pójdę się przebrać, zaraz będę gotowy. — Głos Jakuba wyrwał mnie z zamyślenia. Skinęłam głową. Kuba umył swoje naczynia, odstawił na suszarkę i pobiegł na górę.

Ot, zwyczajny poranek na wsi. Gdaczące kury, obrządek i proste śniadanie, a w tym wszystkim matka i mój odzyskany po latach syn. Oboje tak naturalni, tak pogodzeni z faktami, jakby cały bagaż przeszłości przyjęli na barki bez mrugnięcia okiem. A przecież musiało być to dla nich tak samo trudne jak dla mnie. Muszę się pozbierać. Skoro mama potrafiła wrócić do szarej codzienności pomimo

żałoby, a Jakub pokochał Wrzosowiska i czuł się w moim rodzinnym domu tak, jakby mieszkał tu zawsze, ja także dam sobie radę.

Wyrzałam przez okno. Mama kuśtykała w stronę domu, opędzając się od kotów, które wciąż łąsiły się do jej nóg. Szukała zapomnienia w codziennych obowiązkach, lecz ból po śmierci Marianny wyraźnie malował się na jej twarzy. Nagle zapragnęłam z całych sił wrócić na wieś, zamieszkać z mamą, zapomnieć o przeszłości i pielęgnować każdy nowy dzień.

— Na pewno zostaniesz sama w domu? - zapytałam łagodnie, gdy weszła do kuchni. Mama zareagowała nerwowo.

— A bo to pierwszy raz zostaję sama? — odparła.

— Po prostu pytam. — Zamilkłam urażona, a ciało przeszły ból. Złośliwy chochlik ponownie ożył. „Okłamała cię, Julio... - szeptał. - Okłamała!”

Zacisnęłam palce na skroniach, pocierając opuszkami pulsujące bólem miejsce. Czyżby znowu nadchodziła migrena? Ból potrafił sparaliżować mnie całkowicie na wiele godzin, a czasem nawet dni. Potem odchodził tak nagle, jak się pojawiał. Moje zapasy leków zostały w Zamościu. Co robić?

Mama podeszła do mnie. Poczułam, jak gładzi mnie po plecach i zmienia ton.

— Dam sobie radę, córeczko - mówiła. — W razie czego zawołam Józka, a i Tobiasz na pewno niedługo do mnie zajrzy. Jedź i nie martw się o nic. Teraz najważniejszy jest Kubuś. Musicie nadrobić stracony czas, poznać się, a nic tak nie zbliża jak rozmowa i wspólne wędrowanie.

Dłoń mamy była ciepła i kojąca. Z każdym jej ruchem, ból ustępował. Czulałam wypełniającą moje ciało energię. Wszystko stawało się proste.

— Masz rację. — Odetchnęłam z ulgą, prostując się na krześle. — Teraz najważniejszy jest mój syn.

Po chwili Jakub wszedł do kuchni z plecakiem przewieszonym przez ramię. Jego wygląd spełniał wszystkie wymogi prawdziwego turysty. Wygodne buty, przewiewna koszulka i czapka z daszkiem.

— A oto i on, gotowy na wyprawę — zaśmiała się mama.

— Na pewno dasz sobie radę, babciu? — W jego głosie brzmiała płynąca z serca troska. Mama nie obruszyła się i potraktowała go z czułością.

— Na pewno, na pewno... — Ucałowała go w czoło i wsunęła do plecaka kanapki. Kiedy zdążyła je zrobić?

— Wrócimy wieczorem. — Uściskałam ją w przypiływie nagłej czułości.

— Dobrze, dobrze. — Wydawała się zniecierpliwiona. — Nic mi nie będzie. — Wyswobodziła się z moich ramion, sięgnęła po kule i pokuśtykała w stronę samochodu. Towarzyszył jej Reks. — Na starą wiedźmę nie ma mocnych — mruknęła pod nosem, gdy myślała, że jej nie słyszę. Spojrzałam w jej stronę. Uśmiechnęła się i pomachała nam na pożegnanie.

## **Jakub**

Mama wyglądała pięknie. Upięła wysoko włosy i odsłoniła łabędzią szyję. „Czy głowa Katarzyny Bielankiewiczowej była równie kształtna, gdy odcięta toporem kata

spadła wprost na zamojski bruk?" - myślałem gdy zajęła miejsce w fotelu kierowcy.

— Gotowy?

Sięgnęła dłonią do schowka po przeciwsłoneczne okulary i założyła je na zgrabny nos. Skinąłem głową i zapiąłem pasy. Pamiętałem, że nie oszczędza pedału gazu.

— Jedziemy!

Ruszyła z impetem i nacisnęła klakson. Sprzed maski uciekło w popłochu stado gołębi. Ptaki wzbiły się w powietrze i zakołowały nad łąką. Łaciata spokojnie skubała trawę w towarzystwie Baśki. Samochód nabierał rozpędu. Spojrzałem w lusterko. Mignęła w nim wsparta o furtkę babcia Emilka. Przy jej nodze warował Reks.

## **Emilia**

Samochód oddalał się, pozostawiając za sobą tumany wolno opadającego kurzu. W nagłej decyzji Julii o wspólnym wędrowaniu z synem dostrzegłam podszepty Aniołów Snu, istot, o których pod koniec życia nieustannie mówiła Marianna. Nie pojmowałam ich rozumem, lecz postanowiłam zaufać jej słowom. Patrzyłam na drogę jeszcze długo po tym, jak warkot samochodu umilkł. Zamyślona, wciąż machałam im ręką na pożegnanie.

Reks pobiegł za samochodem, teraz zawrócił i głośno szczekając, zapraszał do zabawy. Kochany staruszek! Opuściłam dłoń i długo głaskałam ulubieńca. Podobnie jak ja z trudem godził się z odejściem Marianny. W jego wiernych, psich oczach dostrzegłam smutek. Po jej śmier-

ci był żałośnie niemal całą noc. Dzisiaj wyglądał o wiele lepiej.

Jakby na potwierdzenie moich myśli pies oparł się o mnie całym ciężarem, domagając się pieszczot, a może pocieszenia. Nie żałowałam mu ich, lecz w myślach wciąż rozpamiętywałam słowa i ostatnie wydarzenia. Wierzyłam w sny. Koszmarny sen, byłam tego pewna, przed czymś mnie ostrzegał. A może o czymś ważnym mi przypominał? Zastygł pod powiekami i nie chciał odejść.

Gdy Jakub wyszedł, spojrzałam na kalendarz. Pierwsza noc zmartwychwstania księżycy wypadła dokładnie za dwa dni, 23 sierpnia, w nocy z piątku na sobotę, w ponurą dwudziestą rocznicę mrocznego gwałtu, który spotkał Julię na wrzosowiskach Czartowego Pola. Czułam, że to, co się działo ostatnio, nie było przypadkowe i zmierzało do jakiegoś nieznanego nam jeszcze celu. Może był to ów „bliski czas”, o którym przed śmiercią mówiła Marianna?

Zaledwie wczoraj zrzuciłam ze swoich ramion największy ciężar. Tajemnica mojej prawdziwej matki, Róży Sokół, jeszcze mocniej zmąciła mi umysł. Czułam, że zalewa mnie ocean niepokoju, a łodzią mojego życia niczym skorupką orzecha miotają potężne fale. Nie wiedziałam, co mam robić, a przecież miałam czuwać! Przestrogi Marianny i klątwa rzucona na potomstwo Miszki Tatara przez moją nieszczęsną matkę stawiały przede mną nowe wyzwania. Tobiasz twierdził, że moja niepokorna wnuczka jest niezbędnym elementem kręgu, cokolwiek to oznacza. Musiałam ponownie sprowadzić ją do Wrzosowisk. Taką myśl powzięłam po przebudzeniu i zamierzałam się jej trzymać.

Podpierając się na kuli, ruszyłam wolno w stronę domu. Wilczur asekurował mnie, krocząc tuż przy mojej nodze. Słońce wspinało się coraz wyżej. Powietrze, chociaż do południa było jeszcze parę godzin, falowało od gorąca. Kolejny upalny dzień. Spojrzałam w stronę łąki. Echo niosło z oddali rytmiczne uderzenia siekiery. Józef, tak jak prosiłam, przygotowywał drwa na ognisko. Nikt jeszcze nie wiedział o naszym postanowieniu. Powiemy im dzisiaj. Nie byłam już zupełnie sama. Miałam przy sobie wnuka i mężczyznę, który chciał zostać moim mężem. Los prostował po latach moje ścieżki. Teraz ja powinnam naprostować inne.

Weszłam do domu i zamknęłam za sobą drzwi. W spiżarni wybudowanej tuż przy kuchni unosił się charakterystyczny owocowo-kwiatowy zapach, bardzo dla mnie przyjemny, bo towarzyszył mi od dziecka. Półki ugiwały się od ziołowych preparatów, maści, nalewek, konfitur, soków i innych specjałów. Wszystkie przygotowane według receptury Marianny.

Pod jej czujnym okiem mieszałam składniki, opisywałam słoiki i buteleczki. W najciemniejszą noc potrafiłam odnaleźć na półkach to, czego szukałam. Panował na nich wzorowy porządek, który wpoila mi Marianna. Teraz także wiedziałam, gdzie stoi to, czego szukam. Wzięłam do ręki buteleczkę i jeszcze chwilę przekonywałam samą siebie, że powinnam ją z sobą zabrać. Nie byłam pewna, czy się przyda, ale znając temperament i ośli upór Natalii, mikstura z bagiennej borówki może okazać się niezbędna. Najpierw spróbuję po dobroci, a jeśli okaże się to konieczne, zadziałam inaczej. Miałam cichą nadzieję, że to wystarczy.

— A zatem, komu w drogę, temu czas! — Zdecydowałam.



Odetchnęłam głęboko, skreśliłam na piersiach znak krzyża i pokuśtykałam do pokoju, żeby się przebrać. Autobus do Zamościa odchodził z przystanku we Wrzosowiskach Nowych dokładnie za godzinę.

## **Jakub**

Zjechaliśmy w dolinę i zatrzymaliśmy się. Po chwili namysłu mama włączyła kierunkowskaz w lewo. Zmieniła bieg, dodała gazu i z impetem przejechała przez drewniany mostek, jakby chciała przed czymś uciec. Rozumiałem jej niepokój. Tajemniczy zakątek nad Sopotem, śródleśny cmentarzyk, ruiny papierni i wrzosowiska Czartowego Pola wciąż napawały ją lękiem. Przepowiednia babci Marianny i to, co powiedziała księdzu Tobiaszowi, skłaniało do nowych pytań, na które brakowało odpowiedzi. Wszystko działo się tak szybko.

- Czuję się jak na rajdzie Paryż—Dakar — zauważyłem.
- Lubię szybką jazdę. Boisz się?
- Ani trochę — skłamałem, wzywając opieki świętego Krzysztofa. Święty Jan Nepomucen mignął w szybie i już go nie było.
- Spójrz w prawo, synku. — Zwolniła, wchodząc w rolę przewodnika. — Widzisz?
- Pomnik. — Dostrzegłem kamień zwieńczony orzełkiem z drutu.
- W tym miejscu polegli partyzanci z miejscowego oddziału — wyjaśniła, ponownie przyspieszając. — Kiedyś, jeśli zechcesz, pokażę ci go z bliska.

Na kolejnym skrzyżowaniu skręciła w prawo. Samochód znów nabierał prędkości. Mama zmieniała biegi niczym rajdowy kierowca i gładko wchodziła w ostre zakręty. Staralem się zapamiętać nazwy mijanych miejscowości. Po jakimś czasie musieliśmy zwolnić, by nie urwać resorów na dziurach. Wyremontowany ze środków unijnych krótki odcinek drogi na dobre się skończył, przechodząc w przetykaną ubytkami wstęgę czegoś, na czego naprawę gmina nie znalazła pieniędzy. Samochód kołysał się na wszystkie strony. Mama sprawnie lawirowała między wyrwami i wjechała z rozpędem na szczyt wzniesienia. Był tu parking z punktem widokowym.

Nie było innych turystów. Po stromych stopniach wspięliśmy się na górę. Widok rozciągający się przed nami był rzeczywiście piękny. W dole pastelowo-pszeniczne barwy stykały się niemal z błękitem nieba. Wszystko łączyło się w jeden fascynujący obraz, pachnący zbożem, trawą i żywicą. Nawet cisza nie była zwyczajna. Tętniła pracowitością pszczół zanurzających głowy w kielichach kwiatów, szelestem skrzydeł motyli unoszonych wiatrem nad łąkami, stąpaniem płochliwych saren, tańcem wiewiórki na sosnowych gałęziach, wolnością ptaków zanoszących Bogu swoją modlitwę.

— Czuję, że jestem wolny, cokolwiek to oznacza.

— Takie właśnie jest Roztocze, synu. - Uśmiechnęła się. - Trzeba urodzić się poetą, by wyrazić słowem harmonię barw, uczuć i przestrzeni. Tym, którzy tego nie potrafią, musi wystarczyć energia takich miejsc. To pierwsze z tych, które chcę ci pokazać.

— Dokąd jedziemy?  
— Najpierw do Suśca. — Wskazała położoną u podnóża wzniesienia osadę. — A dalej... Niespodzianka!

## **Tobiasz**

Dochodziła dziewiąta, gdy dotarłem do szpitala.  
Ksiądz Konradowski był blady, miał opuchnięte oczy, lecz czuł się znacznie lepiej. O własnych siłach usiadł na łóżku, stanowczo domagając się od doktora Rysia, by mnie wpuścił do izolatki. Doktor w końcu się zgodził, choć niechętnie.

— Daję wam godzinę — powiedział i stukając drewniakami, oddalił się korytarzem.

— Baranki Boże — westchnął ksiądz, gdy przekazałem mu pozdrowienia od parafian. - Potwornie za nimi tęsknię, chociaż już od lat jestem tylko zawadą na parafii.

— Kochają księdza — powiedziałem. — Wiele bym dał, by móc tutaj zostać i tak jak ksiądz proboszcz nieść im posługę kapłańską przez długie lata.

Ksiądz Bartosz spojrzał na mnie uważnie.

— Co cię dręczy, Tobiaszu?

— Chcę się wyspowiadać.

Ze zrozumieniem skinął głową. Wyprostował się na łóżku i skreślił nade mną znak krzyża. Ukląknęłam i pochyliłam głowę.

— Wybacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem...

## Jakub

— O święty Andrzeju! — Zamknąłem oczy, gdy mama, nie zatrzymując się, przemknęła przez przejazd kolejowy.

— Nie bój się! Tory są widoczne jak na dłoni, a pociągi kursują tutaj bardzo rzadko — uspokajała mnie.

— Są jeszcze przepisy drogowe...

Zauważyłem, jak zabawnie przewróciła oczami. Za szybą mignęła tabliczka z nazwą miejscowości: „Susiec”.

— Słyszałeś już o Janie Sobiepanie Zamoyskim? — zagadnęła, zwalniając.

— To on zamienił wyrok Katarzyny ze spalenia na stosie na ścięcie...

— Właśnie. Z tego czasu pochodzi pierwsza wzmianka o tej śródleśnej osadzie. Wnuk hetmana kazał przenieść hutę żelaza w lasy zameckie „na uroczysko Suścem zwane”. Od skwaru panującego w hucie osadę pierwotnie nazywano „Suszcem”, a miejsce położone najbliżej huty „Skwarkami”.

Mama wjechała w wąską uliczkę za szkołą i zaparkowała między drzewami. Wyszliśmy z samochodu. Powietrze pachniało żywicą. Było cicho i spokojnie. Oprócz nas żywego ducha.

Weszliśmy na leśny trakt. W dole płynął wąski, zarośnięty zieleńcem potok. Nieprzyjemna woń bagiennych roślin mieszała się z zapachem igliwia, mchu i przybrzeżnego mułu. Koryto rzeki poszerzało się w tym miejscu dwukrotnie. Rośliny nie zasłaniały przejrzystej tafli wody, pooranej omszałymi kamieniami.

— Pójdziemy tuż nad brzegiem potoku. — Zdecydowała mama. — W ostatnich tygodniach nie padał deszcz i ścieżka jest do przejścia. Gdyby wcześniej padało, brodziłibyśmy po kostki w błocie. Woda z trudem wsiąka na tym odcinku w podłoże, często wylewa i tworzy małe, śródleśne jeziora.

— Przypomina trochę górski potok — zauważyłem.

— To Jeleń. Miejscowi nazywają go zdrobniale Jelonkiem — od jeleni, które chętnie korzystały tu z wodopoju. Na tej rzeczce założono niegdyś staw i młyn.

— Nie jest zbyt duża...

— Kiedyś była, ale przyroda, jak ludzie, starzeje się, kurczy. Po drugiej stronie, za wzniesieniem znajdował się „klucz rybnicki” dóbr ordynackich z browarem, kuźnią, budynkami dworskimi, młynem i hutą szkła...

Potok płynął leniwie wśród zarośli, przysłuchując się naszej rozmowie.

— Słyszę szum...

— Zaraz coś zobaczysz...

Wyszliśmy na śródleśną polanę. Z Jelonka spadały z szumem kaskady spienionej wody.

— To wodospad, najwyższy na Roztoczu — wyjaśniła, potem przykucnęła na brzegu i zanurzyła rękę w wodzie. — Woda jak zawsze lodowata.

— Mamy podobne dłonie...

Załamania w tych samych miejscach, długie, szczupłe, nawet kształt paznokci był identyczny.

— Nie wyprzesz się mnie - szepnąłem.

— Nie mam zamiaru — odpowiedziała.

Pierwsze lody między nami zostały przełamane, jakby stopił je w tej samej chwili wartki nurt strumienia. Już

nie bałem się pytać. Patrzyłem na wodospad. Szumiał groźniej, niż wyglądał. Nie był wielki, jak wskazywała nazwa, ale, jak wszystko wokół, emanował tajemniczym urokiem.

— Opowiedz mi o tym wodospadzie. Jak powstał?

Chciałem, by mama po prostu do mnie mówiła, chciałem nieustannie słyszeć jej głos i w końcu uwierzyć, że ją odnalazłem.

— Narodził się w chwili, gdy wydzwignęło się Roztocze — powiedziała. — Matka Ziemia miała ciężki poród. Jej ciało popękało w wielu miejscach. Zstąpili wówczas na jej łono niebiescy posłańcy, by ulżyć jej w cierpieniu. Wypełnili rany głazami. Pracując, szeptali modlitwę na chwałę Boga. Odtąd szwy Matki Ziemi ludzie nazywali szypotami. Długo trwała praca posłańców, lecz gdy skończyli, rozpie-rała ich duma. Bóg spojrział z góry i z uśmiechem pobłogosławił pracę aniołów. Ze wzruszenia nad piękną krainą, której dał życie, uronił łzę, która rozlała się przejrzyście chłodnym balsamem wody. Tak powstały rzeki Roztocza, przetykane wodospadami.

— W tym miejscu natrudzili się najbardziej — spojrzałem na wodospad.

— Tak. Ten jest najwyższy, ma dokładnie 152 centymetry.

— Jest wielkości anioła — zażartowałem.

— Zawsze opowiadałam turystom, że aniołowie od wieków strzegą Roztocza, a nad Puszcza rozpościera się cień ich skrzydeł, lecz sama tak do końca w to nie wierzyłam. Od wczoraj wiem, że istnieją. Ty jesteś moim aniołem, Jakubie...

Ścieżka ginęła w gęstej ścianie zieleni. Obojgu nam sprawiało radość to nieoczekiwane, wspólne wędrowanie. Życie jest jednak piękne. Piękne i tajemnicze.

## **Julia**

Promienie słońca ślizgały się między drzewami, jakby bawiły się z nami w chowanego. Ścieżka raz pięła się w górę, raz stromą serpentyną schodziła w dół, czasami na chwilę ginęła w gęstej zieleni lasu. Ożyły we mnie wspomnienia, z którymi chciałam się podzielić z synem.

— Pamiętasz mapę, którą ci pokazałam?

— Sekretne ścieżki dwóch najlepszych przyjaciółek... — uśmiechnął się.

— Mam z tamtego czasu jeszcze jedno wspomnienie... Chcesz posłuchać?

Skinął głową. Uśmiechnęłam się i powiodłam wzrokiem po lesie. To, o czym chciała mu opowiedzieć, było dobrym wspomnieniem, może nawet najlepszym.

— Kiedy ja i Natalia, córka dziadka Józefa, skończyłyśmy dziewięć lat - zaczęłam - a było to latem, babcia Marianna zabrała nas na wędrowkę, by na leśnych ścieżkach dokonać naszej przemiany ze zwykłych dziewcząt w wiedźmy. Wzgórze, na które nas wtedy zaprowadziła, stało się dla mnie oazą spokoju, miejscem, w którym zawsze, ilekroć tu przyjeżdżałam, opuszczał mnie strach przed codziennością. To jest mój azyl. Wracam tu zawsze, gdy pojawiają się problemy. Dlatego postanowiłam właśnie tam cię zabrać. Może i ty zdołasz poukładać myśli,

ostudzić emocje. Może znajdziemy odpowiedzi na nasze pytania...

— Bardzo tego pragnę — szepnął Jakub.

— Przez całą drogę babcia zbierała zioła do wielkiego wiklinowego koszyka i opowiadała baśnie: o Katarzynie z Zamościa, która położyła głowę pod topór kata, o Tanewie, która w kupalną noc wyruszyła po kwiaty dzikiego rozmarynu, i o złym Welesie, który przemierza Puszcę pod postacią wilka. Trudno było spamiętać te opowieści. To była wspaniała, niezapomniana wędrówka. Myślę, że właśnie wtedy narodziła się moja miłość do tego miejsca, do rodzinnych stron i tych wszystkich niesamowitych historii. Kiedy dotarliśmy na wzgórze, babcia postawiła przy kamieniu kosz z ziołami i wzięła nas za ręce. Ja i Natalia połączyłyśmy swoje. Tak wokół kosza powstał krąg. Babcia kazała nam zamknąć oczy i wsłuchać się w śpiew lasu. Zrobiłyśmy, co przykazała. Byłam ciekawa, co robi, więc leciutko otworzyłam oczy. Babcia Marianna stała z głową wzniesioną do nieba i szeptała coś w nieznanym mi języku. Pamiętam, że bolały mnie nogi i chciało mi się pić, a babcia długo trzymała nas za ręce i nie puszczała. W końcu westchnęła głęboko i oświadczyła poważnym tonem: *„Od tej chwili, jesteście prawdziwymi wiedźmami z wrzosowisk i gdy przyjdzie właściwy czas, odnajdziecie w sobie prawdziwą moc, której najstarsze korzenie sięgają głęboko w przeszłość. Ci, którzy żyli przed wiekami, nie zapomną o was, a w zamian Za to wy ofiarujecie im wieczne życie w swojej pamięci. Waszym zadaniem jest przekazywać tę wiedzę dalej. Swoim dzieciom, wnukom, prawnukom... Podajcie sobie prawe dłonie, a lewą skreślcie na swoich czołach znak krzyża, by was chronił. Poru-*



szone słowami babci zrobiłyśmy to, o co prosiła. Potem zeszliśmy ze wzgórza na oblaną słońcem polanę i jak gdyby nigdy nic jadłyśmy przygotowane przez babcię kanapki...

Rozmawiając, dotarliśmy do wzgórza. Objęłam syna ramieniem.

— Zobacz, to właśnie to miejsce.

Wśród wysokiej trawy i rozciągających się po obu stronach brzegu podmokłych łąk, płynęły dwa łączące się w tym miejscu strumienie. Pośród krzaków i bagiennej roślinności wiła się cieniutka w tym miejscu wstęga rzeki Tanew. Dalej w głębi Puszczy rozciągały się bagna i uroczyska, na których były małe serduszka wielu strumieni. Ich wody przemierzają niestrudzenie całe Roztocze.

— Ten pierwszy strumień to Jelonek. Jego brzegiem szliśmy. Drugi to Tanew - tłumaczyłam synowi. — A wzniesienie, na które właśnie wchodzimy, zwane jest Zamczyskiem lub Kościółkiem.

— Woda jest płytka i wyraźnie widać piaszczyste dno — zauważył Jakub.

— Przez stulecia wzgórze znacznie się skurczyło — powiedziałam.

— Ziemia spłynęła ze zboczy i wypełniła mułem koryta głębokich niegdyś strumieni. Teraz to małe strumyki.

Podeszliśmy do osadzonego w zieleni pomnika i krzyża.

— Znam nad Tanwią wiele urokliwych zakątków, ale ten lubię najbardziej.

-Jest tajemniczy i piękny - przyznał, gładząc dłonią omszały kamień.

Usiedliśmy obok siebie na pniu zwalonego drzewa. Strzeliste sosny pochylały się nad wzgórzem jak staruszkowie. Gdzieś nad nami pracowity dzięcioł zawzięcie leczył krzywą sosnę. Było cicho i spokojnie. Patrzyłam na Jakuba i czułam, jak wypełnia mnie szczęście. Jak dobrze było mieć przy sobie własnego syna!

— Czy dobrze pamiętam — zaczął Jakub — że Joanna, córka Katarzyny, właśnie tutaj odnalazła swoje szczęście?

— Tutaj narodził się nasz ród, którego i ty jesteś częścią.

— Wciąż tego nie pojmuję...

— Nie jesteś w tym osamotniony — westchnęłam.

Powiew letniego wiatru zburzył włosy Jakuba. Odgarnęłam jasny kosmyk z jego czoła. Jakub przycisnął moją dłoń do skroni.

— Wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć, mamó — szepnął. — W jednej chwili przyjmuję, że to prawda, lecz zaraz wydaje mi się, że śnię.

— Czuję dokładnie to samo — przyznałam. — Ale nadrobimy stracony czas. Obiecuję.

— Czy myślisz, że Katarzyna czasem tu zagląda?

— Nie sądzę — zaśmiałam się. — Pewnie woli spacerować po Zamościu...

— Przeklęła męski ród. Nie chciała bym się urodzić... Oczy Jakuba były poważne.

— Z pewnością nie myślała wówczas o tobie. Czas, w którym teraz żyjemy, był dla niej zbyt odległy. Skrzywdzono ją. niesprawiedliwie posłano na śmierć. A najgorsze w tym wszystkim było to, że zdradził ją najbliższy człowiek. Mężczyzna, którego bardzo kochała. Dla którego porzuciła Puszczę.

Umilkłam i zacisnęłam usta. Twarz Adama, jego okrutne słowa wróciły. Jakub zacisnął dłoń na mojej. Rozumiał, co czułam i to dodało mi sił.

— Wiesz, Jakubie... — Opanowałam nerwy. — Nigdy tak naprawdę nie doszukiwałam się podobieństw między mną a Katarzyną, chociaż babcia Marianna od dziecka podkreślała, że wiedźma jest moją prababką. Byłam z tego dumna, opowiadałam tę legendę wielokrotnie wszystkim znajomym i turystom, ale zawsze uważałam, że jest to tylko ciekawa opowieść, anegdota z odległych czasów, nic więcej. A teraz, gdy tak wiele tajemniczych spraw z odległej przeszłości ujrzało światło dzienne, dostrzegłam cienką nić łączącą mnie z Katarzyną i z tym miejscem: przeklęta ordynata i męża, który ją zdradził... Miała też ukochanego syna, którego straciła. Została jej tylko córka, Joanna...

Jakub posmutniał. Przywołaliśmy w naszych sercach obraz Natalii.

— Czy babcia Marianna opowiadała o tym, jak potoczyły się losy Joanny i Andrzeja?

— Nie. Na tym historia się urywa. Ich córki — bo jak wiadomo, nie mógł urodzić się chłopiec — u boku swoich mężów zamieszkały nad Sopotem, gdzie w dolinie rzeki powstała puszczańska osada Wrzosowiska.

— Szkoda - westchnął Jakub.

— Ale wiemy, co wydarzyło się wcześniej...

Słońce wędrowało po niebie, prześlizgiwało się pomiędzy drzewami, łaskocząc nam twarze.

— *Dawno temu, przed wiekami, na wzgórzu opasanym wodami dwóch strumieni stał warowny gród, którego nie zmożły przez*

*siły wroga. Żyła w nim wraz z rodzicami piękna dziewczyna imieniem Tanewa... — rozpoczęłam opowieść. Jakub słuchał z uwagą.*

## **Puszcza Solska, przed wiekami**

*Rozpuszczone włosy Tanewy zawirowały na wietrze, zanim pochłonęła ją zimna toń strumieni. Opadając na dno, czekała na ból, lecz otoczył ją bezpieczny dotyk niewidzialnych rąk, którym poddała się bez trwogi.*

*— Oto ta, którą wybrałem... — zaszemrał spienione wody strumieni.*

*Obudziła się w ciemnej komnacie, na drewnianym łożu z baldachimem. Wokół roztaczał się zapach żywicy. Mrok komnaty rozświetlały białe punkciki błyszczących w ciemności robaczek. Żyła, choć umarła dla świata. Jej serce biło jak dawniej, płuca nabierały powietrza, oczy widziały, uszy słyszały, a z ust wydobywał się głos.*

*Boski małżonek każdej księżycowej nocy odwiedzał jej komnatę pod postacią pięknego mężczyzny dając rozkosz jakiej nie zaznała nigdy żadna z kobiet na ziemi. Tanewa nie odwzajemniła jego miłości i pozostała wolna od jej żaru, lecz Ten, Który Wie pokochał ją prawdziwie. Z dnia na dzień stawał się coraz mniej czujny, coraz łagodniejszy, coraz bardziej wobec niej uległy.*

*Tak miały upojne noce i długie, samotne dni. Tanewa nie umiała wybaczyć kochankowi, że pozbawił ją życia, które dotąd wiodła. Tęskniła za słońcem, Puszcza strumieniami szemrzącymi u stóp wzgórza, a nade wszystko za ojcem, którego musiała*

porzucić. Czula, że on także za nią tęskni. Jego rozpacz docierała do niej i rozszarpywała serce.

Pewnej nocy postanowiła, że ucieknie, a myśl ta dodawała jej sił. Pamiętała, że Ten, Który Wie w czerwcową noc opuszcza swoje podziemne królestwo. Czekała na ten czas, nie próżnowała. Nocą, poddając się władczyim dłoniom kochanka, myślała już tylko o ucieczce. Okazywała mu czułość, prosząc, by towarzyszył jej w spacerach po komnatach podziemnego grodu. Zakochany w niej władca odkrywał przed małżonką coraz to nowe tajemnice. Tanewa słuchała i patrzyła uważnie, czuła w sobie potężną siłę, zdolną przeciwstawić się przeznaczeniu.

Mijał trzeci miesiąc, odkąd porzuciła wzgórze, gdy zrozumiała, że jest brzemienna. W jej łonie były wyraźnie dwa serduszka. Dzieci splecione przez pana podziemi, miały przyjść na świat dokładnie w magiczną noc, gdy Ten, Który Wie opuszczał podziemne królestwo, by pod postacią szarego wilka przemierzać bagna. Tanewa postanowiła, że wykorzysta ten czas, by uciec i uratować swoje dzieci. Wiele ryzykowała. Nie chciała skazywać bliźniąt na wieczny mrok. Powzięła zuchwały plan i z niecierpliwością oczekiwała nadejścia czerwcowej nocy.

Dostrzegła, że tylko jeden zakątek domostwa nie stanął przed nią otworem. Domyśliła się, że jest tajemnym przejściem do porzuconego przez nią świata. Gdy na ziemi, jak co roku, rozpalono ognie, by śpiewem, tańcem i wróżbami uczcić matkę płodności, kobieta wymknęła się swoim służkom — zwiewnym topielicom — i otworzyła drzwi tajemniczej komnaty. Za nimi — tak jak sądziła — znajdował się tunel.

Podziemny korytarz wił się czarną wstęgą w górę. Nic nie rozpraszało ciemności, lecz miesiące spędzone pod ziemią wyostrzyły

jej wzrok. Opierając dłonie o wilgotne ściany korytarza, napotykała pod palcami i stopami oślizłe, porośnięte mchem kamienie i splątane macki wodnych roślin. Tunel wypełniało ciężkie powietrze i zaczynało jej brakować tchu, lecz nieustannie brnęła do przodu. Ufała słowom matki. Gdzieś tam, w górze, znajdowało się przejście do świata żywych i zamierzała do niego dotrzeć, by wydać na świat dzieci.

Serce zatrzepotało jej w piersiach z radości, gdy po długiej wspinaczce usłyszała w oddali narastający z każdym krokiem szum wodospadów. Przystanęła i uniosła głowę. W górze rozciągał się przejrzysty baldachim rzeki. To tutaj! — pomyślała uradowana, jakby na potwierdzenie swoich myśli dostrzegła odbijający się w rzece ostry sierp księżyca. Już tylko minuty dzieliły ją od wolności. Ostrożnie wspięła się wyżej- Wydatny brzuch utrudniał poruszanie, lecz nadzieja dodawała jej skrzydeł. W końcu dosięgła wody, w którą bez wahania zanurzała głowę, dłonie, brzuch, biodra i stopy. Czowała jak wciąga ją wir i łagodnie obracając, wypycha na powierzchnię. Wynurzyła się Z rzeki jako Ta, Która Wie. Poznała bowiem największą tajemnicę pana podziemi. Teraz albo zdoła uciec, albo czeka ją śmierć.

Rześkie powietrze rozrywało jej płuca. Łapczywie chwytając powietrze ustami, nie zważając na ból Wciąż nie mogła się nim nasycić. Wyczołgała się na brzeg i bez sił upadła na rozciągające się dokoła wrzosa. W świetle księżyca rozpoznała polanę, na której przed laty odpoczywała z matką. Niedaleko rozciągały się bagna, które cicho przemierzał szary wilk. Nie mogła dać mu się ująć. Zebrała resztki sił i wolno brnęła w las, by przed świtem dotrzeć do wzgórza. Czowała, że tylko tam będzie bezpieczna. Dzieci w jej brzuchu niecierpliwiły się. Ból potężnymi falami zalewał

*jej ciało, lecz Tanewa nie zwałała na nic, odtwarzając w pamięci drogę na południe.*

*Wędrowała bardzo długi czas. Przedzierała się przez zarśla i szumiące sosnowe lasy, niespokojnie patrząc w niebo. Księżyc stawał się coraz bledszy i nieuchronnie nadchodził brzask. Poród zaczął się dawno temu. Odplynęły wody płodowe, coraz silniejsze skurcze odbierały Tanewie oddech. Musiała zatrzymać się, by wydać na świat dzieci. Nie wiedziała, gdzie jest. Wokół tylko drzewa i złowieszcze pohukiwanie puszczyka. Poczula silny skurcz- Przykucnęła pomiędzy dwiema sosnami, wsparła dłonie o chropowatą korę drzew, by wydać na świat pierwsze dziecko, jej krzyk rozdarł powietrze. Nie umiała go w sobie Zdusić. Z miłością spojrzęła na dziewczynkę. Gdy dziecko zapłakało, otarła mu twarz z krwi z ucałowała w pomarszczone czoło.*

*— Będiesz miała na imię Luna — szepnęła — bo urodziłam cię w blasku księżyca, który jest okiem nocy, gdyż odbija blask słońca. Będiesz widziała w nocy jak w dzień. Będiesz opiekunką snów, uczuć i myśli. Będiesz sprowadzała na ziemię deszcz, który daje życie roślinom, i posiędziesz moc spoglądania w przyszłość. Będiesz Tą, Która Wie...*

*Po tych słowach położyła niemowlę na wrzosach i ponownie przykucnęła pośród drzew. Oddech odebrał jej kolejny skurcz. Zamknęła oczy. Dziecko przeciskało się powoli, sprawiając ból. Tanewa wyczerpana, bez sił opadła na wrzosy, gdy dorodny chłopiec wysunął się spomiędzy jej zakrwawionych ud. Echo unosiło w Puszcze jego pierwszy krzyk.*

*— Jakie imię nadać chłopcu? — zastanawiała się, walcząc ze snem. Powieki ciążyły jak ołów. Leżała na mchu, nie mając siły się podnieść. Czula, że wraz z krwią z jej ciała uchodzi*

*Życie. Nie mogła się poddać. Co stanie się z dziećmi, gdy jej Zabraknie? Kto odnajdzie je w tej głuszy? Czyje piersi je wykarmią?*

*Zdobyła się na ogromny wysiłek i spróbowała usiąść, lecz udało jej się jedynie obrócić na bok. Dzieci leżały cichutko wśród mchu, wyciągając do księżyca małe piąstki. Na ich pomarszczone twarzyczki padała srebrna poświata. Tanewa wyciągnęła dłonie, by przygarnąć do siebie dzieci i zadrżała z przerażenia. Księżyc skryły chmury, lecz jej nawykłe do mroku oczy dostrzegły tuż obok dyszącą wściekłością wilczą paszczę. Boski małżonek odnalazł ją i surowo ukarze Za Zdradę. Nie dbała już o siebie, chciała jedynie uratować niemowlęta.*

*— Zrób ze mną, co zechcesz, ale nie krzywdź naszych dzieci — błagała. — Pozwól im żyć!*

*Wilk spojrział na nią groźnie, lecz w jego oczach dostrzegła okrucieństwo. W złowieszczej ciszy lasu pochylił się nad chłopcem. Uniósł potężną łapę i przycisnął ją do piersi niemowlęcia.*

*— Będiesz miał na imię Tupus — wyszeptał — bo ujrzałem cię, gdy byłem pod postacią wilka. Będziesz dziki, drapieżny i krwiożerczy, o naturze równie nieopanowanej i gwałtownej jak wilk. Twój brzuch będzie grobem człowieka, a rozwarta paszcza bramą piekieł. Będziesz prowadził ludzkie dusze do świata podziemi przez tunel, który ci wskażę, gdy nadejdzie czas. Rozstawisz swoje plemię i odzyskasz pełnię boskiej natury, spijając krew z tych, którym pozostawisz ten znak... — przycisnął łapę do piersi dziecka, a ono zapłakało żałośnie. Wtedy wilk odwrócił potężny łeb od syna i spojrział na córkę.*

*— Tobie, Tuno, nie przekażę mojej mocy. Na ciebie i twoje córki spadnie ciężar mojego przekleństwa. Za grzechy matek poku-*



*tować będą córki. Z każdego pokolenia wybiorę tę, która należeć będzie tylko do mnie.*

*Dziecko głośnie zakwiliło, a wilk spojrział na Tanewę przekrwionymi wściekłością oczami.*

*— z4 teraz kolej na ciebie, droga żono... Nie unikniesz kary Za to, że ośmieliłaś się mnie porzucić!*

*Błysnęły zło wieszczko wilczy kły. Tanewa zamknęła oczy, czekając na śmierć, lecz ta nie przyszła. Słońce uniosło się nad lasem i oblało promieniami leśną polanę. Wilk cofnął się ze skowytym. W oddali zaszumiały wody dwóch bliźniaczo złączonych strumieni i Tanewa pojęła, że szczęśliwie dotarła do wzgórza, jej dzieci będą bezpieczne. Nie mogła wstać, lecz w błagalnym geście uniosła dłonie do nieba, wołając:*

*— Przybądź Heid, zwana Wiedźmą, bogini plemienia mej matki. Daj siłę lub spal na popiół! — Niebo przycięła błyskawica i w chmury wzbił się potężny słup ognia. Wilk zawył przeciągle i zniknął w Puszczy tak cicho, jak się pojawił. W miejscu, gdzie leżała Tanewa, zakwitła dorodna paproć, obejmując koronkowymi liśćmi, dwoje płaczących dzieci...*

*Od tego dnia na wzgórzu otoczonym wodami Tanwi i Jelenia podczas czerwcowego przesilenia wielu próbowało odnaleźć gorejący tajemniczym blaskiem kwiat paproci. Szukać należy go w miejscu, gdzie przed wiekami dokonała się próba dwóch potężnych sił. Ci, którzy podobno widzieli kwiat, uznani zostali za głupców, bo twierdzili uparcie, że nie można go zerwać. Rozkwita pełnią tajemniczego blasku dokładnie o północy, by po chwili ulotnej jak myśl obrócić się w popiół. Zagadka jego istnienia pozostaje od wieków niezgłębioną tajemnicą...*

## Jakub

Piękna baśń. Czuję się częścią tego miejsca i było mi z tą myślą bardzo dobrze. Przede mną rozciągała się Puszcza Solska, pełna tajemnic, legend i pogańskich mitów.

— Czy kwiat paproci naprawdę istnieje? — zapytałem mamę. Spojrzała na mnie jakby zbudzona ze snu.

— Pewne jest, że napięcie towarzyszące nadchodzącej burzy sprzyja kwitnieniu paproci. — Wróciła do rzeczywistości. — Lecz czy paproć rozkwita raz w roku, podczas najkrótszej czerwcowej nocy, tego jeszcze nie sprawdziłam. — Zaśmiała się. — W mitologii słowiańskiej zwano ją perunowym kwiatem.

— Od jakiegoś boga?

— Dokładnie od Peruna — władcy gromów, którego moc objawia się podczas burzy.

— Zdobycie rośliny, jak i szczęścia, nie jest łatwe.

— Bo myśląc o szczęściu, każdy ma na myśli coś zupełnie innego... Nie mogłem się z tym nie zgodzić.

— A dzieci Tanewy... Czy wiadomo, co się z nimi stało?

— Gdy byłem dzieckiem, też mnie to nurtowało i o to samo zapytałam babcię Mariannę. Powiedziała mi, że bliźnięta zostały odnalezione wśród paproci i zabrane na wzgórze, gdzie dorastały pod opieką księcia Gołdapa i jego młodej żony. Kobieta urodziła mu wkrótce długo oczekiwanego męskiego potomka, którego prawnukiem był Andrzej, mężczyzna porzucony przez Katarzynę...

— ... do którego powróciła po śmierci duchem, łącząc się z nim poprzez ciało swojej córki Joanny - dokończyłem.

Mama skinęła głową.

## **Julia**

Bardzo dawno nikomu nie opowiadałam baśni o Tanewie i miałam wrażenie, że z każdym słowem odkrywam ją na nowo. Jakbym dopiero ją zrozumiała, pojęła jej sens, odczytała ukryte w niej symbole i znaki. Patrzyłam na mojego syna, lecz myślałam o Natalii i Adamie... Oboje mieli charakterystyczne znamię, które — gdy się nad tym głębiej zastanowić — przypominało w pewnym sensie wilczy trop. Natalia wstydziła się tego znamienia. Zawsze dbała o to, by je zasłaniać. Adam rzadko odsłaniał tors, ale i wtedy niewiele było widać pod ciemnym i gęstym zarostem. U Natalii znamię rozpoczynało się pod lewą piersią i rozchodziło w kierunku pępka. Kiedy weszła w okres buntu i nie liczyła się zupełnie z moim zdaniem, zrobiła sobie w tym miejscu tatuaż. Znamię przestało być widoczne, całkowicie zagubiło w skrzydłach wielobarwnego anioła. Tatuaż według autorskiego projektu Natalii był naprawdę ładny. Nawet ja musiałam to przyznać... Po tatuażu przyszła kolej na kolczyki. Natalia namiętnie przekłuwała swoje ciało. Nie chciałam jej pozwolić, jednak Adam w tym wypadku wykazał się większą przebiegłością. Przekonał mnie, że kolczyki kiedyś może ściągnie, gdy przejdzie jej młodzieńczy bunt. Tatuażu jednak się nie pozbędzie...

Spojrzałam na syna. Był tak inny od Natalii. Spokojny, cichy i dobry. Wyglądał na rozmarzonego. Nie zamierzałam tego psuć. Nie chciałam też myśleć o tym, co wydarzyło się przed dwudziestoma laty. Dobrze pamiętałam tamte wydarzenia, jednak dotąd nie mogłam odpowiedzieć sobie na pytanie, czy naprawdę miały miejsce. Czy na leśnej ścieżce przez mgnienie oka widziałam szarego wilka?

„Chyba za bardzo ponosi mnie wyobraźnia” — podsumowałam w myślach.

— Chłoniesz wszystkie opowieści jak gąbka wodę i wszystko w lot pojmujesz. Moja krew! Poznałeś baśń, a teraz powinieneś zobaczyć Tanew — powiedziałam.

Wolnym krokiem zeszliśmy ze wzgórza.

## **Tobiasz**

Wyznałem swoje grzechy i zwierzyłem z myśli, które kłębiły się w mojej głowie. Stary proboszcz tchnął we mnie nowe życie. Słowa, które usłyszałem, zapadły mi głęboko w serce i pamięć. Postanowiłem rozważać je każdego dnia, bo płynęła z nich mądrość, jakiej już dawno nie doświadczyłem.

— „Pan podtrzymuje całe moje życie” — mówi psalm, a zatem módl się, wierz i nie martw się. Jest wiele sytuacji, w których czyha na kapłana zagrożenie, jak zresztą na każdego człowieka, wywołując niepokój i cierpienie. Musisz upodobnić się, synu, do zdrowego i mocnego drzewa, by stać tam, gdzie cię Bóg postawi, i nie zachwiać się, gdy

przyjdą burze. Jako pokutę wczytuję się w słowa świętego Pawła Apostoła i rozważaj je codziennie, aż uznasz, że znalazłeś odpowiedź na dręczące cię pytania. Odpuszczam ci grzechy w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego.

— Amen.

Miałem jeszcze wiele pytań, wciąż targały mną wątpliwości, jednak czas darowany nam przez doktora Zenobiusza minął nieubłaganie. Mój spowiednik nie protestował, był zmęczony. Wyciągnął w moim kierunku dłoń, którą mocno uściśnąłem.

— Naprawdę chciałbyś tu zostać, Tobiaszu? W parafii we Wrzosowiskach... — wrócił do naszej wcześniejszej rozmowy.

— To moje największe marzenie, księżu Bartoszu — wyznałem.

Proboszcz zamyślił się i pokiwał głową, jakby coś rozważając.

— Mam w takim razie do ciebie wielką prośbę, chłopcze — powiedział po chwili.

— Słucham księdza.

Doktor Ryś chrząknął znacząco, lecz proboszcz tylko zgromił go wzrokiem. Patrzył na mnie.

— Za trzy dni upływa pięćdziesiąta rocznica moich kapłańskich święceń. Pielęgnowuję od tamtej chwili pewien zwyczaj, palę znicz przy figurce świętego Jana Napomucena, lecz nie przy tej, o której teraz z pewnością myślisz — zastrzegł. — Jak sam widzisz, nie zdołam tam dotrzeć na czas. Czy pójdziesz tam i zapalisz go dla mnie, Tobiaszu?

— Z radością — obiecałem.

— Sam być może nie trafisz, lecz Franus cię zaprowadzi. Stary, poczciwy kościelny jak nikt inny zna moje zwyczaje i z pewnością także zapaliłby znicz, jednak zależy mi na tym, by płomyk zapłonął z ręki kapłana...

Pożegnałem się i skierowałem do drzwi. Ksiądz uniósł dłoń i skreślił za mną znak krzyża.

— Niech cię Bóg błogosławi chłopcze i czuwa nad tobą, jak i nad tymi, których ze sobą powiedziesz, gdy przyjdzie czas...

## **Jakub**

Mama pewnym krokiem prowadziła mnie przez łąki porośnięte wysoką trawą. Tanew rozlewała się w tym miejscu coraz szerzej. Szumiały wodospady. Na wzgórzu widoczne były pierwsze zabudowania wsi. W dole, przy rzece, zielona polana tętniła życiem. Mrowie turystów przechadzało się ścieżkami nad rzeką lub odpoczywało na rozpostartych nad wodą kocach. Słońce grzało coraz mocniej. Czułem, że to nasza jedyna wędrowka podczas tych wakacji. Nadchodził czas rozstania, lecz nie chciałem teraz o tym myśleć. Bałem się, że mama odczyta to z mojej twarzy.

— Tanew nazwano na cześć Tanewy, a skąd wzięła się nazwa Rebizanty?

Mama uśmiechnęła do mnie i natychmiast weszła w rolę przewodnika.

— Wiele osób nosi tutaj nazwisko Rebizant. Często używa się też nazwy Szumy — od wodospadów, które są tu

tak liczne. Natomiast sama wieś wzięła swoją nazwę od siłacza zwanego Rąbizadem, ponieważ jednym kopniakiem w zad, potrafił przegonić niedźwiedzia. Rąbać w zad, Rąbi—Zad, Rebizant, Rebizanty — logiczne...

— Tutaj wodospady są inne niż na Sopocie. — Patrzyłem na ułożone równo szypoty.

— Nasze są bardziej dzikie. Są przewodnicy, którzy powstanie wodospadów na Tanwi przypisują Rąbizadowi.

— To ciekawe. Gonił niedźwiedzia?

— Tym razem to za nim gnano. W czasie szwedzkiego potopu trafił na oddział wroga, przed którym uciekał korytem rzeki. By zatrzymać pogoń, ciskał w nich głazami, które ułożyły się w dwadzieścia cztery wodospady i pogrzebały w nurtach Tanwi szwedzkich żołnierzy.

— Powinni postawić mu pomnik. A może jest taki?

— Nie ma, niestety.

— Już go widzę... Potężny, owłosiony facet ze stopą wycelowaną w niedźwiedzi zad...

— Zgłoszę twój projekt do wójta — zaśmiała się. — Zobacz, jak pięknie.

Patrzyliśmy w milczeniu na malowniczo ułożone kaskady spienionej wody. Rozpierało mnie szczęście. Wspaniale było móc rozmawiać z nią o wszystkim, słuchać pięknych legend i zanurzać się w przeszłości, która w jakiś sposób także nas obejmowała.

— A te kamienne bloki na rzece? - zapytałem, gdy z ocienionego wąwozu wyszliśmy na zalaną słońcem polanę.

— Przeczytaj - wskazała porośniętą mchem tablicę.

— „W 50. rocznicę wybudowania pierwszej stnicy harcerskiej na Roztoczu. Zuchy, Harcerze i Instruktorzy Zamojskiej Chorągwi ZHP. Rebizanty dn. 24.09.1988 r.”

— Stanica spłonęła we wrześniu 1939 roku. Ten krzyż jest tu od niedawna.

Podszedłem do miejsca przypominającego grób. Ramiona krzyża zdobił wieniec. Pod nim stały wypalone znicze.

— Ślady wojny spotyka się tutaj na każdym kroku — zauważyłem.

— I to nie jednej, lecz wielu wojen, Jakubie. Tanew przez wiele lat była granicą zaboru austriackiego i rosyjskiego. Dzieliła Puszczę na dwie części. Przekraczali ją patrioci, którym groziła zsyłka lub więzienie. Przerzucano tędy broń i oddziały z Galicji, by wesprzeć powstanie styczniowe. Była świadkiem niejednej tragedii, podobnie jak Sopot i inne puszczańskie strumienie.

— Chciałbym zobaczyć, jak wyglądało to miejsce parę wieków wstecz - myślałem głośno, gdy zesliśmy ponownie do wąwozu.

— Wystarczy użyć wyobraźni... Zamknij oczy i posłuchaj ...

Zrobiłem, o co prosiła.

— Kiedyś rzekę otaczała nieprzebyta Puszcza, pełna dzikiego zwierza — opowiadała. — Polował w niej Jagiełło i Batory. Podziwiał Kochanowski, a wrażenia uwiecznił w poemacie *Dyras Zamechska*.

— Może jakiś mały fragment? - Otworzyłem oczy. Mama roześmiała się.



— Myślisz, że znam całe tomiki wierszy na pamięć?

— Tak podejrzewam...

— Pochlebca! — Potargała mi włosy na głowie. Cudownie było doświadczać prawdziwej matczynej czułości. Julia nie dała się długo prosić.

— „Jeśli chcesz rzek przezornych pławem napaść oczy, tu Sopot i Tenwica swoją rosę toczy, tu Tanew niehamowna San prędko napawa, a Tenwi dwóch ochotna Rodzina nie wydawa...” Dalej nie pamiętam. Słowo honoru!

— Ale mam zdolną mamę. Żywą, radosną i młodą...

— Och, ty! — zmrużyła oczy. Patrzyła na mnie z miłością. Przy małym źródełku bijącym między obmytymi przez

Tanew kamieniami zaspokoiliśmy pragnienie. Woda smakowała mi dokładnie jak ta ze studni we Wrzosowiskach. Mama też zaczerpnęła wodę dłonią i zwilżyła usta. Źródełko, jak mówiła, miało magiczną moc miłości bądź młodości. .. jak kto woli.

Na drewnianym mostku przerzuconym przez rzekę, patrzyliśmy na wodospady. Od rzeki ciągnął przyjemny chłód. Nagle moje myśli powędrowały ku Natalii. Poczułem ukłucie w sercu. Bardzo chciałem znowu ją zobaczyć i wszystko wyjaśnić. Wyznanie babci Emilki zachwiało w posadach naszym światem. Omdlenie uratowało mnie przed utratą zmysłów, Natalia zachowała przytomność, lecz nie wytrzymała napięcia. Potem szukała winnych i wyładowała złość na mnie i księdzu Tobiaszu. Może nie powinienem jej usprawiedliwiać, ale rozumiałem ją. I chciałem, żeby o tym wiedziała.

Jej myślami szarpał wichur uczuć. Wyrzucała je z siebie. Nie zobaczyłem jej we śnie. Nie pojawiła się w nim

„Sarna” ani Miszka Tatar. Ujrzałem za to moją przybraną matkę, której wciąż się bałem... Ta, którą odzyskałem, na szczęście nie czytała w moich myślach. Byłem szczęśliwy, że poznałem prawdę, a jednocześnie bałem się tego, co przed nami.

Rozmyślając, szedłem obok mamy, która prowadziła mnie teraz leśnym tunelem wzdłuż rzeki. Słyszałem szum wodospadów. Starłem się zapamiętać każdy szczegół krajobrazu i chwile spędzone z mamą, by towarzyszyły mi, gdy wrócę do domu.

— Wiesz, synku... — przerwała moją zadumę — przez lata zawarłam wiele znajomości. Turyści zakochują się w tych stronach i lubią tu wracać. I piszą do mnie. Zimą otwieram stare listy, przeglądam pocztówki i świąteczne kartki i wspominam lato. W jednym z listów zupełnie niedawno otrzymałam wiersz — legendę o Rąbizadzie. Tak mi się spodobał, że nauczyłam się go na pamięć. Chcesz posłuchać?

— Bardzo!

-Potrzebuję dobrej scenografii... O, tutaj będzie dobrze.

Zeszliśmy do cienistej zatoczki nad rzeką. Mama, nie zwracając uwagi na turystów robiących zdjęcia, przystanęła tuż nad wodą i tylko dla mnie recytowała wiersz:

*Rąbizad był silny, nad wyraz uczciwy, chętny do pomocy, bardzo sprawiedliwy. Nie znosił przemocy, słabszego obronił, groźnego niedźwiedzia kopniakiem przegonił*

*Kiedy Polskę zalał potop ze Szwedami, chętnie do walk stawał z Korony wrogami. Orężem mu były skały oraz sosny, był to bój zwycięski — dla wroga głośny. Skały padły w Tanew oraz jej dopływy. Rąbizad był ranny, prawie ledwo żywy; nie zdołał usunąć głazów z nurtu rzeki, sam nie żył długo i zamknął powieki. Zalegają skały w korytach strumieni, dzieła Rąbizada teraz nikt nie zmieni. Miejscowi wskazują — nie skrywając dumy*

*— oto właśnie owe szypoty lub szумы. Szumi woda w Tanwi, pokonując progi, że w inne walory też nie był ubogi. Nazwisko Rebizant częste w okolicy, pokłosem miłości zucha do dziewicy... \**

— Brawo! — Rozległo się klaskanie. Na ścieżce zatrzymała się grupa turystów. Mama ukloniła się dworsko.

### **Emilia**

Auto młodego policjanta było bardzo wygodne. Nie znałam się na markach samochodów, ale komfort podróży doceniłam, zwłaszcza na wspomnienie autobusu, który wiozł mnie do Zamościa.

Komisarz Krzysztof Zarębski był sympatycznym młodym człowiekiem, a do tego bardzo odczytanym.

\* Autor wiersza Wiesław Rutkowski

Interesował się historią, zupełnie jak Julia. Początkowo sądziłam, że porusza wojenne tematy, by zrobić mi przyjemność, okazać zainteresowanie i podtrzymać rozmowę. W końcu mieliśmy do pokonania około pięćdziesięciu kilometrów i dłuższe milczenie byłoby uciążliwe. Ale myliłam się. Policjant był prawdziwym pasjonatem. Gdy dopytywałam o szczegóły, odpowiadał z entuzjazmem i błyskiem w oku. Z Natalią to by sobie raczej nie porozmawiał. Moja wnuczka była kochanym dzieckiem, ale przeszłość niewiele ją obchodziła. Tylko ten jeden raz, wtedy, gdy umarła Marianna, pytała mnie o dzieje naszej rodziny i Wrzosowisk, ale podejrzewałam... nie, miałam pewność, że to jej nagle zainteresowanie miało inne źródło...

Krzysztof zmienił bieg, jechał szybko, ale ostrożnie.

— Odkryłem zupełnie niedawno — opowiadał — że wśród moich przodków był powstaniec styczniowy. Walczył razem z Romanowskim pod Józefowem.

— Tym poetą powstańcem?

— Tak. — Ucieszył się, że wiem, o kogo chodzi. — Często chodzę w miejsce upamiętnione krzyżem, gdzie rozegrała się bitwa, by zebrać myśli.

— Dość niespotykane. — Zaśmiałam się.

— Być może, ale po prostu to lubię - posłał mi uśmiech. Był naprawdę przystojnym, młodym mężczyzną. Kruczoczarne włosy przycięte krótko, niebieskie oczy, pięknie zarysowany profil.

— To mówi pan...

— Proszę mi mówić po imieniu — zaproponował. — Będzie mi bardzo miło.

— Dobrze, jak sobie życzysz. Mówiłeś, że twój prapra-dziadek służył u barona w Rudzie Różanieckiej?

— Tak. To w mojej rodzinie znana postać. Nazywał się Wojciech Kasperski i wznicił w dobrach barona strajk wozaków leśnych. Później stał na czele strajku.

— Odważny. Nic dziwnego, że jego prawnuk został policjantem!

— Kto wie, może jakieś geny odziedziczyłem. - Zaśmiał się. — Ale ja staram się trzymać procedur i słucham szefa. Nie wiem, czy Wojciech byłby ze mnie dumny.

— Domyślam się, że bunt w dobrach barona nie zakończył się dla niego pomyślnie?

— Zależy, jak na to spojrzeć. Obito go kijami do nieprzytomności, lecz zachował życie i wraz z rodziną, tuż przed wybuchem wojny, przeniósł się do Wrzosowisk. — Spojrzał na mnie.

— Naprawdę?

— Miał dwoje dzieci. Syn osiadł razem z nim we Wrzosowiskach, a córka wyszła za mąż za Zarębskiego i zamieszkała w Józefowie.

— Była twoją babcią?

— Słyszała pani może takie nazwiska?

— Niestety, nie znam ani Kasperskich, ani Zarębskich — powiedziałam po namyśle. - Urodziłam się tuż przed wojną, a gdy wróciliśmy do Wrzosowisk, były zupełnie spalone...

— Dlatego właśnie nic nie mogę na ich temat znaleźć prócz strzępów informacji usłyszanych od mojej babci.

— Babcia żyje?

— Nie, odeszła parę lat temu, gdy jeszcze niezbyt mnie to interesowało. Miałem inne zajęcia, naukę... A teraz mi żal, że nie słuchałem uważnie.

— Tak to już jest — przyznałam. — Ludzie tak szybko odchodzą. Ale czegoś się dowiedziałeś?

— To tragiczna historia. Wiem tylko tyle, że Wojciech i jego syn zostali zabrani przez Niemców do prac wykopaliskowych na Kościółku w Rebizantach.

— Na Zamczysku?

— Tak, ludzie różnie nazywają to miejsce. — Uśmiechnął się. - Podobno na polecenie samego Himmlera, który w tym czasie szykował się do objęcia w posiadanie Zamościa. Niemcy rozkopali wzgórze. Do pracy zwieziono chłopów z najbliższej okolicy. Wojciech i jego syn byli wśród nich. Robotnicy nigdy nie wrócili do domu. Nikt nie wie, co się z nimi stało.

— Wojna to najstraszniejsza z plag tego świata — westchnęłam. — Byłam mała i na szczęście niewiele z tamtego czasu pamiętam. Moja córka świetnie się w tych tematach orientuje.

— Będę o tym pamiętał — zapewnił.

Zatrzymał delikatnie auto przed domem. Reks biegał po podwórku i czekał.

— Bardzo ci dziękuję, chłopcze.

— Nie ma za co. - Wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi z mojej strony i otworzył je. Podał mi rękę i pomógł wysiąść. Potem wyciągnął z samochodu kule.

— Może napijesz się wody lub kompotu? — zapytałam.

— Muszę uciekać. — Spojrzał na zegarek. — Sześć czeka.

— No tak, służba nie drużba.

— Obiecuję, że panią odwiedzę. — Szarmancko ucałował mnie w dłonie. Wsiadł do auta i z rozpędem wjechał na polną drogę. Zupełnie jak Julia.

Podpierając się na kuli, ruszyłam wolno w stronę ławki. Gdy tylko usiadłam, wilczur cicho położył się u moich stóp. Powietrze falowało od unoszącego się z ziemi gorąca. Gips palił uwięzioną w nim stopę piekielnym żarem, lecz ze wszystkich sił starałam się o tym nie myśleć. Wierzchem dłoni otarłam spocone czoło. Najważniejsze, że udało się to, co zaplanowałam.

Natalia okazała skruchę i obiecała przyjechać. Na wszelki wypadek zostawiłam buteleczkę, gdy przystojny komisarz złożył nam niezapowiedzianą wizytę. Widziałam, jak spogląda na Natalię. Nie uszło mojej uwagi, że dziewczyna bardzo mu się podoba. Nie było się czemu dziwić.

Odziedziczyła urodę po matce, lecz charakterem bardzo od niej odbiegała. Być może przejęła temperament po swojej babci, ukochanej żonie Józefa, której zbyt dobrze nie znałam. Owszem, lubiłyśmy się i widywałyśmy często, lecz Natalia Zaborniak przyjaźniła się bardziej z Sabiną niż ze mną. Gdy Zaborniakowa umierała, moja siostra pomagała przyjmować poród, lecz to mnie przypadła rola mlecznej matki dla osieroczonego dziecka.

Parę tygodni wcześniej urodziłam Julię, a moje piersi wezbrały pokarmem. Mogłam wykarmić jeszcze jedno niemowlę. W ten sposób stałam się mleczną matką dla osieroczonej córeczki Józefa, przez co więź Julii i Natalii od początku była siostrzana, inna niż ta, która panowała między mną a Sabiną.

Wspomnienie bliźniaczej siostry jak zawsze dotkliwie mnie zabolalo. Byłyśmy jak ogień i woda, jak dzień i noc, słońce i księżyc, poranek i zmierzch. Różnice można byłoby mnożyć. Wielu słów nie umiałam jej zapomnieć, chociaż szczerze jej wybaczyłam. Za jedną rzecz byłam jej jednak wdzięczna, bo zgodziła się wykonywać ją za mnie. Gdyby się sprzeciwiła, musiałabym robić w życiu to, czego za żadne skarby świata robić nie chciałam...

Kiedy Marianna oświadczyła, że mam zostać tak jak ona akuszerką, przeraziłam się. Nigdy nie czułam do tego powołania i wszystkiego, co z tym związane, panicznie się bałam. Porody, do których zabierała mnie Marianna, bym się zawczasu przyglądała, wywoływały we mnie z każdym dniem coraz większy lęk.

Przerażały mnie jęki i krzyki kobiet, które w bólach wydawały na świat swoje dzieci. Trzęsłam się, gdy przytrzymywałam kolana rodzących, by ułatwić im parcie, gdy przecinałam pępowiny nowonarodzonych dzieci. Ich twarze pozostawały w mojej pamięci jako odbicie wykrzywionych bólem twarzy ich matek. Odchorowywałam wszystkie porody, przy których pomagałam Mariannie.

A dzieci wówczas rodziło się wiele. Mężowie rodzących wyciągali Mariannę z domu o najróżniejszych porach dnia i nocy. Wtedy matka rzucała wszystko i szła, a ja, z coraz większym oporem, szłam za nią. Bałam się, brzydziłam, nienawidziłam tego, ale chciałam ze wszystkich sił zapracować na pochwałę mojej przybranej matki, którą z całego serca kochałam. Jednocześnie modliłam się o to, by nie przyuczala mnie do tych umiejętności. I Bóg wysłuchał



moich próśb. Marianna pewnego dnia pogodziła się z myślą, że nie będzie ze mnie dobrej akuszerki.

— *To powołanie, a ty go nie masz Emilko. Sabina radzi sobie przy porodach znacznie lepiej. Ona mnie zastąpi.* — Ulga, którą poczułam, była wielka.

Spojrzałam na podwórko i uśmiechnęłam się. Wokół mnie hałasowało ptactwo. Radosny gwar przeplatał się z paniem koguta i gruchaniem gołębi, a ja myślałam o tym, że bardzo lubię swoje życie. Być może inni uważają je za nudne i nic nie warte, jednak ja widziałam w nim sens.

Nauczyłam się żyć zwyczajnie, zgodnie z rytmem ziemi. Zimą zachwyciałam się lodowymi mozaikami, które na szybach okien malował mróz. Wiosną wypatrywałam bocianów, które wracały z ciepłych krajów do swoich starych gniazd. Napawałam oczy młodą zielenią, błękitem nieba, ciepłem słońca. Latem spacerowałam bez umiaru po łąkach otaczających Puszcę i przynosiłam z tych wypraw pełne kosze ziół. Jesienią robiłam z nich nalewki, maści i herbatki na wszelkie dolegliwości, a smażąc powidła z owoców, które wciąż obficie rodziły drzewa w sadzie, myślałam o tym, jak będą smakować mnie i Mariannie, a pewnie i Józefowi, gdy zimą, usiadziemy przy ciepłym piecu, by porozmawiać lub wspólnie pomilczeć. Lecz od tego lata już wszystko będzie inaczej. Ogarnął mnie ponownie wielki smutek i odżyły wspomnienia.

Pamięć o Róży Sokół była w naszym domu świętością. Nie wiedziałyśmy, co się z nią stało. Byłyśmy zbyt małe, by to zrozumieć. Marianna zawsze powtarzała, że zabrała ją wojna, która była prawdziwym piekłem na ziemi. Z tego

piekła i ze szponów śmierci wyrwała ją nasza matka — Róża Sokół, o której Marianna nigdy nie pozwoliła nam zapomnieć. Marianna była dla nas surową, lecz zawsze sprawiedliwą nauczycielką. I prawdziwie nas kochała. W końcu przestałyśmy pytać o Różę i naszą jedyną matką pozostała na zawsze Marianna.

Gdy wybrzmiały ostatnie pomruki wojny, Marianna zabrała nas do Wrzosowisk, które spłonęły doszczętnie w listopadzie 1941 roku. Mieszkańcy okolicznych osad i wsi wracali do swoich domostw i podnosili je z ruin. Byliśmy jedną z takich rodzin. Początki nowego życia były bardzo trudne, lecz umacniała nas nadzieja na lepsze jutro. Wojna stawała się przeszłością, lecz wokół nas wciąż widoczne były rany i zgliszcza, które pozostawiła w sercach i umysłach i które jeszcze długo nie dawały o sobie zapomnieć.

Spojrzałam na leżącego przy moich nogach Reksa. Był kolejnym wilczurem, który nosił to imię, a nawet wyglądał tak, jak jego poprzednicy, lecz najbardziej ze wszystkich przypominał tego, z którym Marianna zostawiała nas w leśnej chacie, gdy szła do pracy przy odbudowie naszych zniszczonych podczas wojny domów. Pomagałyśmy jej ze wszystkich sił, lecz matka odsyłała nas do lżejszych zajęć w lesie lub na łące, a sama ramię w ramię z młodzieńcem Józefem pracowała przy odbudowie domostwa.

Oboje wojna pozostawiła sierotami zdanymi na własne siły. Marianna miała pod opieką mnie i Sabinę, Józefowi z całej rodziny pozostała tylko siostra. W ten sposób nikt oprócz nas nie wrócił na wzniesienie, które zyskało nazwę Wrzosowiska Stare. Tak pozostało do dzisiaj. W sąsiedz-

twie były jedynie łąki, stary cmentarz nad rzeką i pobliski las. Inni osadnicy wybudowali domy w dolinie Sopotu. Tak powstała wieś Wrzosowiska Nowe. I tak płynął czas.

## **Jakub**

Słońce przeglądało się w wodzie.

— Zobacz. Tam na tej ogrodzonej wysepce jest pomnik. — Mama oprowadzała mnie po najodleglejszych zakątkach wsi Huta Szumy, dawniej Rebizantów. Minęliśmy zakole, w którym Tanew łączy się z kolejną rzeką, piaszczysty odcinek drogi i szosę, przy której stały zaparkowane auta. Za mostem, mijając na wąskiej ścieżce grupę rozspiewanych turystów, weszliśmy ponownie na łąkę.

— W tym miejscu Józef Piłsudski przekraczał granicę zaborów w 1901 roku, gdy uciekał ze szpitala więziennego w Petersburgu. Pomocą służył mu włościanin Mikołaj Rebizant.

— Pewnie jakiś praprawnuk Rąbizada? — dopytywałem.

— Na pewno. — Uśmiechnęła się. — Chodź, pokażę ci jeszcze jedno miejsce... — Po kilkunastu metrach stanęliśmy przed kolejnym pamiątkowym głazem.

— „Leśnikom Patriotom”, walczącym z zaborcami o odzyskanie niepodległości — przeczytałem.

— Legenda głosi, że Piłsudski przekroczył Tanew w mundurze leśnika. Pójdziemy teraz tędy. — Wskazała leśny szlak.

Słońce powoli zniżało się i upał był coraz mniej dotkliwy. Wracaliśmy do domu tylko mamie znaną ścieżką. Żad-

na dróżka, nawet najmniej widoczna wśród łąki czy drzew, nie była dla niej tajemnicą. Pragnąłem poznać moją mamę jak najlepiej, dlatego wciąż pytałem, a ona cierpliwie opowiadała. Mogłem w nieskończoność słuchać i odkrywać nowe rzeczy, bo w ten sposób odkrywałem siebie. Julia Sokół musiała być przed laty szczęśliwą dziewczyną. Byłem ciekawy, jak wspominała czas, gdy była w moim wieku.

— Zmęczony?

— Odrobinę - przyznałem.

— Przed nami jeszcze szmat drogi.

— Umilisz mi czas jakąś opowieścią?

— Jeszcze nie masz dosyć? Lepiej posłuchaj świerszczy. — Zaśmiała się.

— Zdecydowanie wolę słuchać ciebie — nie ustępowałem.

— A zatem o czym?

— O tobie, mammo...

## **Tobiasz**

Polna droga w kierunku zabudowań Sokołów i Zaborniaków wiła się malowniczo wśród obsypanych delikatnymi kwiatkami łąk. Spłoszone moimi krokami szpaki wzleciały w niebo, zakołowały nad domami Emilii i Józefa, po czym z wielkim szumem opadły w dolinę Sopotu. Przystanąłem zauroczony tym widokiem.

Zmęczenie, które czułem, przemierzając nagrzane słońcem uliczki Zamościa, minęło. Spowiedź dała mi upragniony spokój, a uwolniona od grzesznych myśli du-

sza rozpostarła skrzydła, gotowa wzlecieć w przestworza. Na jak długo starczy mi sił, zanim zbrukam ją powszednim grzechem?

Jako pokutę miałem rozważać życie świętego Pawła, który zanim stał się apostołem, był jak wilk pożerający owce, tropił i zabijał tych, którzy głosili prawdę o Jezusie. Lecz oślepl na trzy dni i trzy noce, gdy usłyszał głos, który mówił: „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz. Wstań i wejdź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić”.

Rozmyślając, doszedłem do zabudowań Sokołów i Zaborniaków. Na łączce w pobliżu drogi piętrzył się stos gałęzi, patyków i ułożonych starannie drewniaków. Obok przygotowane były wiadra z wodą. Domyśliłem się, że wieczorem zapłonie tutaj ognisko. Skoro tak, wszystko było w porządku.

Zawstydzilem się, że od wczorajszego wieczoru myślałem tylko o sobie. Rozpamiętywałem słowa brata, zapominając o tym, co przeżywała Julia i mój podopieczny. Przyspieszyłem kroku. W oddali dostrzegłem Józefa. Nie widział mnie, bo przepinał właśnie Łaciatą na nowe miejsce, by skubała świeżą trawę. Stara klacz z rozwianą grzywą biegała po łączce i głośno parskala.

Emilia siedziała na ulubionej ławeczce wśród zrudziałych od słońca krzewów bzu. Na polną drogę wybiegł Reks, radośnie szczekając na mój widok. Pogłaskałem wilczura, który wesoło machając ogonem, prowadził mnie do swojej pani.

## Jakub

— Ciotka Sabina i wuj Eryk wielokrotnie namawiali mnie do odwiedzin — opowiadała mama, gdy wolnym krokiem szliśmy w kierunku Suśca. — Nie mieli upragnionego dziecka i traktowali mnie jak własną córkę. Zwłaszcza wuj Eryk gotów był sfinansować moje studia i pomóc mi w znalezieniu pracy w Niemczech. Ciotka Sabina była może mniej skora do takiej ofiary, jednak patrzyła na mnie przychylnie ze względu na męża, którego bardzo kochała. Miło było patrzeć, jak codziennie okazują sobie wzajemny szacunek i przywiązanie. Wzrok ciotki łagodniał zawsze, gdy patrzyła na Eryka. W moim rodzinnym domu nie miałam okazji obserwować podobnych relacji...

Mama zamyśliła się i jakby posmutniała, ale po chwili opowiadała dalej.

— Babcia Marianna napomknęła mi, że siostry dawno temu bardzo się pokłóciły i odtąd ze sobą nie rozmawiają. Sabina wypominała mamie złe prowadzenie i to, że byłam grzesznym owocem jednej nocy. Nie znam swojego ojca. Gdy byłam dzieckiem, marzyłam, żeby go poznać.

— Pytałaś o niego babcię?

— Nie raz, ale zawsze umiała mnie zbyć. W końcu przestałam pytać. Dowiedziałam się tylko tyle, że ojciec na wieść o ciąży szybko się ulotnił i słuch po nim zaginął. Patrzyłam na mamę i nie chciałam, żeby w życiu spotkała mnie podobna przygoda.

— I wyjechałaś do Niemiec?

— Tak. Udało się dzięki babci Mariannie. Znała ich adres. Pisałam do nich listy w tajemnicy przed mamą. Do-

piero po dłuższym czasie powiedziałam mamie prawdę i czekałam na wybuch gniewu. Według Marianny Emilka wpadała w szewską pasję na najmniejszą nawet wzmiankę o Sabinie. Mama jednak przyjęła tę wiadomość z dziwnym spokojem.

— Nie umiem sobie wyobrazić rozgniewanej babci.

— Na twoje szczęście! — Mama przewróciła oczami. — Babcia Emilka czasem przestaje być łagodnym barankiem i potrafi zamienić się w groźnego wilka...

— Ale wtedy się pogodziły?

— Nie do końca. Można powiedzieć, że zakopały wojenny topór i nawiązały „stosunki dyplomatyczne”. Czasem do siebie dzwoniły, ale bardzo rzadko. A potem, gdy wróciłam o jeden dzień wcześniej... — załamał jej się głos.

Przystanęliśmy na ścieżce.

— Przepraszam, że rozdrapuję przeszłość, mamo. Nie powinienem.

— Nie przepraszaj, synku. Musimy wyjaśnić sobie wszystko, także to, co boli. Jeśli wyrzucę to z siebie, może będzie mi łatwiej pójść z Tobiaszem na wrzosowiska. Chcę zamknąć ten rozdział swojego życia, ale żeby to zrobić, muszę przekonać samą siebie, że przeszłość to przeszłość. Więc pytaj, Jakubie, bo w ten sposób mi pomagasz.

— Mieszkali w Monachium? — Zapytałem o pierwszą rzecz, która od pewnego czasu mnie nurtowała.

— Nie, synku. Mieszkali na wsi, w niewielkiej gminie Igling, w jednej z baszt pięknego, starego zamku na terenie posiadłości Grafa von Maldeghem. Zamek był jego własnością i nie był wówczas dostępny dla odwiedzających. Nie wiem, czy nadal tak jest. Do Monachium jeździliśmy

na wycieczki, zwykle pociągiem. W pobliżu była stacja i linia kolejowa. Byłeś kiedyś w Schlos Igling?

— Nie, ale wiem, że mieszkają tam krewni ojca. Kiedy ma... kiedy umarła Sabina — poprawiłem się — ojciec poprosił mnie, żebym wysłał list z powiadomieniem o terminie pogrzebu. Zaadresował kopertę: Zerfass, Schlos Igling, Lansberg am Lech.

— Tak, to ten sam adres. — Zamyśliła się. — Wuj nigdy nie podawał swojego imienia, tylko nazwisko. Listy zawsze docierały pod wskazany adres, bo Eryk zawsze na nie odpisywał... I ktoś przyjechał na pogrzeb? Poznałeś kogoś z Zerfassów?

— Na pogrzebie była tylko garstka ludzi. Wśród nich mężczyzna z córką. On był wysoki i postawny, miał ciemne włosy przetykane siwizną, błękitne oczy i bardzo szlachetne rysy, jakie widuje się zwykle na antycznych rzeźbach. Ona była podobna do ojca, miała jego wydatny, ale kształtny nos, i duże usta. Oczy miała zielone, a włosy rude.

— Dobrze się jej przyjrzałeś... — Zauważyła z uśmiechem, a ja poczułem, że się czerwienię.

— Pamiętam, że ta dziewczyna wpatrywała się we mnie z dziwnym uporem, jakby chciała, bym na nią spojrział. Czułem na sobie jej wzrok i gdy w końcu spojrziałem na nią, ona patrzyła mi prosto w oczy i nie przestawała. Nie chciałem patrzeć, lecz to było silniejsze ode mnie. Ona cały czas na mnie patrzyła. Nie mogłem się skupić na modlitwie, rozpraszała mnie i było mi wstyd, że nie uczestniczę w pogrzebie jak należy.

— I co było potem? Poznałeś ich?

— Nie. Widziałem ich tylko na cmentarzu, nie byli w kościele.



— Eryk coś o nich mówił?

— Ani słowa. Jakby ich wizyta nie miała miejsca. A ja nie pytałem, chociaż byłem bardzo ciekawy.

— Na pewno nigdy wcześniej ich nie widziałeś?

— Pozostałych żałobników rozpoznałem, jednak tych widziałem po raz pierwszy. Tak naprawdę mieliśmy bardzo niewielu znajomych. Większość to pielęgniarki, lekarze, prawnicy, którzy czasem odwiedzali ojca w związku z interesami...

— W Iglingu wuj był administratorem w zamku, zajmował się głównie klubem golfowym. Miał biuro w starej oficynie. A w Monachium, czym się zajmował?

— Nie wiem, mamó. W gabinecie ojca stoi ogromna misa wypełniona piłeczkami golfowymi. Myślałem, że kolekcjonuje je, bo każda była inna, z innym emblematem, pozwalał mi się nimi czasami bawić, gdy byłem mały. Turlałem je po podłodze i potrafiłem patrzeć na nie godzinami, chociaż Sabinie to się nie podobało... Rodzice byli dobrze sytuowani i nie brakowało mi niczego.

— Oprócz prawdziwej miłości... — Przystanęła. — Sabina była dla ciebie bardzo surowa, prawda?

— Nie chcę źle o niej myśleć. Inaczej wyrażała swoją troskę...

— Jesteś dla niej zbyt wyrozumiały, synku. Sabina cię krzywdziła.

— Wychowywała mnie bardzo surowo, ale chcę wierzyć w to, że robiła to dla mojego dobra.

Mama nie odezwała się, tylko zagryzła usta.

— Mamó, nie gniewaj się, proszę.

— Ależ skąd, Jakubie. — Objęła mnie ramieniem. — To ja przepraszam. Jakkolwiek to zabrzmiało, oprócz złości czuję za-

zdrość. Tak, jestem zazdrosna o Sabinę, że miała cię przy sobie przez cały ten czas, gdy ja nawet nie śniłam o twoim istnieniu.

— Ale teraz wszystko będzie inaczej... Nie smuć się z powodu naszej przeszłości. Jej nie możemy zmienić, ale ten dzień i wszystkie kolejne należą do nas. Mamy siebie na zawsze, cokolwiek się wydarzy.

— Mam bardzo mądrego syna. — Jej oczy zaszkliły się.

— Staram się — zażartowałam.

— O czym ci jeszcze opowiedzieć?

— Co jeszcze pamiętasz z czasów, gdy odwiedzałaś moich przybranych rodziców?

Mama przez chwilę się zastanawiała.

— To może zabrzmieć dziwnie — odezwała się w końcu — ale czułam się w Iglingu jak w domu. Okolice były bardzo podobne do Wrzosowisk. Nic dziwnego, że ciotce było tam dobrze i nie musiała nas w Polsce odwiedzać. Mieszkali dość skromnie, bo, jak na zamek, mieli do dyspozycji zaledwie parę pokoi z kuchnią i łazienką, mieszczących się w jednej z baszt. Ale było tam dość wygodnie. Miałam swój własny pokój od południowej strony. Z okna rozciągał się widok na okoliczne łąki, las i pola golfowe. Krajobraz bardzo przypominał Roztocze. Płynęła tam także rzeka przetykana wodospadami, zupełnie jak Sopot. Basztę odgradzały od zamku potężne rusztowania, miała osobne wejście, a cały zamek otaczał wysoki mur pokryty bluszczem. Wciąż trwały prace budowlane. Remontowano kolejne części zamku.

— Nie wiesz, dlaczego przenieśli się do Monachium?

— Dla mnie to też jest dziwne. Wydawali się zadowoleni i związani z tym miejscem, chociaż odczuwałam

czasami jakieś napięcie. Nie wiem, na jakich zasadach Sabina i Eryk tam mieszkali, nigdy nie poznałam nikogo z jego krewnych ani nikogo z właścicieli — Maldegheimów. Było to dla mnie dziwne, ale przecież nie była to moja sprawa. Główna brama była zawsze zamknięta. Kiedyś wyszłam na spacer, zajrzałam na pobliski cmentarz. Był bardzo piękny, ale nie zdążyłam go obejrzeć, bo wuj mnie stamtąd szybko zabrał, a Sabina po moim powrocie była wściekła. Jakby nie chcieli, żebym spacerowała w pobliżu zamku.

— Może bali się, że zabłądzisz, albo właściciele sobie tego nie życzyli.

— Może — przyznała — ale było coś jeszcze. Wujek przestrzegał mnie przed spacerami po polu golfowym. Mocno uderzona piłeczka golfowa leciała z ogromną prędkością i siłą. Podobno czasem zdarzały się wypadki.

— A ojciec... był zupełnie sprawny?

— Tak, ale gdy wychodziliśmy na dłuższy spacer, zabierał ze sobą laskę. W domu i biurze poruszał się bez niej. Ale minęło przecież dwadzieścia lat. To bardzo dużo... Tak mi wstyd, że dotąd o niego nie zapytałam. Jak on się teraz czuje? I czy w ogóle masz z nim jakiś kontakt?

— Prosił, bym odpoczywał i nie martwił się o jego zdrowie. Ksiądz Tobiasz zadzwonił do niego, jak tylko dotarliśmy na miejsce i wszystko było w porządku.

— Myślisz, że on wiedział, że poznasz prawdę? Że się spotkamy?

— Teraz myślę, że tak. Ksiądz Tobiasz powiedział mu, że jestem we Wrzosowiskach. Na pewno wspo-

mniał u kogo... Ojciec chciał, żebym poznał prawdę, inaczej nie pozwoliłby mi jechać.

Czułem, że mama chce jeszcze o coś zapytać, ale wycofała się, jakby odganiając tę myśl od siebie. Byłem jej za to wdzięczny, bo musiałbym powiedzieć jej prawdę, że zamierzam wrócić do Monachium, już niedługo.

Rozmawiając, doszliśmy na parking. Pomiedzy drzewami dostrzegłem zabudowania szkoły. Byliśmy niedaleko samochodu.

— Czy był jakiś szczególny powód twojego wcześniejszego wyjazdu do Wrzosowisk? — zapytałem, bo nie dawało mi to spokoju.

Mama chwilę się zastanawiała. Ponowne spojrzenie na odległe zdarzenia bywa czasami odkrywcz.

— Gdy teraz o tym myślę, odnoszę wrażenie, że Sabina, chciała się mnie, jak najszybciej pozbyć... Wujek był wspaniały, jak zawsze, ale ona przechodziła samą siebie. Jakby coś w nią wstąpiło. Codziennie miała o coś pretensje. Źle wyrażała się o mojej mamie, urządziła mi karczemną awanturę, gdy podsłuchiwała, jak opowiadam Erykowi o wiedźmach z wrzosowisk. Twierdziła, że obrażam tym Boga. Wuj nie potrafił jej uspokoić. Wtedy wyjechałam...

Ciąg dalszy tej historii, już dobrze znałem.

## **Julia**

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy pokonaliśmy ostatni odcinek powrotnej drogi. Na parkingu stał tylko nasz samochód. Znowu dopadły mnie ponure myśli.

— To takie... nierealne, Jakubie - poskarżyłam się, wyciągając z kieszeni kluczyki od samochodu. — Czy znajdziemy w sobie siłę, by to godnie przetrwać? — Spojrzałam na syna.

Jakub także był zamyślony. Nie odpowiedział od razu. Jego czoło przecinała głęboka zmarszczka. Szedł obok mnie, dotykając dłonią szkaplerznego medalika, który ofiarowała mu Marianna.

— Nie wiem, lecz powinniśmy spróbować — powiedział, przystając przy samochodzie. Ściągnął plecak.

— Jesteś silny wiarą, Jakubie. A ja... cóż... Chyba ponownie ją straciłam. — Zacisnęłam usta, by nie wybuchnąć płaczem. Spojrzał na mnie z troską.

— Wszystko będzie dobrze, mamo.

Skinęłam głową, lecz Jakub wiedział, że nie do końca mu wierzę. Wsiadliśmy do samochodu.

— Kiedyś myślałam, że baśnie i legendy są tylko opowieściami, lecz po tym, co usłyszeliśmy od Tobiasza... Po tym wszystkim dostrzegam w nich coraz większe ziarno prawdy. Ale wciąż pozostaję nieufna...

— Jak święty Tomasz?

— Tak, to chyba trafne porównanie, Jakubie. Jak święty Tomasz, chociaż dwukrotnie zmartwychwstałam... Pierwszy raz, gdy Tobiasz uratował mi życie na wrzosowiskach, a drugi raz, gdy ożyłeś ty — dziecko, które uważałam za umarłe...

Głos mi się załamał. Jakub uścisnął moją dłoń.

— Grób był pusty, a droga do Emaus, wciąż jeszcze przed nami...

Miał dar przekonywania. Zatrzasnęłam drzwi i zapaliłam auto.

— Chyba już nic nowego dzisiaj nie wymyślimy, synku. — Spróbowałam wrócić do równowagi. — Wracajmy. Babcia na pewno już nas wypatruje.

Jakub bez słowa zapiął pasy, przeżegnał się i spoglądając na mnie spod oka, wezwał głośno opieki świętego Krzysztofa. Rozbawił mnie tym gestem. Ruszyłam z impetem i wjechałam na szosę z piskiem opon. Jakub udawał, że się boi, lecz ja wiedziałam, że to nieprawda.

## **Emilia**

Kochany Tobiasz... Razem z Jakubem niósł druciany kosz z ziemniakami. Na wieść o ognisku zapragnął skosztować ziemniaków pieczonych w żarze. Gdybym nie znała prawdy, uznałabym — jak Adam — że Tobiasz i Jakub mogliby być ojcem i synem. W obu była dziecięca radość. Obaj mieli jasne jak len włosy. Tylko oczy księdza były błękitne jak niebo, a Jakuba czarne jak głębia oceanu. Patrzyłam na nich z uśmiechem.

Właśnie zerwał się wiatr, lecz obaj nic sobie z tego nie robili, pozwalając, by targał im włosy. Przechodząc obok ogrodu za domem, Tobiasz odstawił kosz i pochylił się nad krzakami białych i soczyście różowych floksów i z przymkniętymi oczami wdychał w płuca ich słodki zapach. Jakub poszedł w jego ślady. Byli stworzeni do życia na wsi.

Miasto sprawiało, że Tobiasz przyjeżdżał na wypoczynek blady i smutny. Podobnie wyglądał Jakub, gdy stanął po raz pierwszy w drzwiach mojego domu. Teraz obaj byli weseli, opaleni i chyba szczęśliwi mimo codziennych trosk.

Kochałam Tobiasza jak własnego syna. Dla jego brata — mimo wszystko - także czułam wiele sympatii i szacunku, chociaż Marianna bardzo go nie lubiła i nazywała wilkiem w owczej skórze...

Adam kochał Julię. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Tym bardziej bolał mnie wybuch zięcia i jego słowa, tak okrutne, tak pełne nienawiści. Ale z drugiej strony, czyż mogłam mu się dziwić? W końcu nie był ślepy, a miłość Tobiasza do Julii jaśniała w oczach księdza wciąż tym samym, młodzieńczym blaskiem i chociaż jego uczucie, głęboko skrywane przed światem i przed nim samym, było czyste i niewinne, jego młodszy brat musiał to kiedyś zauważyć.

Adam nie wiedział, co tak naprawdę się stało, nie był świadkiem ostatnich wydarzeń, a przyjaźń Tobiasza i Julii napawała go strachem. Wyobraził sobie więcej, niż powinien. Strach ma wielkie oczy. Adam nie był bez winy, lecz któż z nas posiada kryształowe sumienie? Ja także miałam sobie wiele do zarzucenia.

Ubarwiłam przed Tobiaszem wspomnienie bliźniaczej siostry i swoją dla niej czułość. Dlaczego to zrobiłam, nie wiedziałam. Może wstydziłam się przed księdzem przyznać do grzechu, bo przecież zazdroszcząc, grzeszyłam. Byłam pewna, że w duszy Tobiasza nie było nawet cienia zazdrości. Nieustannie walczyłam z Sabiną o miłość i uwagę Marianny. Rozumiałam przez to Adama. Zazdrość, której tak jak mój zięć nie umiałam poskromić, przesłaniała mi często siostrzaną miłość.

Spośród wszystkich niewybrednych słów usłyszanych od siostry na zawsze zapamiętałam te, które rzuciła mi

w twarz, zabierając niemowlę. „*Po raz kolejny przyjmuję na swoje barki twój grzech, Emilio, bo, w przeciwieństwie do ciebie, jestem posłuszna. Nie oczekuję nagrody, bo wiem, że córka marnotrawna zawsze będzie miła zatroskanym oczom nasiej matki. Mam tylko nadzieję, że w końcu dostrzeżesz tę niepodważalną prawdę, że twój grzech spadł właśnie na głowę twojego jedyne dziecko. Julia cierpi za twoje grzechy, Emilio! Niech dobry Bóg przebaczy ci winy i gachowa w swojej opiece...*”

Tego dnia przestała dla mnie istnieć. Ona i dziecko, które *zabrała*. Nie umiałam jej wybaczyć okrutnych, chociaż — jak przyznałam po latach — prawdziwych słów. Z upływem lat moja niechęć do siostry znacznie osłabła. Może dlatego dałam się ponieść tylko tym dobrym wspomnieniom, które ożyły przy Tobiaszu. Nie potrafiłam jednak zapomnieć tamtych słów.

## **Jakub**

Zapadł zmrok i niebo nad Wrzosowiskami zalśniło tysiącem gwiazd, lecz księżycy wciąż jeszcze nie było widać. Ognisko płonęło na łące za domem. Siedzieliśmy w jasnym kręgu ognia na małych drewnianych stołeczkach, które sam wykonał dziadek Józef. Dym ścielił się nisko nad łąką. W trawie przygrywały świerszcze, wirtuozi smyczka. Zaszuchani w ich koncert spoglądaliśmy w płomienie, które figlarnie skakały w górę. Mimo wszystko atmosfera nie była zbyt dobra...

Odprężenie po powrocie do Wrzosowisk i dobry nastrój związany z nowiną Emilii i Józefa minęły bezpowrotnie. Ja



także się do tego przyczyniłem. Zraniłem mamę, oświadczając, że wracam do Monachium. Odkąd usiedliśmy przy ognisku, mama patrzyła w ogień, jakby chciała wejść w jego środek i spłonąć. Czar wspólnej wędrówki, naszych rozmów i baśniowej scenerii przysłał jak bańka mydlana.

Spojrzałem na babcię, szukając u niej wsparcia i ratunku. Ona także niespokojnie przyglądała się mamie, która nieruchomo siedziała przy ognisku. Zdawało się, że Reks także posmutniał. Leżał przy nogach babci Emilki z głową opartą na łapach i tak jak Julia, patrzył w ogień. Ksiądz również wydawał się nieobecny. Wrzucił do ognia gałązkę jedliny i wyraźnie rozkoszował się jej zapachem. Dziadek Józef wyciągał z popiołu zwęglone ziemniaki, na które nikt już nie miał ochoty. W ciszy przetykanej cykaniem świerszczy jego wysiłki i mruczenie pod nosem były jak pomruki nadchodzącej burzy.

Postanowiłem przełamać milczenie i powiedzieć cokolwiek, byle odsunąć nasze myśli od Czartowego Pola, Natalii, klątwy i mojego wyjazdu do Monachium.

— Proszę księdza... — Mój głos zabrzmiał w ciszy wieczoru jak armatni wystrzał. Wszyscy podnieśli na mnie wzrok. — Zna ksiądz legendę o Tanewie?

Uśmiechnął się i skinął głową.

— Babcia Marianna była niewyczerpanym źródłem przepięknych opowieści.

— Czy Noc Kupały można porównać do niemieckiego Mittsommerfest?

— Jest pewne podobieństwo — odpowiedział po zastanowieniu. - Noc Kupały związana była z letnim przesileniem słońca. Obchodzono ją przed wiekami podczas naj-

krótszej nocy w roku, przypadającej 21 czerwca. Kościół uczynił z tego dnia święto chrześcijańskie, którego patronem uczynił świętego Jana Chrzciciela. Tak narodziła się Noc Świętojańska, obchodzona parę dni później.

— Święty Jan został jej patronem ze względu na chrzest, jakiego udzielał w wodzie?

— Zdania na ten temat są podzielone. Nazwa ta, Noc Kupały, jednak niewiele ma wspólnego z kąpielą, podobnie zresztą jak z rzekomym słowiańskim bóstwem miłości...

Wszyscy słuchali uważnie wpatrzeni w postać księdza. Tobiasz miał niezwykły dar mowy. Kazania, które wygłaszał w kościele, przyciągały wiernych. Umiał w prosty sposób mówić o rzeczach niezwykle trudnych. Znowu całym sercem zapragnąłem być taki jak on.

— Kupała oznacza raczej gromadę, zbiorowość - mówił dalej. — Noc tę zaczęto także nazywać sobótką, co, jak wiesz, Jakubie, oznacza mały sabat...

— I znowu mamy wiedźmy... — wtrącił dziadek Józef. Mama z ponurą miną patrzyła w płomienie. Jej melancholia stawała się coraz bardziej widoczna dla wszystkich.

— Kupalnocka poświęcona była żywiołom wody i ognia — mówił ksiądz. — Było to także święto miłości, płodności, słońca i księżyca... Według wierzeń wodniki, wodnice i utopce oraz większość pozostałych demonów wodnych znanych ze słowiańskiej mitologii lubiło zaczajać się na spragnionych lata ludzi, którzy nierozsądnie zażywali kąpeli w Noc Kupały...

— Dopiero podczas Nocy Świętojańskiej, podczas letniego przesilenia, kiedy noc jest najkrótsza, a dzień najdłuższy, woda staje się bezpieczna za sprawą świętego Jana

Chrzcziciela - włączyła się babcia Emilka. Dziadek Józef słuchał z uwagą.

— A co powiesz, jako duchowny, o tajemniczym duchu Puszczy, którego gród, znajduje się, jak chce baśń, na Czartowym Polu? — zapytał dziadek.

Mama wyraźnie pobladła na te słowa i nie patrzyła już w ogień, tylko wpatrywała się w księdza Tobiasza.

— Józek, nie teraz! — ostrzegła go babcia, ale było za późno.

— Odpowiedz, Tobiaszu! — Zażądała mama. — Chcę wiedzieć.

Wrzuciła do ognia dużą gałąź, która wystrzeliła płomieniami, rozjaśniając nasze twarze.

— O samym duchu Puszczy, czy jak chciała Marianna, o Tym, Który Wie, nigdy nie słyszałem - odpowiedział spokojnie ksiądz Tobiasz. — Jednak według mnie istotą rzeczy jest postać, którą przybiera...

— Wilk... — podpowiedział dziadek Józef. Wyraz jego twarzy zmienił się. Zacisnął szczęki i spochmurniał. Babcia Emilka pogłaskała go ukradkiem po zaciśniętej dłoni...

— Ogromny... szary... wilk... — Mama z naciskiem wymawiała poszczególne słowa. Jej głos był lodowaty.

— Chrześcijaństwo utożsamiało go z diabłem, przeciwstawiając Jezusowi, którego symbolem jest baranek. Słowianie moc przybierania wilczej postaci przypisywali Welesowi, pogańskiemu władcy zaświatów, które zwano Nawią...

— Nie zapominaj o najważniejszym, Tobiaszu... — przerwała mu mama. — Wilki łączy się z czarownicami, które miały dosiadać te zwierzęta jako wierzchowce...

— Dość już tych ponurych opowieści — weszła jej w słowo babcia.  
— Baśnie opowiadane przez Mariannę były tajemnicze i przyprawiały o dreszcze, ale nie opowiadała ich po to, byśmy je naukowo analizowali.

Umilkliśmy. Babcia pochyliła się nad Reksem.

— Dobry piesek, dobry — przemówiła czule, głaszcząc go po głowie.  
— Tęsknisz za Marianną? — szepnęła mu do ucha, a wilczur polizał ją w rękę.

— Tak jak my wszyscy — odgryzła się mama. Chwyliła sosnową gałąź i wrzuciła ją do ognia. Posypały się iskry, a dym zaszczyptał nas w oczy.

— Obiecała Tobiaszowi, że przemówi — chrząknął dziadek Józef, próbując ratować sytuację, ale czułem, że ją tylko pogarsza.

— A jeśli to były tylko chorobliwe rojenia staruszki?! — krzyknęła mama, przebiegając wyzywającym wzrokiem po naszych twarzach.

— Nie mów tak! — Upomniała córkę Emilia. - Marianna była zdrowa na umyśle i zawsze mówiła prawdę.

— A jeśli jest tak, jak mówię? Jeśli to wszystko tylko nam się zdawało, przyśniło... Co wtedy? — Mama potoczyła po naszych twarzach zbolałym wzrokiem. Opuściłem głowę. Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

— Odnalazłaś syna, Julio. Czy to nie dostateczny dowód? — zapytał cicho ksiądz Tobiasz. Patrzył w oczy Julii spokojnie, jakby chciał, by wyładowała złość właśnie na nim. Mama, jakby na przekór sobie, brnęła w swoich oskarżeniach coraz dalej.

— Jaką mam pewność, że naprawdę słyszysz głosy zmarłych?! Skąd mam to wiedzieć?

— Musisz uwierzyć mi na słowo. — Tobiasz nie pozwalał się wytrącić z równowagi.

— Nie siedzę w twojej głowie, do cholery! — Zaciśnęła dłonie na skroniach, jakby ból rozsadał jej czaszkę. — Może jesteś szalony, jak my wszyscy?

— Dla nikogo z nas nie jest to łatwe, Julio. — Wciąż mówił spokojnie.

— To tylko dowód na to, że moja matka kłamała! Babcia Emilia zbladła.

— Wiem, że miałaś najlepsze intencje — krzyczała mama do babci — ale to nie zmienia faktu, że rozdzieliłaś mnie z moim synem!

Chciałem zaprotestować, pomóc babci, pocieszyć mamę, lecz ksiądz spojrział na mnie i pokręcił głową. Nie ruszałem się z miejsca.

— Uspokój się, Julio — powiedział Tobiasz, wstając. Mama zerwała się z miejsca i podeszła do księdza tak blisko, że ich twarze niemal się stykały.

— Kim jesteś, żeby mi rozkazywać?!

— Twoim przyjacielem, Julio — odpowiedział cicho. — I księdzem. Mnie też zarzucasz kłamstwo?

Długą chwilę patrzyli sobie w oczy. W oczach księdza była tylko czułość. Mama musiała ją dostrzec. Noc była ciepła, lecz mama zaczęła drżeć. Objęła dłońmi ramiona i pochyliła głowę. Ksiądz Tobiasz przygarnął ją do siebie. Nie opierała się. Zapadła w jego ramiona z ufnością podobną dziecku. Płakała.

— Myślę, że powinnaś się położyć i odpocząć — przekonywał ją łagodnie. — Jakub cię zaprowadzi do domu.

— Dobrze — szepnęła z rezygnacją w głosie. Całkiem opadła z sił.

Poszliśmy wolno przez łąkę. Mama szła obok mnie posłuszna, cicha i zobojętniała. Za nami szli babcia Emilka z Józefem. Przy nodze babci dostojnie kroczył Reks. Ksiądz Tobiasz stał samotnie przy dogasającym ognisku.

## **Emilia**

Pogładziłam głowę śpiącej córki i jej rozsypane na poduszce długie, jasne włosy. Ostatni raz czuwałam przy jej łóżku przed dwudziestoma laty, gdy niespokojne sny budziły ją w nocy. Patrzyłam na nią z czułością. Była znowu moją małą córeczką. Sen wygładził troski i ból na jej pięknej twarzy. Oddychała spokojnie i miarowo.

Kiedy Julia wyjechała do Zamościa, nie mogłam nad nią czuwać, lecz nieustannie modliłam się za nią i jej nową rodzinę. Cieszyłam się jej szczęściem. Spełniała się jako matka i żona, lecz nie widywałam jej przez długie miesiące i przeraźliwie za nią tęskniłam. Odwiedzałam ją czasem w nowym domu i wracałam pokrzepiona myślą, że powoli zapomina o tym, co ją spotkało. Z każdym miesiącem stawała się weselsza, częściej się uśmiechała i z dumą opowiadała o wszystkich psotach Natalki. Martwiło mnie tylko, że Adam bardzo długo ze smutkiem przysłuchiwał się naszym rozmowom. Odetchnęłam, gdy w ich małżeńskich relacjach, dostrzegłam zmianę na lepsze.

Nie miałam jej za złe słów, które wykrzyczała. Były reakcją na wydarzenia ostatnich dni. Dobrze, że w końcu wyrzuciła je z siebie. Mój organizm przez lata uodpornił się, obrósł swojego rodzaju skorupą, przez co szybciej

dochodziłam do siebie. Dla niej był to szok. Przeszłość upomniała się o Julię po dwudziestu latach, gdy zdążyła poukładać swój świat.

Cicho, by jej nie zbudzić, przyciągnęłam do siebie kule, podparłam się na nich i powoli dotarłam do drzwi. W kuchni przy zgaszonym świetle czekał na mnie Józef. Siedział na krześle ze spuszczoną głową, o czymś zawzięcie myśląc. Po śmierci córki był bardzo samotny. Odkąd Julia zaczęła częściej bywać we Wrzosowiskach, Józef znowu poczuł się jak prawdziwy ojciec. Widziałam ulgę na jego twarzy, gdy zaakceptowała nasze wspólne plany.

- Co z Julią?

- Wszystko dobrze, śpi — uspokołam go. — Idź do domu, Józiu, już późno.

Podniósł się z krzesła i podszedł do okna.

- Jakub i Tobiasz wciąż siedzą na łące, chociaż ognisko prawie wygasło — zauważył. — Nieustannie o czymś rozmawiają.

-Jakub jest zapatrzony w Tobiasza. Ma w nim nie tylko duchowego opiekuna i spowiednika, ale przede wszystkim przyjaciela.

Józef objął mnie ramieniem.

- Więc posiada największy skarb, Emilko. O prawdziwą przyjaźń bardzo dzisiaj trudno.

- Zawsze o nią trudno, Józiu. Niezależnie od czasów, w których przychodzi nam żyć.

- Myślisz, że będą pamiętać o tym, by zalać ognisko wodą i posypać piaskiem? — zmienił temat. — Wszystko przygotowałem. Mamy bardzo suche lato, trawa wyschnięta, blisko las. O pożar łatwo.

— Tobiasz na pewno o wszystko zadba — uspokoiliam go. — Połóż się i odpocznij. Musimy o siebie dbać, jeśli chcemy sobie jeszcze razem pożyć.

— Skoro tak mówisz, Emilko, to pójdę — zgodził się. — Ty też się kładziesz?

— Tak, Józiu — skłamałam. — Jestem bardzo zmęczona.

— No to dobranoc. — Ujął moją dłoń, podniósł do ust i ucałował.

— Dobranoc. — Zarumieniłam się. Serce zatrzepotało w piersi. Uczucie nie zważa na wiek, nie liczy lat.

Przysunęłam krzesło do okna wychodzącego na podwórko i usiadłam. Wiedziałam, że nawet jeśli się położę, nie zasnę. Najlepiej myślało mi się na dworze, ale postanowiłam poczekać. Pójdę na ławeczkę, gdy Józef położy się spać. Wyjęłam z kieszeni różaniec i przesuając w palcach paciorki, szeptałam modlitwę. Rozmowa z Bogiem była najlepszym lekarstwem na moje troski. Ufałam, że jeśli Pan zamyka przed nami jedne drzwi, zawsze na oścież otwiera inne.

Mijały minuty. W końcu światło w domu Józefa zgasło. Posłuchał mojej rady i poszedł spać. Przeżegnałam się i odetchnęłam głęboko. Zarzuciłam na plecy ciepły, włóczkowy szal i zaciskając dłonie na kulach, powolutku pokuśtykałam na dwór. Noc była pogodna i gwiazdzista, lecz na niebie wciąż nie było księżyca. Dzisiaj przypadała druga noc jego kosmicznej śmierci.

Chłód płynący od rzeki przypominał, że lato niebawem się skończy. Reks schował się w budzie. Inne zwierzęta także spały. Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Usiadłam na ławce przed domem.



— Samotność będzie wpisana w wasze życie, moje dzieci — mówiła Marianna, spoglądając na nas surowo spomiędzy płomieni rozpalonego nad Sopotem ogniska. — Musicie być ostrożne. Ludzie ze strachu będą was prześladować, bowiem tylko wybrani pojmą tajemnicę waszego istnienia. Cięży na was wielka odpowiedzialność, a jednocześnie nic nie będzie zależało od was. Musicie zaufać przeznaczeniu. Bez pytania, bez oporu musicie przyjąć swój los i iść przez życie wyznaczoną przez niego drogą. To powołanie, które musicie w sobie pielęgnować. Obie jesteście wyjątkowe. Przyszłyście na świat w czas pradawnej Nocy Kupały, a dzisiaj z dziewcząt staniecie się wiedźmami. Czas pokaże, czy jesteście godne nimi być...

Rozmowa przy ognisku z wielką siłą przywołała odległe wspomnienia i powrócił niepokój, który wywołał dzisiejszy sen. Julia opowiedziała synowi legendę o Tanewie, tę samą, którą mnie i Sabinie opowiedziała przed wieloma laty Marianna. Czułam, że tajemnicza baśń powróciła nie bez powodu. Że jest w niej ukryte ziarenko prawdy, które muszę jak najszybciej wydobyć.

Matka nigdy nie mówiła niczego wprost, opowiadała przeróżne historie, których sensu trzeba było się domyślać. W dzieciństwie uwielbiałam zagadki Marianny, lecz z upływem lat, gdy każdy dzień przynosił nowe troski, a sen zbyt wcześnie opadał na powieki, zaczęłam przykładać do nich coraz mniejszą wagę. Z czasem przestałam brać je na poważnie, lecz przez szacunek dla matki nigdy się przed nią z tym nie zdradziłam.

Słuchałam kolejnych opowieści, lecz bywało, że myślami błądziłam zupełnie gdzie indziej, przy małej Julii, tym,

co powinnam ugotować na obiad lub zrobić na podwórku. Często zostawiałam Mariannę w połowie zdania, by zająć się pilniejszymi, jak mi się zdawało, sprawami. Teraz, gdy straciłam ją na zawsze, jest mi potwornie smutno i wstyd, że nie wykorzystałam każdej sekundy, by z nią być, a nade wszystko wysłuchać jej do końca. Noc przed jej odejściem do wieczności, okazała się dla mnie za krótka...

Delikatny powiew letniego wiatru musnął moją twarz. Czy to ty, mamo?

Wspomnienia narastały, kołysały mnie tkliwą melodią dzieciństwa.

— *O Janie, Janie, Janie pielony, oblatują z ciebie liście na wszystkie strony, na wszystkie strony...* — zanuciłam cicho.

Zapachniało dymem czerwcowego ogniska. Szum wodospadów narastał i narastał, i narastał...

### **Puszcza Solska, 21 czerwca 1947 roku.**

— Musimy nazbierać dużo iglastych gałęzi i suchych, ostrych patyków — mówiła Marianna, zarzucając na plecy długi warkocz. — Potrzebne będą także pokrzywy i osty. Ja je zerwę. Wasze rączki są zbyt delikatne. Zanim zajdzie słońce, musicie skończyć wyplatać wasze wianki. Biegnijcie teraz na łąkę. Ty, Emilko, zerwij bukiet wonnych ziół, a Sabinka, bukiet polnych kwiatów.

W moich oczach pojawiły się łzy.

— Kochasz Sabinę bardziej ode mnie! - krzyknęłam. -Ona nie lubi kwiatów, a ja nie wyobrażam sobie bez nich życia. Ale to Sabinie każesz je zbierać, nie mnie!

— Zazdrośnica! — krzyknęła Sabina, biegnąc w kierunku pobliskiej łąki, na której zaczęła zrywać bławatki.

Marianna przykucnęła naprzeciwko mnie i odgarnęła z mojego czoła potargane wiatrem włosy.

— Kocham was obie równie mocno — zapewniła — lecz ty, Emilko, jesteś rozsądniej sza od siostry i szybciej rozpoznajesz zioła. Dlatego to ważne zadanie powierzyłam tobie. Pamiętasz, jak opowiadałam ci o właściwościach ziół? O tym, kiedy należy je zrywać? Jak powinno się je przechowywać, by nie straciły tego, co w nich najcenniejsze?

Wyciągnęła z kieszeni haftowaną chusteczkę i podała mi ją. Wytarłam nos. Mój gniew powoli mijał. Już całkiem udobruchana z powagą skinęłam głową.

— Biegnij na łąkę i narwij bukiet tych najdorodniejszych. Przecież zioła to także kwiaty, córeczko.

— Masz rację, mamó! - Zarzuciłam Mariannie ręce na szyję, a ona ucałowała mnie mocno.

— I nie zapominajcie o śpiewie dziewczynki! - wołała za nami Marianna. — Słowa pradawnych pieśni wzmocnią czar Kupalnej Nocy.

— *O Janie, Janie, Janie pielony, oblatują z ciebie liście na wszystkie strony, na wszystkie strony...* — Echo unosiło w Puszcę nasze dziewczęce głosiki.

Słońce nad wrzosowiskami powoli opadało, gdy skończyłyśmy wic wianki z uzbieranych na łące ziół i kwiatów. Nad Sopotem płonęło ognisko, przy którym Marianna snuła baśń o Tanewie, wrzucając do ognia ostre patyki, cierniste gałęzie jeżyn i osty. Dym ścielił się popielatą wstęgą wśród ruin papierni.

— Już czas, dziewczęta — powiedziała w końcu.

Posłusznie stanęliśmy nad brzegiem rzeki, trzymając w dłoniach swoje wianki. Miałyśmy na sobie zwiewne, kwieciste sukienki i bose stopy. Matka od roku przygotowywała nas do wróżby w dniu naszych dziewiątych urodzin.

— Gdy tylko słońce zniknie za horyzontem — tłumaczyła — rzucicie swoje wianki w nurt rzeki i pobiegniecie tam, dokąd was zaprowadzą. Jeśli nikt ich nie wyłowi, zatoną lub zaginą w zaroślach, to znak, że ta, która wyplotła wianek, pozostanie w panieństwie do końca swych dni. Jeśli zaś któryś wianek wyłowi chłopiec, musi do was podejść i położyć go na wasze ręce. Dopiero wtedy los skrzyżuje w przyszłości wasze drogi, bowiem będziecie sobie przeznaczeni. Siedźcie uważnie bieg wianków, które puścicie na wodę. Jeśli płynąć będą bez przeszkód, łagodnie opadając z szypotu na szypot, życie przepłynie wam równie spokojnie. Jeśli zaś złapie je wir, a spieniona woda wypłucze z nich zioła lub kwiaty, oznaczać to będzie życie pełne niespodzianek, zawirowań losu i trudnych wyborów. Jesteście gotowe? Z powagą skinęłyśmy głowami.

— Sabinko, przejdź po kładce na drugą stronę Sopotu. Tylko ostrożnie, by nie dotknąć wody. Pamiętajcie, by pod żadnym pozorem do niej nie wchodzić. Słowa baśni, którą wam opowiedziałam, nie kłamia! Ty, Emilko, zostaniesz po tej stronie rzeki. Na mój znak rzucicie wianki i pobiegniecie za nimi, śledząc ich bieg.

— Boję się, mammo... — szepnęłam.

— Nie trzeba się bać, Emilko - uspokoiła mnie Marianna. — Wiem, że wszystko będzie dobrze. Poznacie dzisiaj wyroki przeznaczenia. Tego chcą Anioły Snu. Taka jest ich wola. A teraz, rzućcie wianki na wodę i biegnijcie za nimi!

Wianki zakołysały się na wodzie, a po chwili wody Sopotu z szumem porwały je w dal. Stykały się ze sobą i wirowały, znikały pod wodospadami, by po chwili pojawić się wśród zarośli. Nie spuszczałam oczu z mojego wianka, Sabina ze swojego. Biegłyśmy coraz dalej, coraz głębiej w Puszcę.

Od początku nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Sabina ma przed sobą łatwiejszą drogę do pokonania. Biegła swobodnie, od czasu do czasu przystając. Jej wianek wypleciony z polnych kwiatów płynął równo i spokojnie środkiem rzeki, gdy tymczasem moim ziołowym wiankiem szarpała woda i musiałam przedzierać się przez zagradzające mi drogę zarośla. Kolce jeżyn kaleczyły odsłonięte nogi, pokrzywy smagały ręce, pozostawiając na skórze piekące bąble. Musiałam skupić uwagę na wianku, który co chwilę znikał pod spienioną wodą. Narastał we mnie bunt, że Sabinie znowu wszystko idzie lepiej.

Spojrzałam na drugi brzeg. Kwiecista sukienka Sabiny mignęła na chwilę w zaroślach i znikła na dobre. Zostałam w tyle. Mój wianek leniwie sunął do przodu, zahaczając o kamienie i wodne rośliny. W końcu, kręcąc się w kółko, podryfował w kierunku największych chaszczy i w nich utknął. Poczułam gorzki smak porażki. Łzy zaszkliły mi oczy. Przykucnęłam nad wodą i oplotłam dłońmi ramiona. Chłód rzeki i cisza lasu potęgowały mój smutek.

— Nic nigdy nie będzie dobrze! — Rozpaczałam.

Byłam dzieckiem. Miałam dziewięć wiosen, lecz czekałam na ten wieczór z utęsknieniem. Marzyłam o tym, by przeznaczony mi chłopiec wyłowić wianek i pokochał mnie jak nikogo na świecie. Chciałam spędzić przy jego boku całe życie, obdarować go tym, co we mnie najlepsze.

Lecz marzenie rozwiało się. Wyroki losu zdawały się pozostawać na tę prośbę obojętne. Wianek tkwił w wodzie i nie miał zamiaru płynąć dalej.

— Nie zgadzam się! — Wypełniał mnie bunt. - Nie pozwolę na to.

Uważnie rozejrzałam się dokoła, a gdy nie spostrzegłam nikogo, podwinęłam sukienkę i weszłam do wody. Była lodowata, lecz złość rozgrzewała we mnie krew. Z uporem brnęłam po obrośniętych mchem kamieniach w kierunku wianka. Parę razy zachwiałam się, tracąc równowagę. Kamienie były ostre i śliskie. Woda napierała, zaciskając niewidzialną pętlę na moich stopach, jakby chciała mnie zatrzymać. Nie zważałam jednak na nic. Starłam się stłumić coraz głośniejsze dudniące w mojej głowie słowa Marianny: „Pamiętajcie, dzieci, by, biegnąc za wiankiem, nie zanurzyć choćby palca w rzece! Gdyby taka myśl powstała w waszej głowie, przywołajcie moje słowa i odstępście od niej! Kto zmieniać chce wyroki przeznaczenia, zazna w życiu wiele goryczy, a i tak to, co postanowione, nadejdzie nieuchronnie niczym śmierć. Od niej i wyroków przeznaczenia nie ma bowiem ucieczki!”.

Postanowiłam, że mój los pozostanie w moich rękach. Dobrnęłam do wianka, wyłowiłam go z zarośli i wróciłam na środek strumienia, gdzie ponownie puściłam go na wodę. Nurt unosił go przed siebie. Szybko wyszłam z rzeki i pobiegłam za wiankiem.

— Teraz bez przeszkód popłynie dalej. Jeszcze nie wszystko stracone!

Słońce sunęło nisko nad ziemią, gdy zagłębiłam się w bagiennych ostępach Puszczy. Wianek płynął, lecz złamanie zakazu Marianny nie zda się na nic, gdy nie wyłowią

go dłonie przeznaczonego mi chłopca. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że żadnego nie spotkam. Przekonana o tym, co podpowiadał mój wewnętrzny głos, biegłam na spotkanie przeznaczenia. Mój wianek wyłowi chłopiec, któremu oddam serce. Moje marzenie musi się spełnić!

Tymczasem ścieżka, którą biegłam, stawała się z każdym krokiem coraz bardziej grząska. Rzeka spokojną wstęgą przechodziła teraz w zakole gęsto porośnięte bagienną roślinnością. Zapach błotnistej ziemi i roje owadów krążących nad głową były znakiem, że suchy teren w dolinie rzeki już dawno się skończył.

Po prawej stronie Sopotu, gdzie znikła wraz ze swoim wiankiem Sabina, rozciągały się podmokłe łąki. Na lewym brzegu, który ja przemierzałam, rozciągały się dzikie ostępy Puszczy. Na chwilę spuściłam z oczu wianek, by ominąć zarośla. Po chwili ponownie zbliżyłam się do rzeki, która w tym miejscu przechodziła w płytki bród. Wianek zatrzymał się na jednej z piaszczystych wysepek i nie miał zamiaru płynąć dalej. Tu kończył się wartki nurt Sopotu. Rzeka była w tym miejscu łagodna i cicha. Nie zamierzałam się poddać.

„Weszłam raz, wejść i drugi” — myślałam, zbliżając się do wody.

W tej samej chwili poczułam mocne pchnięcie w ramię i wylądowałam w krzakach. Oszołomiona obejrzałam się. W miejscu, gdzie przed chwilą stałam, zobaczyłam... mężczyznę. Słońce, które przedzierało się przez konary drzew, oświetlało jego postać. Zastygł, z uwagą wpatrując się w jakiś punkt na drugim brzegu. Podążyłam za jego wzrokiem i zamarłam. W mroku zapadającego wieczoru ujrzałam

potężnego, szarego wilka. Jego sierść miała odcień srebra, a żółte ślepia błyszcząły jak dwa cmentarne znicze.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, lecz wilk i mężczyzna naprawdę tu byli. Wstrzymałam oddech, czekając na to, co będzie dalej. Tymczasem oni mierzyli się wzrokiem, oceniając swoje siły. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie widziałam niczego podobnego, lecz zapamiętałam dobrze to, co wówczas czułam. Spokój. Miałam pewność, że nic złego się nie przytrafi ani mnie, ani nieznanemu. Zwierzę nie zaatakuje, chociaż jest potężne i groźne.

Mężczyzna wpatrywał się w wilka, gotowy do przyjęcia ataku. Człowiek i zwierzę spoglądali na siebie w ponurym milczeniu. W końcu zwierzę znikło w lesie tak nagle, jak się pojawiło. Odetchnęłam głośno, usiłując się podnieść. Mężczyzna spojrzął na mnie, po czym podszedł i wyciągnął w moim kierunku dłoń. Ostrożnie podałam mu swoją. Chwycił ją mocno i pomógł mi podnieść się z ziemi. Zapamiętałam, że jego dłoń była szorstka, ale przyjemnie ciepła.

— Dziękuję — powiedziałam, wstając. Nie odpowiedział.

Był ode mnie starszy, lecz słowo „mężczyzna” mogłabym swobodnie zastąpić określeniem „chłopiec”. W jego wychudzonej, pokrytej ciemnym zarostem twarzy błyszcząły niebieskie oczy. Krzaczaste brwi, zrosnięte nad orlim nosem, nadawały mu ponury wygląd, lecz spojrzenie było łagodne. Jego usta były wąskie i spękane gorączką. Jasne, kręcone niczym u cherubina włosy, spływały mu falą na czoło i ramiona. Odgarnął je. Podniósł z ziemi czapkę, otrzepał z piachu i wcisnął na głowę, po czym poprawił skórzany pas zaciśnięty na wypłowiałej kurtce. Był gotowy w każdej chwili zniknąć w lesie. Nie mogłam na to pozwolić.



— Zaczekaj! — krzyknęłam. Przystanął i odwrócił się zdziwiony.

— Czego jeszcze ode mnie chcesz, dziewczyno? — mówił, chociaż usta się nie poruszały. — Mogłaś zginąć marnie na bagnach, gdybym cię w porę nie odepchnął. Czego więc jeszcze chcesz?

— Czy mógłbyś coś dla mnie przynieść? — Postawiłam wszystko na jedną kartę. Był moim przeznaczeniem i... chciałam, by nim pozostał.

Chłopak spojrział w kierunku rzeki. Dostrzegł wianek i ponownie spojrział na mnie. Zrozumiałam, że nie chce lub nie może mówić.

— Tak, to mój wianek. Czy mógłbyś mi go przynieść? Zastanawiał się. Rozumiał, co mówiłam, chociaż nie

odpowiadał. Musiał być miejscowy i znał Puszcę, inaczej nie spotkałabym go na tym pustkowiu. „I zna obyczaje Kupalnej Nocy” - pomyślałam, gdy dostrzegłam w jego spojrzeniu cień niedowierzania, a może uśmiechu, chociaż jego wargi nawet nie drgnęły. Patrzył na mnie przenikliwie. Czy potrafi czytać w myślach? Bo jeśli tak...

Moja twarz zapłonęła rumieńcem, lecz nie spuściłam wzroku. Serce biło mi w piersiach jak szalone.

— Mam na imię Emilia — powiedziałam, starając się, by nie drżał mi głos. Chłopak uśmiechnął się, odwrócił i wszedł do płytkiego brodu. Z bijącym sercem patrzyłam, jak spełnia się czar Kupalnej Nocy. Przeznaczony mi chłopiec wyciągnął z wody dryfujący wianek i położył go na moich wyciągniętych dłoniach. Ułamał gałązkę drzewa i skreślił na mokrym piasku jakieś słowo.

— WILK - odczytałam i roześmiałam się. Chłopak wyda-

wał się zaskoczony moją wesołością. Sięgnęłam po gałązkę i tak jak on, skreśliłam na mokrym piasku swoje nazwisko: SOKÓŁ. Oczy chłopaka zabłyśły iskierką rozbawienia. Zamarłam, gdy chłopak sięgnął do pasa po nóż. Przerażona, uniosłam dłonie w obronnym geście, cofając się o krok, lecz na otwartej dłoni podawał mi piękny przedmiot.

— Chcesz mi go podarować? — upewniłam się.

Skinął głową. Powoli wyciągnęłam dłonie, a Wilk ostrożnie położył na nich nóż. Nóż miał długie, spiczaste ostrze, a rączka przypominała parę podłużnych uszu. Bez trudu odczytałam wygrawerowany na błyszczącej powierzchni napis: „Swoim Wilkom wdzięczna Ojczyzna. 1863”.

— Nie mogę go przyjąć — powiedziałam. Chłopak posmutniał. Zacisnął szczęki.

— Jest bardzo piękny — tłumaczyłam — ale to na pewno pamiątka rodzinna...

Cały czas milczał. Sięgnął do pasa i wyciągnął drugi, identyczny, dając mi do zrozumienia, że chce, bym ten, który mi podał, zatrzymała.

— Dziękuję — szepnęłam. — Lecz ja nie mam nic, by podarować tobie.

Chłopak położył dłoń na ociekającym wodą wianku, a potem przyłożył ją do serca. Wytrzymałam jego przenikliwe spojrzenie. Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie byłam tak szczęśliwa. Mój pierwszy, odważny krok w dorosłość.. . Kupalna Noc moich dziewiątych urodzin postawiła przede mną chłopca, którego w tej samej chwili prawdziwie pokochałam. Z żalem patrzyłam, jak cicho znika wśród drzew. Wiedziałam jednak, że czar tajemniczej nocy ponownie skrzyżuje nasze drogi, gdy przyjdzie czas...

## Tobiasz

Rozgoryczony, zalałem wodą ognisko i dla pewności zasypałem je piaskiem. Idąc w kierunku Księżej Górki myślałem o Róży Sokół, lecz nie tak, jak życzyli sobie tego jej bliscy.

Oszołomiony prawdą, że Jakub jest synem Julii, z trudem koncentrowałem uwagę na słowach Marianny, która na łożu śmierci błagała mnie o odpuszczenie matce grzechów w imię Najwyższego. Przynurkłem jej wówczas, że uczynię, co w mojej mocy, by uratować duszę Róży Sokół od potępienia, lecz gdy doszedłem do siebie i zacząłem myśleć racjonalnie, wszystko się we mnie na tę myśl buntowało.

Nikt nie domyślał się nawet, że niczym najsurowszy inkwizytor potępiłem wiedźmę za to, co zrobiła. W moich oczach zasługiwała na wieczne potępienie. Przywołała zło i pozwoliła mu wypełnić całą siebie. Ono pchnęło ją do śmiertelnego grzechu. Zabiła siebie i swoje nienarodzone dziecko. Siłą przekleństwa zabijała z za grobu. Podała dłoń diabłu, zatańczyła z nim szatański taniec, a on porwał jej duszę do piekła.

- Wybacz mi, babciu Marianno, lecz twoja przybrana matka właśnie na to sobie zasłużyła...

Mój niepokój rósł z każdą chwilą. Czułem, że rocznica, która się zbliża, będzie istotnym punktem kulminacyjnym ostatnich wydarzeń. Dokładnie dwadzieścia lat temu, gdy Julię spotkał okrutny los na wrzosowiskach Czartowego Pola, otrzymałem charyzmat bezpośredniego doświadczenia życia pozagrobowego. Zmagalem się z nim samotnie, żarliwie modląc się za udręczone dusze, które mnie wzywa-

ły. Moje modlitwy przynosiły im ulgę. Lecz w miejsce tych dusz, które odchodziły pocieszone, pojawiały się nowe. Ich prośby nie milkły. Narastały. Nie umiałem pomóc im wszystkim. Przywykłem do głosów, które mnie wzywały, nawet wówczas, gdy pojawiały się w środku nocy lub gdy przerywały nad ranem spokojny sen. Wstawałem wówczas bez słowa skargi, klękałem i modliłem się. Odkładałem posiłek lub odpoczynek, gdy głosy prosiły, bym szedł tam, gdzie mnie zaprowadzą.

Nie sprzeciwiałem się. Bywało, że błąkałem się samotnie po starych cmentarzach, gospodarstwach, gruzowiskach i najciemniejszych zakątkach ulic. Czasem były to zwykłe domy. Głosy mówiły mi swoje imiona, a ja wymawiałem je w miejscach, do których mnie prowadziły. Z ust zrozpaczonych krewnych dowiadywałem się, kim byli, jak umarli, czego za życia pragnęli. Potem głosy milkły. Tylko westchnienie, które słyszałem, było znakiem, że dusze opuszczały miejsce, w którym utknęły.

Błogosławiłem w myślach dzień, gdy wyznałem wszystko biskupowi. Jego Ekscelencja okazał mi pomoc i zrozumienie. Oficjalnie uznano mój charyzmat, a biskup nałożeniem rąk przekazał mi mandat do sprawowania eg-zorcyzmu uroczystego. Po powrocie z urlopu miałem rozpocząć nową posługę. Za zgodą władz kościelnych mogłem wypędzać demony z opętanych, modląc się za osoby duchowo i fizycznie udręczone. Przede mną piętrzyły się nowe wyzwania. Czy podołam? Czy jestem godzien?

Marianna zapowiedziała, że przemówi, a ja coraz bardziej bałem się tego, co powie. Miałem przecucie, że jak zwykłem to czynić wobec innych, posłucham także jej głosu.

Nie spodziewałem się, że te wakacje tak wiele wyjaśnią i równie wiele zakryją. Zagadka snów Jakuba przyjęła nieoczekiwany obrót i chociaż wiele splątanych nici wspomnień udało się rozsupłać, pojawiły się nowe, jeszcze trudniejsze pytania. Nie znałem na nie odpowiedzi. Kto dał życie Jakubowi na wrzosowiskach Czartowego Pola? Czy był człowiekiem, czy, jak z uporem twierdziła Julia, nie należał do tego świata? A jeśli tak, kim tak naprawdę był?

Los Natalii także pozostawał w moich rękach, lecz potrzebowałem z jej strony pomocy. Musiała mi na to pozwolić, a wszystko wskazywało na to, że pogardzała mną i oskarżała o potworne rzeczy. Wybaczyłem jej, lecz czułem, że Natalia jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. Wszystko mogło się wydarzyć.

Ciszę nocy rozdarło głośnie wołanie puszczyka. Odbiło się echem wśród drzew i utonęło w szumie wodospadów. Wydawało mi się, że nadchodzi jedna z tych chwil, gdy docierają do mnie głosy zmarłych. Poczulem ucisk w skroniach i musiałem oprzeć się o drzewo, by nie upaść.

Stałem na rozstaju. Jedna droga prowadziła na plebanię. Druga nad Sopot i dalej na Czartowe Pole. Bezwiednie skręciłem w tę drugą. Do cmentarzyka, na którym w czerwcu 1941 roku spoczęło ciało Miszki Tataro, było stąd niedaleko. Tam zemdlął Jakub, a potem usłyszałem głos radzieckiego partyzanta, który błagał, bym go uwolnił. Tam wszystko się zaczęło. Postanowiłem, że pójdę i pomodłę się w intencji Natalii. W końcu jest jego prawnuczką.

## Emilia

Cichy szelest wyrwał mnie ze wspomnień. Nie od razu dostrzegłam w mroku Jakuba. Szedł powoli, z opuszczoną głową w kierunku ławki, na której siedziałam. Coś było nie tak...

— Kubusiu, dziecko... — odezwałam się.

Chłopiec drgnął jakby zbudzony ze snu. Spojrzał przed siebie i dopiero mnie zauważył. Szybko otarł dłonią oczy i uniósł głowę. Coś zakłuło mnie w sercu. Przeczucie podpowiadało mi, że łzy Jakuba mają związek z Natalią. Miałam nadzieję, że się mylę.

Jakub usiadł obok mnie.

— Ksiądz Tobiasz poszedł na plebanię, a ja chyba dzisiaj nie zasnę.  
— Głos miał zachrypnięty.

— Ja też nie mogłam zasnąć — wyjaśniłam swoją obecność na ławce.  
— Czy coś się stało? — Jakub milczał. — Chodzi o Natalię, prawda?  
— Uważnie spojrzałam na wnuka. Potwierdził skinieniem głowy. Słyszał jej myśli. Musiało być naprawdę źle. — Co zrobiła?

— Nie wiem, czy powinienem to wyjawić...

— Powinieneś — zapewniłam go. — Jesteśmy rodziną i nie możemy mieć przed sobą tajemnic. Zbyt dużo ich było ostatnio.

Jakub milczał.

— Czy powiedziałaś Tobiaszowi?

Jakub skinął głową. Ciszę nocy zakłócał szum wodospadów z doliny.

— Odszedł bez pożegnania - powiedziałaś. — To do niego niepodobne. Musiał być bardzo poruszony tym, co się wydarzyło.

Jakub uniósł głowę i spojrzał na mnie ze smutkiem w oczach.

— Natalia... była... jest... z Krzysztofem... — wyznał cicho.

— O Boże! — Zadrżałam na całym ciele. Przecież nie wszystko jeszcze zamknięte, nie wszystko wyjaśnione. Klątwa ma potężną moc. Jak wyrzut sumienia rozbrzmiały mi w głowie słowa matki: „*Zło nigdy się nie poddaje. Musisz być czujna, Emilko. Musisz wzbudzić w sobie siłę, o której zapomniałaś*”.

— Nie rozpaczaj, Jakubie. Ból, który czujesz, przeminie i zdołasz jej wybaczyć. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Wszystko ma swój początek i koniec. One czuwają nad nami. — Spojrzałam w gwiazdziste niebo.

— Anioły Snu? — zapytał cicho Jakub.

— Tak, dziecko. Nie jesteśmy sami i musimy wierzyć w to, że gdy przyjdzie pora, nawet nieodpowiedzialny postępek Natalii nie stanie na przeszkodzie tego, byśmy zdjęli klątwę. Byłoby to zbyt niesprawiedliwe. Tak po prostu nie może się stać.

Nie byłam pewna, czy Jakub mi uwierzył, ale na razie te słowa musiały mu wystarczyć.

## **Tobiasz**

Stałem zdumiony przed starymi, pustymi dziś mogiłami nad Sopotem. Płonęły na nich znicze. Jeden na dawnym grobie Miszki Tatar, drugi tam, gdzie spoczęło po śmierci ciało „Korsarza”. I co najdziwniejsze, ktoś musiał je zapalić przed chwilą. Wosk dopiero lekko się stopił.

Próbowałem dostrzec coś w mroku, ale widziałem tylko pochylone drzewa. Szum wody zagłuszał nawet mój oddech. Noc była gwieździsta, lecz niezbyt jasna.

Gdzieś tam, może blisko mnie, ktoś się ukrywał. Nie mógł odejść daleko. Być może zastygł bez ruchu, by nie zdradzić swojej obecności. Skoro przyszedł tu o zmroku, by zapalić znicze, nie życzył sobie żadnego towarzystwa.

Nad moją głową przeleciał nietoperz. Wzdrygnąłem się, chociaż nie bałem się ciemności ani tych dziwnych stworzeń, które podobno wplątują się ludziom we włosy i spijają krew. To przecież zwykłe bajki.

Pochyliłem głowę w modlitwie. Znicze paliły się coraz wyższym i jaśniejszym płomieniem. Nikt mnie nie wzywał.

## **Jakub**

Anioł miał orzechowe oczy Natalii. Przysiadł na łóżku, musnął moje rozpalone czoło chłodnymi ustami. Zapach mięty i rumianku wypełnił mój sen. Potem zastąpił go inny.

— Puść mnie, bo już wschodzi zorza! — prosił anioł.

— Nie puszczę cię, dopóki mi nie pobłogosławisz...

— Jakie masz imię?

— Jakub - odpowiedziałem.

— Nie, tyś jest Pasterz... — Mocował się ze mną.

Nad skarpą wisiała krzywa sosna. Jej korzenie jak ramiona ośmiornicy wystawały z piachu koloru srebra. W dole płynęła rzeka. Słyszałem syreni śpiew wodospadów. Anioł napierał na mnie. Był silny, miał mocne ramiona. Jego



twarz jaśniała. W końcu pojąłem, kim jest. Miałem przed sobą umęczoną twarz Miszki Tatara...

— Miszka mnie woła... - Usiadłem na łóżku. Za oknem świtało.

„Sarna” nie pojawiła się w moim śnie, nie usłyszałem też głosu Natalii, lecz jej pradziadek wołał mnie, jak wtedy, gdy doświadczyłem jego śmierci na cmentarzyku. Nie odwiedziłem dotąd piaszczystej drogi pod Józefowem i miejsca w którym zginął. Nie wiedziałem dlaczego, ale coś kazało mi wstać i ruszać w drogę. Czuję, że jeśli tego nie zrobię, moje myśli powrócą do Natalii i przeszywający ból ponownie wypełni mi serce. Ubrałem się i cicho zszedłem na dół.

Babci nie było w kuchni, widocznie jeszcze nie wstała. W całym domu panowała cisza. Otworzyłem drzwi i wyszedłem na podwórko. Ptaki radośnie witały ranek. W otwartych drzwiach obory zobaczyłem Baškę. Na mój widok potrząsnęła białą grzywą i radośnie zarżała. Podeszedłem do niej i pogłaskałem jej miękkie łeb. Tak niedawno uczepiony jej szyi pędziłem na pomoc Natalii... W piersi napływała fala tępego bólu. Kochałem dziewczynę z moich snów, lecz ona tej nocy dokonała wyboru...

— O czym tak rozmyślasz, Jakubie? — Z obory wyszedł Józef. Z pewnością nie wiedział jeszcze o Natalii.

— Przepraszam, znowu zaspałem... — tłumaczyłem się.

— Nic nie szkodzi, Jakubie. — Wypełnił po brzegi ustawione na podwórku kocie miski świeżym mlekiem. — Spać poszedłem wcześniej i jak się o poranku obudziłem, to pomyślałem, że obrządek zrobię, a jak zacząłem jedno, to zaraz i drugie się pod rękę nawinęło...

Chwycił widły i wszedł ponownie do obory. Poszedłem za nim. Łaciata wylizywała ze żłobu jakieś krowie przysmaki, a dziadek rozrzucał jej świeżą słomę.

— Coś jeszcze zostało do zrobienia?

— Tylko ptactwo wypuścić i nakarmić, ale to już Emilka sama pewnie zechce. Baśka śniadanie dostała i Łaciata. Tak za godzinę, dwie, na łączkę je wypuścimy.

Wyszliśmy na zewnątrz. Ze swojej budy wynurzył się Reks, dostojnie ominął tłoczące się przy miskach z mlekiem koty i podszedł do mnie. Poklepałem go po karku, a Reks wesoło pomachał ogonem.

— Babcia jeszcze nie wstała, a nie chcę, żeby się martwiła. ..

Józef spojrzał na mnie zdziwiony.

— A dlaczego miałyby się martwić?

— Idę do Józefowa, chcę zobaczyć miejsce, gdzie zginął Miszka Tatar — wyjaśniłem. — Przekáže dziadek mamie i babci?

Mina Józefa zrobiła się groźna.

— Nie spodziewałem się po tobie takiej nieodpowiedzialności, Jakubie! Rozumiem, że kto z kim przystaje, takim się staje i myślę tu o mojej wnuczce, ale są pewne granice... — Pokiwał mi przed nosem wskazującym palcem. Zaczerwieniłem się ze wstydu po czubki uszu. A dziadek grzmiał dalej. I miał rację.

— Mało się ostatnio wydarzyło?! Wszyscy mamy zszarpane nerwy, nie śpimy po nocach, martwimy się i czekamy nie wiedzieć na co, a ty chłopcze chcesz sobie zniknąć z samego rana w Puszczy i jeszcze może się zgubić na koniec?! Nigdzie cię samego nie puszcze! Wracaj do domu, ubierz

się w coś odpowiedniego, zmień buty i zaczekaj na mnie. Nikt nie zna tutejszych ścieżek lepiej ode mnie, a jeśli nawet, to tylko ja jestem chętny na tę wędrówkę. Szczerze mówiąc, sam o tym myślałem i skoro ty też czujesz taką potrzebę, pójdziemy razem.

— Dziadku, przepraszam... I dziękuję. Było mi potwornie wstyd.

— Idź już, idź... Nie gniewam się. Żelazo hartuje się w ogniu. Przy Natalii nabrałem krzepy. Już się tak nie przejmuję waszymi pomysłami i jak trzeba będzie głupotę studzić w zarodku, to będę pierwszy.

Posłusznie poszedłem do mojego pokoju, przebrałem się i zszedłem na dół. Babcia miała rozpuszczone siwe włosy, które dopiero zamierzała ukryć pod chusteczką. Niedawno wstała.

— Kubusiu, dziecko... — Załamała rękę. — Józek mi właśnie powiedział, że wybieralesz się na samotną wyprawę do lasu. A pamiętasz przecież, że zemdlałeś przy cmentarzyku... — ściszyła głos, spoglądając na drzwi pokoju, w którym spała mama.

— Przepraszam, ale Miszka Tatar znowu pojawił się w moim śnie. — Zacisnąłem dłoń na medaliku.

Babcia zdawała się rozumieć. Pokiwała głową.

— Powinieneś tam iść — przyznała po chwili. — Józek cię zaprowadzi, a ja będę spokojna. O, już idzie - spojrzała w okno.

— Jak się czuje mama?

— Jeszcze śpi. Zioła ją wyciszyły, dzięki czemu odpocznie. Do kuchni wszedł dziadek Józef z wojskowym plecakiem przewieszonym przez ramię.

— Jesteś gotowy, Jakubie?  
— Gotowy  
— Nie wypuszczę was, bez śniadania! — Powstrzymała nas babcia.  
— Miszka Tatar ma w wieczności sporo czasu, więc na pewno zaczeka.  
Józef zaśmiał się i usiadł przy stole, a mnie, jak na zawołanie, głośno zaburczało w brzuchu.

## **Julia**

Rozchyłam usta i odbieram czułe pocałunki mężczyzny. Ciepłe dłonie błędzą po moim ciele, sprawiają rozkosz. Pragnę zatrzymać go przy sobie. Zanurzam palce w jego włosach. Czuję zapach siana, zapach łąki... Lecz po nocy zawsze nadchodzi świt i wszystko ulatuje w przestworza. Niemal tak jak w życiu. Mój kochanek rozwiewa się w porannej mgle...

Leżałam, nie otwierając oczu. Pod powiekami zastygł sen, z którego nie chciałam się obudzić. Każdą cząstką ciała odbierałam płynącą ze snu czułość. Tylko tę czułość pamiętałam z wczorajszego wieczoru. Błyszczała w oczach Tobiasza z tą samą co przed laty siłą. Tak bardzo go skrzywdziłam... Sen przywołał utraconą młodość. Odrzuciłam miłość, która trwa na przekór upływowi czasu. Zaciskałam oczy, by pozostać w jego bezpiecznych ramionach.

Ktoś cicho wszedł do pokoju. Odruchowo otworzyłam oczy i sen rozpułynał się w świetle poranka. Przy moim łóżku stała mama. Jedną dłonią opierała się na kuli w drugiej trzymała parujący kubek z malinową herbatą.

— Pomyślałam, że zajrzę tylko na chwilkę i zostawię ci przy łóżku herbatę. Kubuś bardzo ją lubi...

— Pięknie pachnie. — Wyciągnęłam ręce. Mama z uśmiechem podała mi kubek. Sen zastąpiło wspomnienie tego, co wczoraj jej powiedziałam. Poczułam wstyd.

— Usiądź obok mnie — poprosiłam i ostrożnie wzięłam łyk herbaty. Po przebudzeniu od lat piłam kawę, ale nie chciałam zrobić jej przykrości. Herbata była słodka i pachniała nieznaną mi mieszanką ziół.

— Przepraszam cię, mamó — szepnęłam. — Tak bardzo cię przepraszam.

— Już dobrze, dziecko. Wiem, przez co przesłaś. — Pogładziła mnie szorstką dłonią po policzku, a ja poczułam zapach dzieciństwa.

— Czuję się dużo lepiej, mamó. Nie martw się.

— Wiem, kochanie, i pomogę ci, jak tylko będę umiała. Życie ciągle zsyła na nas nowe problemy. — Posmutniała, a jej czoło przecięła głęboka bruzda.

Coś było nie tak.

— Musisz jeszcze o czymś wiedzieć. — Spojrzała na mnie poważnie, a ja zadrżałam. - Chodzi o Natalię.

Wspomnienie córki przywołało nieprzyjemny obraz ostatnich dni, o którym chciałam, chociaż na chwilę, zapomnieć. Moja łagodność prysła jak bańka mydlana. Mama, jakby odgadując, o czym myślę, ujęła moją dłoń i zacisnęła na niej palce. Zabolało.

— Posłuchaj mnie bardzo uważnie, córeczko — powiedziała. — Wiem, że Natalia zachowała się bardzo źle, lecz jest niezbędnym elementem kręgu, musi pomóc nam zdjąć klątwę, cokolwiek to oznacza...

Cudowny sen minął bezpowrotnie. Szara rzeczywistość i ból ponownie do mnie wracały.

— Kiedy to się wreszcie skończy?! — krzyknęłam ze złością.

— Myślę, że jutro... — Odwróciła wzrok. Zrozumiałam. Nazajutrz miało upłynąć dokładnie

dwadzieścia lat od wydarzeń na Czartowym Polu. Zadrżałam. Objęłam ramiona dłońmi. Czułam, jak paraliżuje mnie strach.

— Musisz jeszcze przez chwilę być silna — odezwała się po chwili.

— Obiecasz mi to?

Bezwiednie skinęłam głową.

— Co się stało?

— Nie możesz tego wiedzieć, bo spałaś, ale...

— Mów! - Zniecierpliwiłam się.

— Jakby ci to powiedzieć... — Zawahała się i wyraźnie spieszyła. — Natalia... nie jest już dziewczicą.

-Jak to? Kiedy? Z kim?!

— Z Krzysztofem — szepnęła mama. Zaszło mi w ustach.

— Skąd o tym wiesz? — wydusiłam.

— Od Jakuba.

— A więc, to prawda... On słyszy jej myśli. Czy Tobiasz wie? Mama skinęła głową. Ostatni wyczyn Natalii przebił wszystkie pozostałe.

— Co teraz? - zapytałam, chociaż nie spodziewałam się usłyszeć odpowiedzi.

— Czekamy — odpowiedziała ze stoickim spokojem. - Nie jesteśmy sami. Anioły Snu czuwają. - Poglaskała delikatnie moją dłoń.

— I mówisz to tak spokojnie? Mamo! Przecież to okropne...

— Nie złość się na nią, Juleczko. Natalka to bardzo wrażliwe dziecko...

— Raczej nieodrodna córeczka tatusia! Dlaczego jej bronisz? Nie słucha nikogo, nie szanuje, zwyczajnie z nas wszystkich drwi! To jej zagraża klątwa, a ona w takiej chwili zapragnęła nagle stać się dorosłą! Nie chcę nawet myśleć, co się stanie, jeśli...

Mama zacisnęła palce na mojej dłoni.

— Wszystko jakoś się ułoży. Nie zapominaj, Juleczko, że wiadomość o tym, że twoje prawdziwe dziecko się odnalazło, bardzo ją zabolęła...

— Być może... Ale to nie daje jej prawa, by rzucać nam w twarz oszczerstwa! Już nie pamiętasz, co powiedziała Tobiaszowi? Jak potraktowała Jakuba? Nas wszystkich...

— Ona tego bardzo żałuje... Obiecała, że wszystko naprawi...

— Natalia obiecuje wiele rzeczy, ale zwykle nie dotrzymuje słowa — zdrwiłam. - Pojechałaś do niej z chorą nogą. W potworny upał jechałaś wiele kilometrów starym autobusem, by z nią porozmawiać. I co to dało?

Mama spuściła wzrok i głośno westchnęła.

— Wiem, Juleczko, ale Kocham ją... I wiem, że mimo wszystko dobre z niej dziecko...

Wciąż delikatnie głaskała moją dłoń, a ja miałam wrażenie, że wciera mi w ręce jakiś tajemniczy balsam.

— Mamo, proszę cię!

— Zaufaj mi, jestem w końcu wiedźmą.

Ten argument zupełnie odebrał mi mowę. Siedziałam na łóżku jak skamieniała i pozwalałam sobie wmawiać niestworzone rzeczy. Wiedziałam to, lecz nie umiałam się przed tym bronić. I nie zamierzałam. Opadłam bezsilnie na poduszki. Czułam się jak wielki balon, z którego nagle ktoś spuścił powietrze. Zamknęłam oczy. Mama jeszcze przez chwilę głaskała moją dłoń, powtarzając, że wszystko będzie dobrze...

— Spróbuj zasnąć — powiedziała w końcu i pokuśtykała do kuchni. Słyszałam, jak zamyka za sobą drzwi. Nie umiałam się bronić słowami, ale nie zabroniła mi wylewać łez. Czułam, jak zbierają się pod powiekami. Skuliłam się w kłębek na łóżku i bezgłośnie zapłakałam. Gdzie podziała się dawna, energiczna Julia? Zamieniałam się w płacziwą, bezsilną kobietę w średnim wieku, co jeszcze bardziej mnie rozżaliło. Poduszka nasiąkała słonym smakiem łez.

Mój żalobny nastrój przerwał dzwonek komórki.

*Na na na na na na naaaa... Ze mną można tylko, pójść na wrzosowisko i zapomnieć wszystkooo...* — melodia z repertuaru Starego Dobrego Małżeństwa oznaczała, że dzwonią koledzy z PTTK.

— Litości, nie dzisiaj! — zakryłam dłońmi uszy. Telefon umilkł tylko na chwilę. Po paru sekundach ciszy rozspiewał się na nowo. A potem jeszcze raz i jeszcze...

— Halo! — wrzasnęłam, odbierając.

— Juleczko, słońce ty moje! — Poznałam głos pana Wiesia, starszego kolegi po fachu.

— Słucham, panie Wiesiu. — Zrobiło mi się wstyd, że krzyczę na ludzi bez powodu. A pana Wiesia bardzo lubiłam. Był dla mnie jak ojciec, którego nigdy nie poznałam.



— W czym mogę pomóc? - zapytałam, chociaż doskonale wiedziałam, o co chodzi...

— Słońce ty moje, poświęć godzinę i oprowadź małą, zagraniczną grupę po Zamościu. To archiwiści z Poznania i zaprzyjaźnieni z ich instytutem Niemcy. Nie zawracałbym ci głowy, Słoneczko, bo niemiecki trochę znam, kulawo, bo kulawo, ale oni jacyś nie do końca zwyczajni...

— To znaczy?

— Chodzi o to, że uparli się na wiedźmy, czarty i te wszystkie legendy, a do tego najbardziej ich interesuje druga wojna, a wiesz sama, że ja do tego serca nie mam.

— Przeszedł w błagalny ton. — Ja wolę o architekturze, kamieniczkach, renesansie lubelskim, sama wiesz przecież...

— Wiem, wiem — mruknęłam. — Ale przykro mi, raczej nie dam rady — zachrypiałam.

— Słońce ty moje, nie rób mi tego... — zebrał pan Wiesio.

— Nie mam siły — przyznałam cicho, ale chyba nie usłyszał.

— Co to dla ciebie, skarbie? Wiem przecież, jak to lubisz. .. Kto, jeśli nie ty?! — argumentował.

Lubiłam pana Wiesia i byłam mu winna przysługę. Kiedyś wybawił mnie od grupy rosyjskich inżynierów, których interesowały detale architektoniczne — konik pana Wiesia, a moja zmora...

— Halo? Julka! — krzyczał do słuchawki. — Proszę cię, bardzo cię proszę...

— Dobrze, o której?

— O dziesiątej, Słońce ty moje! — Szczerze się ucieszył. — I dziękuję serdecznie. Jestem twoim dłużnikiem. Pa!

— Pa - odłożyłam słuchawkę.

Zrezygnowana wstałam z łóżka i podeszłam do okna, które wychodziło na wschód. Nic dziwnego, że mama zawsze wstawiała o świcie. Otworzyłam szeroko okno i spojrzałam na łąkę. W oddali na polnej drodze dostrzegłam oddalające się sylwetki Józefa i Jakuba.

— Dokąd oni poszli? — Wbiegłam do kuchni już całkiem rozbudzona. Mama najspokojniej w świecie szykowała śniadanie.

— Siadaj, a tutaj masz swoją ulubioną kawę — postawiła przede mną filiżankę. - Zaraz wszystko ci wyjaśnię.

— Mów! — Irracjonalny strach o Jakuba wypełnił moje serce.

— Nie możesz tak się zachowywać! — upomniała mnie surowo mama. — Jakub jest dorosły i nie możesz go bez przerwy kontrolować.

— Dokąd poszli? — Nie zamierzałam odpuścić.

— Do Józefowa. Kubaś chciał zobaczyć pomnik w miejscu śmierci Miszki Tataru. — Podsunęła mi kawę, wzrokiem nakazując wypicie choćby łyka.

Podniosłam filiżankę i zmusiłam się, by przełknąć. Smak kawy zaskoczył mnie. Była dokładnie taka, jak lubię.

— Ale Kuba zemdlął przy cmentarzyku! — Nie byłam ani trochę spokojniejsza.

— Jest z nim Józef. Przestań się zamartwiać i jedź do Zamościa.

— Skąd wiesz, że gdzieś jadę?

— W końcu jestem wiedźmą...

— A tak poważnie?

— Słyszałam, jak zadzwoniła komórka, a potem dość głośno mówiłaś. Jeszcze nie jestem głucha.

Słowo się rzekło i nie miałam wyjścia. Musiałam się ubrać, bo nie chciałam się spóźnić.

Kiedy gotowa do drogi wsiadałam do samochodu, mama krzątała się na dworze, kuśtykała po podwórku i wyglądała na szczęśliwą. Otoczona przez stado gruchających gołębi rozsypywała ziarno. Na ucztę zbiegł się cały gęgający, kwaczący i gdaczący inwentarz. Emilia Sokół była w swoim żywiole. Pomachałam jej na pożegnanie, ale udawała, że nie widzi.

— I tak cię kocham, ty moja wiedźmo! — Zatrzasnęłam drzwi, włożyłam przeciwsłoneczne okulary i wjechałam na polną drogę. Za zakrętem, tak jak zawsze, przyspieszyłam. Zwolniłam, zbliżając się do skrzyżowania. Spojrzałam w lewo na Nepomucena i pomknęłam prosto do Zamościa.

## **Tobiasz**

Całą noc modliłem się długo i żarliwie, by dobry Bóg zesłał nam anioła mądrości, który pomógłby nam ocalić duszę Natalii od zguby. I zostałem wysłuchany. Już wiedziałem, na czym należy się skupić, co jest kluczem do zdjęcia klątwy, do uwolnienia dusz błakających się po wrzosowiskach Czartowego Pola — szczere wybaczenie sobie i innym.

O świcie wyszedłem na dwór. Nad rozciągającymi się w dolinie łąkami kołowały ptaki. Ich jesienne odloty wywoływały we mnie od dziecka wielką nostalgię. Oswoiłem ją, gdy los rzucił mnie do miasta, gdzie w wirze kapłańskiej posługi udawało mi się zapomnieć o przemijaniu pór roku,

tak pięknych i głęboko odczuwalnych jedynie na łonie natury. To znak, że lato nieuchronnie się kończy, a z nim moje zastępstwo w parafii i wakacje Jakuba, które przyniosły tak wiele zmian.

Ptaki wirowały w powietrzu, echo niosło nad Puszcza ich zbiorowy krzyk. Jakby zbierały się na sabat...

Zatopiony w myślach nie usłyszałem Franciszka, który cicho stanął obok mnie z głową zadartą do góry.

— Już od końca sierpnia tak się gromadzą — zauważył. — Mój dziadek powiadał, że gdy nadchodził czas ich podniebnej wędrówki, nie są już sobą. Nie walczą o byt, o pokarm, jakby przestawało je to obchodzić.

— To poczucie wspólnoty, Franciszku, sprzęga każdy żywy organizm w dążeniu do jedności. Czytałem, że ptaki w tym okresie ulegają prądom magnetycznym ziemi i pozostają w pewnego rodzaju hipnozie. Podążają do celu granicami nieistniejących już dziś gór i mórz.

— Ja tam nauczonych księgach się nie znam, bo moi rodzice i dziadkowie byli prostymi ludźmi. Chłopski u mnie rodowód, a co za tym idzie, i rozum chłopski. Mówię, co widzę i czuję, i w kazaniach księdza nie prześcignę. — Nachmurzył się.

— Nie to miałem na myśli, Franciszku. Książki i filozofów lubię, nie przeczę, ale mądrość ludową bardzo cenię i szanuję. Co jeszcze powiadał dziadek?

Franciszek od razu się udobruchał i rozbłysły mu oczy.

— Ano, mówił też, że podobno w locie trwającym tysiące kilometrów ptaki pożywienia wcale nie przyjmują. A gdy na nocleg opadają na mijane drzewa czy skały, jeden przy drugim bez strachu wypoczywa. Wielkie drapieżniki

przy drobnych śpiewakach. Ten, co pokarmem dla drugiego, spokojnie głowę przy nim utuli!

— Zawieszenie broni... Ludzie prędzej złamią zasady niż nasi bracia mniejsi.

— I zawsze wracają. - Wskazał dach starej dzwonnicy, na którym sterczało dumnie bocianie domostwo. — Na wiosnę ten sam bocian na starym gnieździe osiadzie.

— Ale są jeszcze z nami. — Wskazałem parę bocianów, które dostojnie spacerowały po łące.

Patrzyliśmy na nie z uśmiechem.

— Jeśli się ksiądz nigdzie nie spieszy, to coś księdzu pokażę — zagadnął kościelny.

Zamierzałem iść do Wrzosowisk, lecz dopiero wieczorem. Chciałem nabrać dystansu do wszystkiego, co wydarzyło się w ostatnim czasie i nie byłem w tym osamotniony. Oni także potrzebowali wytchnienia. Skinąłem głową i Franciszek poprowadził mnie do jednego z nieużywanych budynków przylegających do starej plebani. Był tam składzik na opał, piwnica i niewielka komórka, do której się skierował. Drzwi skrzypnęły głośno, gdy pchnął je do środka. Wszedłem za nim.

— Tylko ksiądz senior o tym wie, bo młodego proboszcza czas miniony nie interesuje, za bardzo nowoczesny — mówił jakby z ironią. — Ksiądz jest inny, dlatego pokażę...

W środku panował półmrok, ale Franciszek był na to przygotowany. Wyciągnął z kieszeni latarkę i oświetlił pomieszczenie. Rozejrzałem się dokoła, a kościelny spoglądał na mnie, ciekawy mojej reakcji.

W każdym zakamarku pomieszczenia stały sprzęty z minionej epoki: cepy o rzemiennych, skomplikowanych

głowicach, których dawno temu używano po wsiach do młocki, kociuby do wygarniania z chlebowego pieca popiołu, łopaty do wsadzania i wyjmowania z pieca chleba, a nawet ciężkie żarna do mielenia mąki, wyczyszczone i omiecione z pajęczyn. Widły, kosy, sierpy, balie i potężna drewniana tara do prania — wszystko wyczyszczone, zadbane, piękne. Kościelny musiał je gromadzić przez wiele lat i z widoczną dumą oprowadzał mnie po swoim małym królestwie, szczegółowo wszystko wyjaśniając. Byłem pod ogromnym wrażeniem.

— Pierwsze omłócone ziarno zgarniano z klepiska i od-wiewano ze szczególną starannością — tłumaczył w zapale, prezentując mi dorodny cep. — Mój dziadek powiadał, że było to ziarno na przyszły zasiew, nowy chleb, zapłata za znoj całoroczny. A taką łopatą babunia wyciągała z pieca chleb. Wcześniej podkładała pod bochen chrzanowe liście, które pozostawiały na spodzie charakterystyczny wzór. Gdy ostygł, kreśliła na nim znak krzyża, kroїła grube, pachnące kromki. Choćby okruszek upadł, z ziemi każdy z czcią podnosił.

— Jeśli zdążył i ubożę chaty strzegące owego okruszka mu sprzed nosa nie sprzątnęło — zażartowałem.

— Ze skrzatami inna sprawa — z powagą sprostował Franciszek. — Dziadek „podciepkami” je nazywał albo „Chowańcami”. „Ważna to postać w obejściu, Franiu!” — mawiał. Za odrobinę miodu czy maku w łupince orzecha pozostawionej konia od zmory ustrzeże, krowa nie straci mleka, kury dobrze nieść się będą, iskrę niebezpieczną w porę zdusi a nawet złodzieja przegoni! Gdy złe rzeczy w gospodarstwie się dziać zaczynają znak to, że „pod-

ciepka" ktoś zlekceważył i złym słowem uraził. Tego owe skrzaty przebaczyć nie umieją i w chacie wszystko przestaje się darzyć...

Zastanawiałem się, czy Franciszek żartuje sobie, czy naprawdę w to wierzy.

— Nic ksiądz nie powie na to moje bajanie? — zapytał Franciszek.

— Zostałem księdzem, Franciszku, bo wierzę, że Bóg umiłował najbardziej ludzi prostych, codziennym trudem zdobywających chleb. Pokochał ich wraz z całą obrzędowością i pokorą wobec przyrody. A na znak przymierza dał im Bóg najcierpliwszego z opiekunów. „Swoim aniołom dał rozkaz o tobie, aby cię strzegli na wszystkich twoich drogach. Na rękach będą cię nosili, abyś nie uraził swej nogi o kamień” — mówi Psalm.

— Mądrze ksiądz gada — pochwalił Franciszek. — I drugi ksiądz jest, co te sprawy rozumie. Bo pierwszy, to dla mnie zawsze proboszcz będzie!

— Chodźmy zatem pomodlić się za naszego proboszcza do kościoła.

— Wciąż się za niego modłę — obruszył się. — I zrobimy tak: ksiądz odda co boskie Bogu, a ja, skromny kościelny, oddam co cesarskie cesarzowi.

— To znaczy? — Rozbawił mnie.

— Ano tylko tyle, że ksiądz będzie się modlił, a ja posprzątam kościół, bo tak to już na świecie jest, że ktoś musi pracować, aby modlić się mógł ktoś!

Roześmiałem się głośno po raz pierwszy od długiego czasu.

## **Emilia**

Dom znowu opustoszał, tak jak miało być. To znak, że powinnam zaczynać... Nasza niepokorna wnuczka była niezbędnym elementem kręgu. Bez niej klątwa nie odejdzie w mrok przeszłości. Bez jej udziału nic dobrego się nie wydarzy. Obiecała, że przyjedzie i mówiła szczerze, lecz teraz sama nie zdobędzie się na ten krok.

Mogłam albo wszystko pogorszyć, albo naprawić. Bałam się, potwornie się bałam, że ją skrzywdzę, lecz miałam także świadomość tego, że nie ma w tej chwili innego wyjścia.

*„Natalia musi nauczyć się większej pokory wobec życia, w przeciwnym wypadku zło, które nieustannie czuwa, znajdzie w niej łatwy cel — mówiła przed śmiercią Marianna. — Lecz nie lękaj się, Emilko. Oprócz ciebie czuwa nad nią Anioł...”*

I była to prawda. Nieraz widziałam, jak w pustym pokoju kołyska z niemowlęciem łagodnie przechylała się raz w jedną, raz w drugą stronę poruszana przez dłonie nie z tego świata.

- Aniele Boży, Strózu Mój... Dopomóż!

## **Natalia**

Nie mogłam pozbyć się snu, który zastygł pod powiekami. Prowokował wyrzuty sumienia i wstyd, że nie umiałam się powstrzymać, że oddałam się pierwszemu lepszeemu facetowi, który nawinął się pod rękę. Coś mnie zaślepiło, odebrało rozum. Co zrobić, by zapo-



mnieć? Dokąd uciec? Jak wymazać z pamięci tę przeklętą noc!

W odpowiedzi fala tępego bólu oblała mi głowę, napierała na skronie i wdzierała się pod powieki.

— A niech to wszystko szlag trafi! — zawylałam w bezsilnej złości. Nikt mnie nie słuchał. Z sypialni dochodziło głośnie chrapanie ojca. Krzysztof odjechał. Wszyscy, którym na mnie zależało, byli we Wrzosowiskach. Czekają na mnie, lecz ja nie mam odwagi spojrzeć im w oczy. Zwłaszcza Kubie. On wie. Wszystko słyszał, może nawet... widział?!

Poczułam słony smak łez. Poznałam w końcu prawdę. To nie Jakub Zerfass, lecz ja, Natalia Stawarska, byłam, jestem i pozostanę ZŁA!

Teraz powinnam umrzeć! Tak, to dobry czas. Nałykam się proszków i po prostu zasnę i wszyscy, łącznie ze mną, będą w końcu zadowoleni! Podniosłam się z podłogi i na oślep skierowałam do kuchennej szafki, w której Julia trzymała środki przeciwbólowe. Od pewnego czasu cierpiała na pojawiające się nagle długie i uciążliwe migreny, którym wydała bezwzględna walkę.

— Są tak mocne, że wystarczy garść. — Otworzyłam szafkę.

Ból napierał. Łzy żłobiły ślady na policzkach. Nieprzytomnie wpatrywałam się we wnętrze szafki, w której prócz małej butelki z ciemnego szkła, nie było nic.

— Co jest, do cholery?! — Nie mogłam uwierzyć. — Gdzie wyparowały wszystkie proszki przeciwbólowe? Nie jestem idiotką! Apteczka była zapakowana po brzegi! Ałaaaa! — zawylałam, zaciskając dłonie na głowie. Ból atakował niczym drapieżny ptak. Oddychałam płytko, by jak najszybciej

przeszedł. W życiu nie czułam niczego podobnego, jakby ktoś wwiercał mi się w czaszkę. Niemal na oślep sięgnęłam w głąb szafki i zacisnęłam palce na butelce. Stała w apteczce, zatem musiało być to lekarstwo... A choćby i trucizna! W końcu chciałam się zabić.

Ból napierał. Wywoływał mdłości...

— Wypiję choćby truciznę, byle tylko się go pozbyć... — jęknęłam. Odkręciłam butelkę i powąchałam. Roztwór pachniał leśnymi owocami.

Uniosłam butelkę do ust i przechyliłam. Poczulałam na języku słodki, jagodowy smak. Przechyliłam jeszcze raz i pociągnęłam solidny łyk. Wypiłam do dna i wepchnęłam butelkę do szafki.

Aneks kuchenny zawirował przed oczami. Ból narastał, wyciskał łyzy, stepował w głowie z radosnym przytupem, -brał mnie w ramiona niczym tancerz. Wirowaliśmy coraz szybciej, coraz mocniej... Twarze, twarze, twarze...

## **Jakub**

Dziadek Józef szedł obok mnie sprężystym, wojskowym krokiem. Zeszliśmy w dolinkę za cmentarzem, potem przez kładkę nad Sopotem i za łąką wyszliśmy na ubity trakt. Pomaszerowaliśmy w kierunku Józefowa, mijając bokiem Księżą Górkę.

W oddali na wzniesieniu stał drewniany kościółek pod wezwaniem świętego Jana Nepomucena, tego samego, którego figura strzegła od czasów powojennych Wrzosowisk i odstraszała czarty harujące na Czartowym Polu.

Miszkę Tatarą pamiętało niewielu ludzi, jednym z nich był stary proboszcz Bartosz Konradowski, którego ksiądz Tobiasz odwiedzał w zamojskim szpitalu.

— Ta droga prowadzi prosto do kamieniołomów i będziemy się jej trzymać — mówił dziadek. — Jest sucho, więc można nią przejść. Jesienią zamienia się w błotnistą otchłań. Grzęźnie w niej wszystko, począwszy od samochodów, na pieszych skończywszy.

— Dziękuję, że zechciał dziadek ze mną pójść...

— Nie ma sprawy, chłopcze. Chętnie rozprostuję stare kości. Upał wciąż nie ustępuje, a w lesie, jest mniej dokuczliwy niż we wsi.

Miał rację. Drogę ocieniały wysokie drzewa, a wiatr, który kołysał ich koronami, studził nasze czoła. Szliśmy równym krokiem, nie spiesząc się.

— Co wiesz o Miszce Tatarze, dziadku?

— Prócz tego, że okazał się ojcem mojej żony, niewiele. Chciałbym ci pomóc, ale w czasie wojny byłem dzieckiem i przechowuję w pamięci inne, przerażające obrazy, lecz one z pewnością nie mają związku z twoimi snami.

— Ale znasz księdza Bartosza, słynnego „Wichurę” — przypomniałem. Dziadek wyraźnie spochmurniał. Przystanął, wyciągnął z plecaka butelkę z wodą i pił łąpczywie. Dłonie mu drżały.

— Skoro już tak razem wędrujemy, Jakubie — odezwał się po chwili — powiem ci o czymś, co siedzi w moim sercu jak drzazga. Może jako przyszły ksiądz pomożesz mi się jej pozbyć, bo chociaż próbuję od wielu lat zapomnieć i wybaczyć „Wichurze”, wciąż tego nie potrafię. Zawsze, gdy ktoś wymawia jego nazwisko, serce przeszywa mi ból. —  
Dzia-

dek zwolnił kroku i z trudem dobierał słowa. — Los mnie nie oszczędzał a Bóg przedwcześnie zabierał do wieczności moich bliskich. Straciłem żonę i córkę, o wnuczkę nieustannie się boję... ale tego nie muszę ci tłumaczyć.

Odwrociłem głowę, by nie wyczytał w moim spojrzeniu wydarzeń ostatniej nocy. Jego strach o wnuczkę mógł doprowadzić go do szaleństwa. Nie chciałem, by dowiedział się wszystkiego ode mnie.

— Po wojnie zostałem na świecie niemal zupełnie sam - mówił dalej.  
— Wojna zabrała mi ojca i braci, a na koniec także matkę... Została mi tylko siostra. Była taka niemiecka operacja w Puszczy Solskiej o kryptonimie „Sturmwind II”. Niemcy wszystkimi siłami uderzyli na stawiających opór partyzantów. Główny dowódca partyzantów nie wytrzymał ciężaru odpowiedzialności. Nie widział szans na to, by się przebić. Kazał rozwiązać oddziały, a sam... Cóż... Palnął sobie w łeb...

— Zostali bez dowódcy?

— Nie na długo. Jedyńm, który chciał się przebijać dalej, był „Wichura”. On właśnie przejął dowodzenie i jak szaleniec wierzył, że się uda...

— I udało się...

— Nie wszystkim. „Wichura” wyszedł z lasu bez szwanku, lecz moi bracia zginęli na bagnach. Mogli wrócić do domu cali i zdrowi, ale nie wrócili! A on?! Żyje sobie spokojnie, patrzy na świat, oddycha...

Głos dziadka zadrżał. Wierzchem dłoni otarł płynące po policzkach łzy.

— Byłem przy ekshumacji. Nigdy nie zapomnę tego widoku i tego potwornego, mdlącego, trupiego zapachu. Cia-

ła moich braci przypominały mokre, cuchnące bagnem... szmaty.

— Bardzo mi przykro, dziadku - powiedziałem tylko.

Ksiądz Tobiasz z pewnością znalazłby odpowiednie słowa, by odpowiedzieć na ten zarzut. Ja nie umiałem. Długą chwilę szliśmy w milczeniu. Dziadek odetchnął głęboko i przyspieszył kroku. Z trudem za nim nadążałem. Przed nami rozciągała się widoczna z daleka wysoka ściana wyrobiska.

Poznałem kamienistą, tonącą w letnim kurzu drogę. Widziałem ją tego dnia, gdy zemdlałem przy cmentarzyku na Czartowym Polu. Teraz byłem tu na jawie. Wyszliśmy z lasu od strony kamieniołomów. Ścieżka łagodnie opadała w dół do Józefowa. Miszka Tatar przemierzał ją ostatni raz 1 czerwca 1943 roku. Dotknąłem dłoni porośnięty trawą i zieleń kamień. Wryto na nim słowa: „W hołdzie dowódcy oddziału partyzanckiego M. Atamanowi pseud. »Miszka Tatar« poległemu tu dnia 1 VI 1943 wraz z grupą partyzantów polskich i radzieckich w walce z okupantem hitlerowskim”.

Poczułem wielką ulgę i spokój. Miałem pewność, że nasze modlitwy zostaną wysłuchane.

## **Julia**

— Znajdujemy się przed Pomnikiem Jeńców Radzieckich. Kamienno-ceglany monument ozdobiony sierpem i młotem upamiętnia obóz jeńców radzieckich, który hitlerowcy założyli w Zamościu w lipcu 1941 roku...

Mijała kolejna godzina naszego spaceru, a raczej przejazdu po Zamościu. Zaczęliśmy od Rotundy, następnie pokazywałam im kolejne pomniki i miejsca kaźni związane z II wojną światową. Oprowadzałam ich w języku niemieckim, czego już dawno nie robiłam. Czasem brakowało mi słów, lecz stres pracował na moją korzyść i w odpowiedniej chwili brakujące słowa wracały.

— To jeden z trzech obozów, które znajdowały się w obrębie Zamościa — kontynuowałam. — Wszystkie stanowiły całość, Stalag 325. Zabudowę obozu, otoczonego zasiekami z drutu kolczastego, stanowiły dwie szopy bez ścian. Proste dachy na słupach i budynek dla warty. W obozie panował niewyobrażalny głód. Jeńcy po całodziennej katorżniczej pracy spali pokotem na gołej ziemi. Konali z głodu w potwornych męczarniach. Świadcowie tych wydarzeń są zgodni w opisywaniu cierpienia więzionych tutaj ludzi. Jeńcy zbuntowali się, jednak ich protest wobec głodowej śmierci został okrutnie stłumiony. W ciągu dwóch nocy hitlerowcy rozstrzelali wszystkich więźniów z karabinów maszynowych. Było ich ponad dwadzieścia tysięcy.

Twarze Niemek zastygły. Domyślałam się, że niełatwo im słuchać o zbrodniach ich rodaków, ale dokładnie tego chcieli. Poza tym nie sprawiali kłopotów, byli wyjątkowo zdyscyplinowaną grupą złożoną z trzech Polaków, pracowników poznańskiego archiwum, i piętnastu bardzo sympatycznych Niemek. Jedna z pań, która pewnie była w moim wieku, chłoneła każde słowo i zadawała wiele pytań. Wszystko rejestrowała dyktafonem, na co wyraziłam zgodę. Grupa, tak jak uprzedził mnie pan Wiesio, wykazywała także duże zainteresowanie czarownicami.

Turyści weszli do autokaru. Moment przejeżdżania obok ogrodu zoologicznego był pretekstem do porzucenia wojennych historii.

## **Tobiasz**

— Święty Janie Nepomucenie, dopomóż - prosiłem. Odniosłem wrażenie, że anioły otaczające klęczącą postać świętego w głównym ołtarzu poruszyły skrzydłami... Z modlitewnej zadumy wyrwał mnie nagle potworny rumor. Zerwałem się z klęczek.

— Przepraszam, najmocniej przepraszam...

Franciszek skończył już porządki w kościele i gdy odstawiał do schowka szczotkę, zaczepił o coś, wiadro wypadło mu z rąk i przeturlało się z brzękiem po posadzce.

Z oddali dochodził narastający warkot samochodu. Nie tylko ja go słyszałem. Franciszek kurczowo trzymał w dłoniach wiadro i nasłuchiwał.

— Jaki to dzień dzisiaj mamy? — podszedł do wiszącego w zakrystii kalendarza, ale nie mógł odnaleźć właściwego miejsca.

— 22 sierpnia — odpowiedziałem.

— A, to wszystko się zgadza. — Pokiwał głową. — Jak nic, proboszcz wraca do parafii z tego swojego Rzymu. To jego samochód...

— Idziemy się przywitać - zdecydowałem.

— Jak ksiądz chce — mruknął.

Wyszliśmy przed kościół w chwili, gdy samochód wyjechał z rzadko uczęszczanej drogi od strony kamienio-

łomów i zatrzymał się przed nową plebanią. Z terenówki wysiadł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w cywilnym ubraniu. Zauważył nas i czekał aż podejdziemy. Był wspaniale opalony i na odległość tryskał energią.

-Jak miło, że ktoś na mnie czeka. — Uniósł dłonie w papieskim geście. Franciszek zamruczał coś pod nosem z dezaprobatą.

— Szczęść Boże. - Podaliśmy sobie prawice. — Tobiasz Stawarski — przedstawiłem się.

— Andrzej Albero. Serdecznie dziękuję księdzu za zastępstwo w parafii.

— To była dla mnie przyjemność — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Proboszcz zaśmiał się głośno.

— Miło, księżę Tobiaszu, że się ksiądz nie skarży, ale w to akurat w ogóle nie uwierzę. A jaka to przyjemność siedzieć w tej głuszy? — Wskazał otaczające zewsząd kościół drzewa. — We Wrzosowiskach diabeł mówi dobranoc — westchnął ciężko. — A ksiądz, jak słyszałem, z Monachium, z wielkiego świata i chociaż to bardzo nie po chrześcijańsku, to z całego serca księdzu zazdrozczę.

Franciszek zajął się walizką. Wyciągnął ją z samochodu bez większego wysiłku i na chwilę stanął za księdzem Andrzejem, twarzą do mnie i znacząco przewrócił oczami. Musiałem się opanować, żeby nie parsknąć śmiechem.

— Zapraszam księdza na kawę. - Albero wskazał plebanię. — Przywiozłem najlepszą, czyli włoską.

— Bardzo chętnie, jeśli nie zrobię kłopotu. Nie jest ksiądz zmęczony podróżą?

— Ani trochę, bo nie jadę prosto z Rzymu. Przyjechałem wczoraj wieczorem i zatrzymałem się w Zamościu.



A potem rozmowy i poczęstunek w wydaniu pani Helenki, sam ksiądz rozumie... Zostałem na noc i w ten sposób jestem wypoczęty. Zapraszam. - Wskazał mi miejsce na tarasie i pobiegł szykować kawę.

Franciszek tymczasem wniósł na piętro walizkę i zabrał się z miejsca za wietrzenie pokoi. Jedno z okien otworzyło się tuż nad tarasem, gdzie siedziałem. Franciszek widocznie czegoś nie dopatrywał w swoich codziennych obowiązkach, bo głos proboszcza, nie był uprzejmy. Pomyślałem, że nie przepadają za sobą.

Spojrzałem na mały kościółek, otaczające go wysokie lipy, ukrytą za malwami starą plebanię i poczułem ogarniający mnie smutek. W przeciwieństwie księdza Andrzeja pragnąłem zostać tu na zawsze.

## **Jakub**

— Wracamy do domu, czy chciałbyś jeszcze coś zobaczyć? — zapytał dziadek Józef, gdy w skupieniu odmówiłem modlitwę za dusze tych, którzy polegli pod Józefowem.

— Bardzo bym chciał, ale... — Nie chciałem narażać starszego pana na zdrowotne komplikacje. Długa wędrówka i bolesne wspomnienia. Za dużo jak na jeden raz. Dziadek zauważył moje wahanie i uśmiechnął się pod nosem.

— Nie martw się o mnie, Jakubie. Nic mi nie jest, a skoro już tu jesteśmy, grzechem byłoby nie pokazać ci innych miejsc, które mogą cię zainteresować. Widzę, że bardzo interesuje cię przeszłość, tak jak Julię.

Przystanęliśmy na szczycie kamieniołomu.

— Piękny widok. — Rozglądałem się zauroczony.

— Zapomniałem ci powiedzieć, Jakubie, że te kamieniołomy nazywane są Babią Doliną, ale skąd taka nazwa, nie wiem.

— Może mama będzie wiedziała?

— Na pewno, Julka takie rzeczy wie. Sam jestem ciekaw. Przy młodych to jednak inne spojrzenie na świat i w człowieku na stare lata rośnie apetyt na nowe odkrycia.

— Co to za budynek? - zapytałem.

Słońce było już wysoko. Dziadek przyłożył dłoń do oczu, by lepiej widzieć.

— Który? - stanął bliżej mnie i patrzył uważnie. Słońce uporczywie świeciło nam w oczy

— Ten nad rzeczka, w gąszczu — wskazałem kierunek. -Tam, w dole? - Upewnił się. - To stary młyn nad Czarną Rzeczką. A tam, bardziej w bok, gdzie drzewa są jakby ciemniejsze... Widzisz? Tam jest dolinka, a w niej krzyż i pamiątkowy kamień w miejscu śmierci poety powstańca, który zginął pod Józefowem. Romanowski. Jego historia jest równie tragiczna, co Miszki Tatar. To drugi z bohaterów, o którym ludzie tutaj wciąż pamiętają.

— Niestety nie słyszałem o nim - przyznałem.

— Wszędzie tu wokół — zrobił ruch dłonią — tylko groby, trupy i śmierć. Wojna i ludzka nienawiść, a czasem zwykłe, okrutne zrzędzenie losu, zamieniło ten skrawek ziemi w padół łez. Najpierw powstania, potem dwie wojny. Aż dziwne, że kamień na kamieniu tu pozostał... Tam na przykład — wskazał dłonią — za młynem, gdzie ten brzozowy zagajnik, leżą pamiątkowe kamienie z czasów drugiej wojny: „Jedynka”, „Dwójka” i „Trójka”.

— Co oznaczają te liczby?

— Bazy partyzanckie oddziału „Wichury”. Zbierali się tam przed każdą akcją. Szkolili się. Mieli połowy szpital, kwatery i schowki na broń. Na początku wojny pierwsza baza, czyli „Jedynka”, była najbliżej Józefowa. Z czasem partyzanci musieli cofać się w głąb Puszczy. Niemcy napierali coraz większymi siłami. Druga, a zwłaszcza trzecia baza, opierała się o bagna. Właśnie tam, na uroczysku, znalazłem przegniłe ciała moich braci...

Głos dziadka ponownie stał się chropowaty, ale tym razem szybko się opanował.

— Możemy tam iść, choćby zaraz, ale to kawał drogi, chociaż z tego miejsca wydaje się blisko — powiedział dziadek.

Pot ciekł mi z czoła stróżką, koszula lepiała się do pleców i bolały mnie nogi. Wyjąłem z plecaka butelkę z wodą i łapczywie piłem.

— Dam radę — zdecydowałem.

— Na moje oko dasz radę tylko do pierwszej bazy - osądził dziadek.

— Dwie pozostałe odwiedzimy innym razem. Pójdziemy tędy - wskazał ścieżkę ginącą w lesie. — Dojdziemy do „Jedynki”, zawrócimy, zrobimy łuk i wyjdziemy boczną dróżką niedaleko Wrzosowisk.

Zgodziłem się. Dziadek Józef z lekkością zaczął schodzić w dół. Ruszyłem za nim, spoglądając pod nogi. Za piaszczystym traktem poprowadził mnie w gąszcz. Z boku został czerwony szlak. Starłem się zapamiętać drogę, ale dziadek omijał utarte ścieżki. Swobodnie kluczył po lesie.

## Emilia

Niespokojnie wyglądałam na drogę. Żeby lepiej widzieć, usiadłam na ławeczce pod bzami. Czy zdołam to zrobić? Czy jeszcze to potrafię? Odległość była znaczna... Gdy byłam dzieckiem, uwielbiałam w ten sposób dokuczać Sabinie. Siadałam cichutko gdzieś w kąciku, zamykałam mocno oczy i koncentrowałam myśli na siostrze. Wyobrażałam sobie, w którym miejscu i jaki sparaliżuje ją ból, a potem kazałam jej skakać po miedzy na jednej nodze albo biegać po podwórku na golasa. Sabina robiła, co kazałam, i często trochę to trwało, zanim szopkę przerywała Marianna. Musiałam potem za karę przez wiele godzin klęczeć w oborze na grochu, ale było warto, bo odpłacałam Sabinie pięknym za nadobne. Nie było dnia, byśmy się nie pokłóciły i Marianna bardzo nad tym bolała. Wyrosłam z tego w końcu, lecz nawet dzisiaj miałam satysfakcję z moich psikusów. Teraz sprawa była poważna. Tu już nie było czasu na zabawę. Próbowałam od paru godzin i nadal nic się nie działo, a przecież musiałam zdążyć przed ich powrotem do domu.

W końcu Reks podniósł się niespokojnie i nadstawił uszu. Serce mi zadrżało. Tak... Ja też coś słyszałam... Pokuśtykałam w stronę stodoły i z trudem otworzyłam drewniane wrota. Odgłos warczenia narastał. Reks szczekał głośno. Samochód warczał, ale powoli jechał po polnej drodze. Za kierownicą siedział ktoś, kto nie miał bladego pojęcia o jeździe autem. Z pewnością nie była to Julia.

Pomachałam do kierowcy, wskazując wewnątrz stodoły jako plac do parkowania.

— Tutaj, wjedź tutaj! — krzyczałam.

Dostrzegła mnie i skręciła z drogi. W końcu samochód wtoczył się do stodoły i silnik zgasł. Drzwiczki otworzyły się i z auta wysiadł mój długo oczekiwany gość.

— Grzeczna dziewczynka... — Uśmiechnęłam się.

Reks czekał radośnie, gdy Natalia powoli wyszła ze stodoły. Potem stanęła w miejscu, jakby ją zamurowało. Nie wyglądała dobrze. W niczym nie przypominała zadziornej pannicy, która, jeszcze tak niedawno obrzucała wszystkich najgorszymi oskarżeniami. Miała podkrążone, opuchnięte od płaczu oczy, nietknięte grzebieniem włosy sterczały na głowie, a letnia sukienka była potwornie wymięta. Na nogi wcisnęła klapki nieodpowiednie do jazdy samochodem.

— Chyba tracę rozum, babciu — wyszeptała na powitanie.

— Dlaczego?

— Widziałam moją mamę... — wyszeptała ze łzami w oczach.

Usta miała spieczone. Na policzkach zakwitły jej rumieńce. -Julię?

— Mamę, która mnie urodziła... Nie była dla mnie miła. — Spojrzała na mnie ze strachem w oczach. — Kazała mi natychmiast jechać do Wrzosowisk. Do ciebie... Więc jestem.

Skinęłam głową. Wszystko wreszcie szło tak, jak należy.

— Wszystko będzie dobrze, zajmę się tobą... Musisz odpocząć. Ale najpierw pomóż mi zamknąć stodołę. Sama nie dam rady — stuknęłam kulą w gipsowy but.

Natalia bez wysiłku pchnęła skrzypiące wrota i założyła sztabę. Samochód Adama bezpiecznie zaczeka na swojego właściciela, niewidoczny dla innych.

— Idziemy. — Wyciągnęłam do wnuczki rękę, którą bez sprzeciwu chwyciła. Szkoda, że nie wpadłam na to wcześniej ...

## **Julia**

Spacer po Zamościu dobiegał końca. Grupa poznańskich archiwistów wydawała się zadowolona ze zwiedzania „Padwy Północy”. Zmierzałyśmy do ostatniego punktu programu.

— Jeśli mają państwo jakieś pytania, bardzo proszę — zachęcałam.

— Chciałbym nawiązać jeszcze raz do czasu okupacji... — odezwał się mężczyzna z bródką. Przykuł moją uwagę od samego początku. Przypominał mojego kolegę ze studiów.

— Bardzo proszę.

— Kiedy dokładnie przebywał w Zamościu Heinrich Himmler?

— Przyjechał na inspekcję 20 lipca 1941 roku - odpowiedziałam. — Wokół Zamościa, a właściwie Himmlerstadtu, jak planowano nazwać miasto na cześć Himmlera, miał powstać niemiecki okręg osiedleńczy.

— To by się zgadzało... — powiedział cicho do kolegi. Ten skinął z powagą głową. - Czy słyszała pani o działalności Ahnenerbe na Zamojszczyźnie? — zapytał już głośniej.

— Szczerze mówiąc, nie... — Zawstydzona usiłowałam przypomnieć sobie cokolwiek o Niemieckim Dziedzictwie Przodków, ale znałam jedynie datę utworzenia instytu-

tu przez Himmlera w 1935 roku. Pan z bródką zauważył moją konsternację i uśmiechnął się przepaszająco.

— W poznańskim archiwum znajduje się bardzo ciekawa dokumentacja, pozostałość po wnikliwych badaniach SS nad procesami czarownic. Dokumenty odnaleziono w kwietniu 1945 roku w Sławie na Śląsku. Od pewnego czasu intensywnie nad nimi pracujemy — tłumaczył. — Himmler rezydował w pałacu w Sławie, gdzie odkryto pomieszczenie wypełnione po brzegi dokumentacją i książkami. Badając znaleziska, trafiliśmy na strzępy informacji dotyczących jakiegoś ważnego odkrycia na Zamojszczyźnie, którego dokonała jednostka H.

— Czym zajmowała się ta jednostka?

— W dużym skrócie można powiedzieć, że było to komando do spraw czarownic, ale z dokumentów wynika, że nie gardzili też innego rodzaju wykopaliskami. Badali na przykład ślady wędrówek Gotów, a ciekawe znaleziska wywozili do swojej bazy gdzieś na terenie Bawarii.

— Dowodzi nimi Sturmbannführer SS Rudolf Levin -do rozmowy włączył się drugi z archiwistów. — W każdej z wypraw towarzyszył mu niejaki Wilhelm August Patin, profesor prawa kanonicznego i kuzyn Himmlera.

— To bardzo ciekawe — powiedziałam. — Ahnenerbe było potężną instytucją badawczą. Naziści docierali do najdalszych zakątków świata, studiując język runiczny i starogermańskie sagi, by udowodnić potrzebę germańskiej dominacji rasowej. Byli w Tybecie, Islandii, Finlandii...

— I na Roztoczu — dodali panowie.

— Nie wiedziałam o tym.

— Zapraszamy panią do Poznania — uśmiechnął się mężczyzna z bródką. - Podzielimy się z panią naszymi odkryciami.

— Jeśli tylko będzie taka okazja — zapewniłam.

— Pani Julio, dziękujemy za wspaniałe oprowadzenie po Zamościu.

— Ja również dziękuję, byli państwo wzorową grupą.

— Zapamiętamy wycieczkę do Zamościa jako jeden z naszych najlepszych wyjazdów.

Rozległy się oklaski.

— Bardzo Państwu dziękuję. Do widzenia.

Grupa powoli rozchodziła się po rynku, zajmując miejsca pod parasolkami, a ja zbierałam się w sobie, by złożyć wizytę Adamowi i Natalii. Na samą myśl o niewdzięcznym mężu i córce czułam gniew. I zwłaszcza z Natalią miałam do pomówienia...

— Przepraszam, czy mogę zająć pani jeszcze chwilę? — zapytała po niemiecku kobieta z dyktafonem.

— Tak, oczywiście.

Kobieta miała w sobie coś bardzo sympatycznego. Czy było to łagodne spojrzenie dużych, piwnych oczu, a może delikatny uśmiech na ustach?

— Nazywam się Kathrin Kompisch - przedstawiła się. Ucisnęłam wyciągniętą dłoń. — Jestem historykiem i pisarką. Niedawno ukazała się moja najnowsza książka, którą chciałam pani podarować na pamiątkę. - Sięgnęła do przewieszanej przez ramię torebki, skąd wyciągnęła okazałych rozmiarów publikację.

— Bardzo dziękuję. - Trzymałam w dłoniach książkę, pod tytułem „Wiedzmy Himmlera”. - Czy mogę prosić o autograf?



— Obowiązkowo! — Zaśmiała się, wyciągnęła z torebki pióro. Czekalam, aż dokona wpisu: „Dla Julii, wspaniałej przewodniczki, z pozdrowieniami, Kathrin Kompisch. Zamość, 22 sierpnia 2013 roku”.

— A gdyby zechciała pani pozostać ze mną w kontakcie, na czym, nie ukrywam, bardzo mi zależy, podaję mój numer telefonu i adres mailowy. Piszę kolejną książkę, a pani ma bezcenną wiedzę.

— Raz jeszcze dziękuję i chętnie pomogę.

— To wspaniale! — Wyglądała na uszczęśliwioną. — Czy mogę prosić także o pani adres mailowy? — Skinęłam głową, a Kathrin włączyła dyktafon i zarejestrowała adres. — Jak tylko zapiszę informacje z wycieczki, zaraz prześlę je pani do autoryzacji.

— Mam szansę pomóc przy pisaniu książki?

— Myślę, że będzie pani miała w niej ogromny wkład. Było mi bardzo miło panią poznać — podała mi dłoń na pożegnanie.

— I nawzajem. Bardzo dziękuję za książkę. — Z nową energią ruszyłam w stronę parkingu. Wsiadłam do samochodu i wsunęłam książkę na półkę. Teraz głowę zaprzętało mi coś zupełnie innego. Policzyłam do dziesięciu i wjechałam na rondo. Od ulicy Sadowej dzieliły mnie tylko dwa skrzyżowania.

## **Jakub**

Stary młyn ze szczytu kamieniołomu wydawał się być w lepszym stanie. Zmurszałe deski oplatała zewsząd roślinność, z okien wychylały się giętkie ramiona rosnących gęsto wewnątrz leszczyn. Mieszkała tu rodzina wiewiórek. Zaciekawione, przyglądały się nam czarnymi oczkami.

— Basia, basia... - przywoływał je dziadek. Patrzyłem, jak bez strachu podbiegły mu do stóp.

— Basia? — Nie rozumiałem.

— Moja babunia tak do nich wołała. — Zaśmiał się dziadek.

— Teraz rozumiem! — Śmiałem się.

— Zdziwisz się, co znajduje się za tymi krzakami. — Wskazał wysepkę w zakolu rzeczki. Poprowadził mnie za młyn przez drewniany mostek. Wiewiórki biegły za nami.

-Figurka... - podszedłem bliżej. Po bircie i krzyżu poznałem świętego Jana Nepomucena.

— Stąd do bazy już bardzo blisko — powiedział dziadek, wchodząc w zarośla za młynem. Nad strumykiem wisiało powalone drzewo. Pełniło rolę kładki. Dziadek z lekkością przeszedł na drugą stronę. Poszedłem na nim. Zachwiałem się, ale udało mi się przejść strumień suchą nogą. Rzeczka nie była głęboka. Nie groziła mi kąpiel, co najwyżej utknąłbym na chwilę w lepkim mule. Nic strasznego, ale niezbyt przyjemne. Zobaczyłem z daleka olbrzymi kamień. Podeszliśmy bliżej.

— „Tu była placówka AK 1943 »Jedynka«" - przeczytałem głośno wyryty w kamieniu napis. Miałem wrażenie, że drzewa nad naszymi głowami nucą cicho partyzancką pieśń.

## **Julia**

Zaparkowałam na ulicy i trzasnęłam drzwiami samochodu. Nie zajechałam na posesję celowo. Byłam pewna, że Adam będzie chciał mnie zatrzymać. Pchnęłam furtkę

w bojowym nastroju. Cała niepewność, żal i smutek, towarzyszące mi przez ostatnie dni pierzchły jak niepyszne. Znowu byłam dawną Julią. Dom wydawał się wymarły. Cisza, spokój. Na tarasie pustki. Zamknięte okna.

— Co za marnotrawstwo tak pięknego dnia!

Samochodu Adama nie było w garażu. Drzwi stały szeroko otwarte. Dlaczego ich nie zamknął? Samochód i garaż były jego oczkiem w głowie. Po pracy uwielbiał tam majsterkować. Musiał się bardzo spieszyć. Odruchowo spojrzałam na zegarek. Dochodziła piętnasta. Pokręciłam głową z politowaniem nad własną naiwnością. Adam był w pracy i z pewnością nie bardzo się przejął naszą kłótnią. Całe życie był bardzo obowiązkowy, dlaczego miałby to zmieniać. To dobrze, zabiorę parę osobistych drobiazgów. Zdążę przed jego powrotem z pracy i obejdzie się bez spotkania, którego nie chciałam. Pozostawała tylko Natalia.

— A skoro będziemy same, już ja sobie z tobą porozmawiam, moja panno!

Nie miałam zamiaru zachowywać się cicho. Rzuciłam kluczyki na stolik, aż zabrzęczało i bez pukania weszłam do pokoju Natalii. Łóżko było puste. W pokoju unosił się intensywny zapach męskiej wody toaletowej.

Nie miała nawet tyle przyzwoitości, by zatrzeć za sobą ślady. Na pewno mnie zauważyła i schowała się. Zdawała sobie sprawę z tego, że już wiem o tym, co zrobiła. Jakub słyszał jej myśli. Nie uciekniesz przed poważną rozmową, córeczko.

Weszłam schodami na piętro, wyjrzałam na taras. Cisza. Natalii nigdzie nie było. Zeszłam na dół. Łazienka pusta. A zatem kuchnia. Też nic. Pusto i cicho. Na kuchennym

stole walały się jakieś kartki. Wilki szczerzące kły, otchłań i bagna. Dzika roślinność. Wszechobecna czern...

— O Boże! — Poczułam, jak dławi mnie strach. A jeśli Natalia. .. coś sobie zrobiła? — Natalia! — krzyknęłam. Otworzyłam drzwi sypialni. Poczułam na twarzy podmuch wiatru. Okno było otwarte, lecz fetor alkoholu niemal zatrzymał mnie w ptoгу. Na łóżku, w ubraniu leżał Adam. Zaczynał się budzić, przesunął się na łóżku, zazgrzytał zębami i usiłował otworzyć oczy. Kiedy mu się to w końcu udało, z jego ust wydobyło się jedynie nieokreślone charczenie.

Czułam już tylko wściekłość.

— Gdzie Natalia!?! - wrzasnęłam. — Jak pilnujesz własnej córki!

Adam był wciąż nieprzytomny. Usiłował podnieść się na łóżku, ale po paru próbach opadł bez siły na poduszki, po czym jego twarz przybrała kolor trupiej białości. Ostatkiem sił obrócił się na bok i wymiotował do stojącej przy łóżku miski. Ledwie zdążyłam odskoczyć, by nie dosięgły mnie wylewające się z niego wymiociny.

— Jesteś obrzydliwy! Nienawidzę cię! — Rozpłakałam się z bezsilnej złości. Strach o Natalię trochę osłabł. Podejrzewałam, że widok ojca ją zdenerwował i zwyczajnie gdzieś pobiegła. Nie zamierzałam zostać tu ani chwili dłużej.

— To prawda, że miłość od nienawiści dzieli jedynie krok - mówiłam sama do siebie, starając się nie zwracać uwagi na odgłosy dochodzące z łóżka. — Jak łatwo można zniszczyć to, co piękne! I właśnie to zrobiłeś, draniu! Byłam ślepa i głupia, że ci wierzyłam — krzyczałam. — I wybaczyłam ci wszystko, nawet to, że wykorzystałeś moją najlepszą przyjaciółkę i zламаłeś jej życie. To potworne, że winiłam

za tę chwilę zapomnienia tylko Natalię. Byłam zaślepiona miłością do ciebie, ale to już przeszłość...

Otworzyłam szafę i wyciągnęłam walizkę. Na jej dno wrzuciłam kilka wieszaków z ubraniami. Adam leżał na brzegu łóżka i jęczał. Nie współczułam mu. Wyszłam z sypialni, ciągnąc za sobą walizkę. W moim gabinecie spakowałam laptopa i parę książek. W korytarzu wzięłam jeszcze kilka par butów. Gotowe. Moja noga nieprędko tu postanie.

— Nie odchodź, proszę... - płaczliwy głos Adama, dotarł do mnie z sypialni.

— Nie, nie tym razem. — Zacisnęłam zęby, by nie okazać słabości. Stałam w drzwiach sypialni, kurczowo trzymając w dłoni walizkę.

— Nie miałeś dla mnie litości, teraz ja nie mam jej dla ciebie. Czy tak wiele oczekiwałam w zamian, gdy radość z odnalezienia Jakuba rozsadzała mi duszę? Komu miałam wykrzyczeć moje szczęście, jak nie temu, u którego boku spędziłam ponad dwadzieścia lat życia! Nic nie zdoła wymazać z pamięci słów, które padły. Słów, które wbiły się w moją duszę ostrym cierniem. Coś we mnie pękło. Wypaliło się. Przepadło!

— Julio, nie odchodź — błagał. — Umrę bez ciebie... Spojrzałam bez cienia współczucia na śmierzdzącą alkoholem postać męża.

— Po pierwsze sam jesteś sobie winien, a po drugie nie odchodzę na zawsze — mój głos brzmiał teraz lodowato. — Poza tym, jesteś pijany! Porozmawiamy, gdy wytrzeźwiejesz.

- Julio!

— Nie, mój Romeo... — Chwyciłam kluczyki i nie oglądając się za siebie, ruszyłam w kierunku drzwi. Kółeczka walizki zadudniły smętnie po podłodze.

— Julio, nie odchodź! — wołał Adam. Nie słuchałam go.

Wyszłam z domu. Minęłam bramę i zapakowałam walizkę do bagażnika. Przekręciłam kluczyk w stacyjce i z piskiem opon włączyłam się do ruchu. Za skrzyżowaniem skręciłam na świeżo wyremontowaną obwodnicę i dodałam gazu. Mojej uwadze, jak zawsze, umknął fakt, że drogę do Wrzosowisk, pokonuję z niedozwoloną prędkością.

## **Jakub**

— Po śmierci taty i spaleniu Wrzosowisk zamieszkałam z mamą w Józefowie — powiedział dziadek, gdy zrównaliśmy krok w powrotnej drodze do Wrzosowisk. Myślałam, że nie zechce snuć dalej wojennych opowieści, lecz najwidoczniej się myliłam. — Krewni mamy ofiarowali nam kąk w swoim domu. Były tam same kobiety i dzieci. Mężczyźni walczyli z okupantem. Tam po raz kolejny zrozumiałem, jak straszna jest wojna. Tej samej nocy, gdy Niemcy wykonali publiczną egzekucję na rodzinie „Wichury”, wywieziono nas do obozu przejściowego w Zwierzyńcu. Mamę i ciocię wraz z innymi kobietami umieszczono w osobnym baraku. Ja z kuzynami i pozostałymi dziećmi trafiłem do innego. Warunki były straszne... Spaliśmy na gołej ziemi. Dokuczały nam wszy, pchły i pluskwy. Prawie nic nie jedliśmy. Woda była na wagę złota...

Przystanął na chwilę, wyciągnął butelkę i ponownie się napił. Poszedłem za jego przykładem.

— Jak długo tam byłeś? — zapytałem, gdy zaspokoiliśmy pragnienie.

— Do lipca 1943 roku. Pamiętam ten dzień, jakby wydarzył się wczoraj. Niemcy spędzili wszystkich na plac obozowy. Zobaczyłem wtedy mamę. Po raz pierwszy od wielu tygodni mogłem ją uściskać. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje i dlaczego kazano wszystkim wyjść na plac. Stałem pośród brudnej, wygłodniałej i przerażonej gromady ludzi, wtulony w matkę, która nagle zacisnęła palce na moim ramieniu, aż zabołało. Spojrzałem na nią. Patrzyła w kierunku obozowej bramy, oplecionej, jak wszystko wokół, kolczastym drutem.

Matka wpatrywała się w wysokiego, szczupłego mężczyznę o jasnych włosach. Nie znałem go, lecz czułem, że jest kimś ważnym. Obok mężczyzny stała piękna kobieta i to ona przykuła mój wzrok. Byłem małym chłopcem i o kobiecej urodzie wiedziałem niewiele, jednak ona przypominała anioła. Wszystkie moje anielskie rzeźby mają odtąd jej twarz.

— Kim byli?

— O tym dowiedziałem się później, gdy już opuściłem obóz... To była Róża i Jan Zamoyscy.

— Ordynat Jan Zamoyski?

— Tak. Dla ścisłości, ostatni ordynat i jego żona Róża, którą ludzie nazywali Aniołem Dobroci.

Była drugą kobietą o imieniu Róża, o której usłyszałem w ostatnich dniach.

— Przyjechali, by zabrać z obozu najmłodsze dzieci -opowiadał dalej dziadek. - Hrabia Zamoyski zdołał przekonać Globocnika, by pozwolił dzieciom do lat dziewięciu opuścić obóz. Ja i moi kuzyni szczęśliwie mieściliśmy się w tej grupie wiekowej. Hrabia stanął przed tłumem wystra-

szonych kobiet i łagodnym głosem oznajmił, że jest tu po to, by zaopiekować się dziećmi. Żadna z matek nie ruszyła się z miejsca.

— Bały się?

— Tak. Grobową ciszę przerywał śmiech esesmanów. Zamoyski rozpaczliwie poszukiwał wśród tłumu więźniów wsparcia. I znalazł je w osobie mojej matki. Jako pierwsza stanowczo wypchnęła mnie do przodu.

— Znam ich — mówiła do stojących przy niej kobiet. — Oddajcie dzieci. Będą bezpieczne.

Coraz więcej matek szło za jej przykładem. Kolejka chętnych do oddania dzieci gęstniała i wydłużała się z minuty na minutę. Esesmani patrzyli na to z ponurymi minami, lecz nie przeszkadzali.

Akcja zabierania dzieci z obozu trwała wiele godzin. Trafiłem do łaźni w pierwszej grupie. Pielęgniarki przebierały nas w nowe ubrania. Obozowe natychmiast palono. Potem ciasno przytuleni jedni do drugich siadaliśmy na furmanki, które zabierały nas z daleka od obozu. Płakałem jak inne dzieci, bo za drutami została moja mama. Tak trafiliśmy do ochronki w Zwierzyńcu. Budynek stał w pobliżu stawów i kościoła na wodzie pod wezwaniem świętego Jana Nepomucena. To właśnie ten kościółek zobaczyłem po raz pierwszy. Odtąd dziękuję świętemu Janowi za opiekę. Stał się moim patronem i powiernikiem. Wierzę, że potrafi ochronić przed złem. Dlatego wystrugałem małą figurkę dla Natalii...

Wspomnienie dziewczyny, którą kochałem, ścisnęło mi serce. Nie chciałem pamiętać o tym, co zrobiła...

— A twoja mama, dziadku? Co się z nią stało? Dziadek sposepniał.



— Może kiedyś ci opowiem, Jakubie, lecz nie teraz — uciął. — Powiem ci tylko jedno, chłopcze, chociaż może nie powinienem, ale nie bierz tego do siebie... Wiem, że to wielki grzech i że nie wszyscy są winni, ale nie umiem się tego wyzbyć... Nienawidzę Niemców za to, co nam zrobili! Nienawidzę ich z całego serca!

Zacisnął pięści i nie patrząc na mnie, pomaszerował dalej leśną drogą. Z trudem za nim nadążałem. Modliłem się w duchu za siebie i za niego, a także za mamę i księdza Tobiasza, by dobry Bóg nauczył nas prawdziwie przebaczać.

Tobiasz

Aromat włoskiej kawy unosił się w nagrzanym słońcem powietrzu. Z tarasu nowej plebani rozpościerał się widok na kamieniołomy. Proboszcz dołał nam kawy, odstawił kafetierę i wyciągnął z kieszeni spodni paczkę papierosów.

— Pozwoli ksiądz? Skinąłem głową.

— Może ksiądz poczęstować? — Wyciągnął paczkę w moim kierunku.

— Dziękuję, nie palę — upiłem łyk kawy. Była świetna.

— Mam nadzieję, że ksiądz mi wybaczy... Kawa i papierosy, to moja wielka słabość - westchnął.

— Nie przeszkadza mi to - zapewniłem. — I po części księdza rozumiem. Kawa to także moje uzależnienie. Ta jest wyborna — pochwaliłem i upiłem kolejny łyk.

— Możemy przejść na „ty”? — zapytał. — Będzie nam się lepiej rozmawiało.

— Tobiasz.

— Andrzej.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Jestem pół krwi Włochem, po ojcu — zapalił i z przyjemnością zaciągnął się dymem.

— Domyśliłem się. *Albero* to po włosku drzewo. Piękny język.

— Prawda! Najchętniej mieszkałbym we Włoszech, rozmawiał po włosku, pił włoską kawę... — rozmarzył się.

— Nic nie stoi chyba na przeszkodzie — zauważyłem.

— Niby tak, ale tutaj nawet kawa smakuje inaczej. Ludzie wokół prości, nieliczni a na dodatek, przerażająco smutni, zapatrzeni w przeszłość... — Otrząsnął się.

— To dlaczego wciąż tu jesteś?

— Ze względu na mamę — przyznał. - Ojciec porzucił nas i od tego czasu nie znosiła wszystkiego, co wiązało się ze wspomnieniami. Zawsze bardzo chciała, żebym został księdzem i otrzymał parafię blisko domu i blisko niej. Jej życzenie się spełniło.

— Mama mieszka we Wrzosowiskach?

— Nie, uchowaj Boże! - Zaśmiał się. - W Biłgoraju, ale teraz zawiozłem ją do Rzymu. Poważnie zachorowała i potrzebna była natychmiastowa operacja. Ojciec załatwił klinikę w Rzymie i najlepszych fachowców, lecz mama nie chciała o tym słyszeć, nie pozwalała sobie pomóc. — Zaciągnął się papierosem. — Jej stan bardzo się ostatnio pogorszył i podjąłem decyzję za nią. Zostawiłem parafię z dnia na dzień i zawiozłem ją do Rzymu.

— Jak się teraz czuje?

— Jest już po operacji i dochodzi do siebie. Nie gniewała się na mnie tak bardzo, jak myślałem... — Uśmiechnął się.

— To była słuszna decyzja.

— Musiałem szybko zdecydować i zrobiłem to dla mamy, dlatego zmuszony byłem zostawić parafię schorowanemu księdzu seniorowi. To wspaniały człowiek, ale ma przecież swoje lata. Nie czułem się z tym dobrze i kiedy dowiedziałem się, że zechciałeś mnie zastąpić, kamień spadł mi z serca. Jak czuje się ksiądz Bartosz? Miałem ogromne wyrzuty sumienia, że naraziłem go na taki wysiłek.

— Przeszedł poważne zapalenie płuc, ale lekarze są dobrej myśli.

— To wspaniale! A twoje zastępstwo Tobiaszu, powiem to raz jeszcze, było prawdziwym bohaterstwem. — Nie dopuszczał mnie do głosu. — Słyszałem, że przyjechałeś na wakacje i zdecydowałeś się pomóc. Raz jeszcze serdecznie dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem i zawsze będziesz mile widzianym gościem w parafii.

— Szczerze mówiąc, to zastępstwo było mi bardzo na rękę. Mam we Wrzosowiskach... rodzinę i w każdej chwili mogę do nich zajrzeć. — Nie chciałem wdawać się w szczegóły.

— Tak? A kogo, jeśli to nie tajemnica?

— Teścia mojego brata, Józefa Zaborniaka, i Sokołów. Emilię i świętej pamięci Mariannę.

— Umarła?

— Odprowadziłem ją na wieczny spoczynek dwa dni temu. Andrzej nie był specjalnie zdziwiony.

— To urlop podwójnie nieudany. Ludzie we Wrzosowiskach mrą na potęgę. - Oparł się o krzesło i wypuścił dym

w powietrze. — Wciąż tylko pogrzeby, wypominki, msze na cmentarzu. Jestem tu od paru lat i udzieliłem zaledwie pięciu ślubów. Dzieci rodzi się mało, a jak już się rodzą, to młodzi rodzice zaraz wyjeżdżają za pracą do miasta, daleko stąd. Od dwóch lat nie było w naszej parafii komunii świętej. Same pogrzeby... Chociaż był jeden taki dziwny przypadek... — spojrzał na mnie.

— Chętnie posłucham.

— Przyszedł do mnie pewnego dnia... mały człowiek. Karzeł, dla ścisłości. Gdyby nie jego poorana zmarszczkami twarz, pomyślałbym, że to nastoletni chłopiec. Był Niemcem, dokładnie Bawarczykiem, bo taki też miał na sobie strój, jakby żywcem wyjęty z jakiejś ulicznej parady. Miał na sobie skórzany pas z trupa czaszką, przy nim pochwę z nożem, na palcu srebrny sygnet z emblematem śmierci, a na głowie zielony kapelusz z piórkiem. Wyglądał po prostu cudacznie. Nie zwykłem oceniać ludzi po wyglądzie, ale... Jakby to niektórzy powiedzieli, wyglądał jakby urwał się z choinki. W ręce brakowało mu tylko kufła z piwem. Spacerował po okolicy, podpierając się sękatym kijem. Z tego, co zrozumiałem, był tu w czasie okupacji, wiadomo w jakim celu... — Mrugnął do mnie i zaciągnął się papierosem. — Twierdził, że polscy bandyci, tak dokładnie się wyraził, zabili mu w lesie brata bliźniaka. On zdołał uciec. Gdy nie spotkał się z mojej strony ze zrozumieniem czy współczuciem, wyciągnął mapę, mocno podniszczoną i oznaczoną jakimiś znaczkami, bym wskazał mu miejsca jakichś baz partyzanckich, a najlepiej, abym go tam zaprowadził. Powiedziałem, że nie znam Puszczy i nic nie mogę dla niego zrobić, ale on jakby tego nie rozumiał. Stał przy

tej mapie i patrzył na mnie tak, jakbym to ja zabił mu brata. Przyznaję, że ogarnął mnie lęk. W jego wzroku, całej postawie był coś... niepokojącego.

— Co zrobiłeś?

— Pokazałem mu starą plebanię i poradziłem, żeby zapytał księdza seniora. Znał lepiej okolicę i ludzi, a z pewnością pamiętał wojnę. Wiem, że to, co zrobiłem, nie było eleganckie, ale chciałem, żeby ten człowiek w końcu sobie poszedł.

W pokoju zadzwonił telefon.

— Przepraszam na moment. Może to coś ważnego...

Andrzej zniknął za drzwiami. Odebrał i po chwili przeszedł na włoski. Rozmówca po drugiej stronie pewnie telefonował z Rzymu.

Dopiłem kawę i podniosłem się z krzesła.

Marianna odezwała się nad ranem, a jej głos nie był złudzeniem. Musiałem iść do Wrzosowisk. Wszedłem do pokoju i wskazałem na zegarek. Andrzej zrozumiał mój migowy język. Nie zatrzymywał mnie.

## **Julia**

— Byle dalej od Zamościa! Byle szybciej do Wrzosowisk! — Otarłam dłonią wilgotne policzki i zacisnęłam palce na kierownicy. Martwiłam się o Natalię. Dokąd poszła? Dlaczego nie było jej w domu? Tej nocy z rozkapryszonej nastolatki stała się kobietą. I byłam pewna, że jest teraz pełna obaw, niepokojów, a może nawet żałuje tego, co zrobiła. I nie ma nikogo, komu mogłaby o tym powiedzieć.

W tak ważnej chwili nie było mnie przy niej. Zawiodłam ją. Musiałam przyznać, że Jakub przesłonił mi ją całkowicie. To, co się stało, było także moją winą. Miałam nadzieję, że nie straciła całkowicie głowy, że się zabezpieczyli. Bo jeśli nie... Dosyć!

Głośno policzyłam do dziesięciu.

„Zmiana organizacji ruchu” — mignęło w oddali, lecz zanim pojęłam sens ostrzeżenia, z bocznej drogi jak widmo wyrósł pędzący prosto na mnie samochód. Odbiłam kierownicą w bok i z rozpędem wjechałam w przydrożne zarośla. Na szczęście na tym odcinku nie było drzew. Po chwili lekko oszołomiona wydostałam się z auta.

— Nic się pani nie stało?! — W moim kierunku biegła elegancka, rudowłosa kobieta, potykając się co chwila o wystające z ziemi, ostre łodygi. — Wymusiła pani pierwszeństwo! Trzeba patrzeć na znaki! Czy pani sobie zdaje sprawę — krzyczała zziębnięta — ile strachu mi pani napędziła?!

— Bardzo przepraszam. Nie zauważyłam...

Było mi potwornie wstyd. Jeździłam zawsze szybko, ale ostrożnie. A tu nagle taka wpadka. Dobrze, że tylko na nerwach się skończyło. Stałyśmy naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Nieznajoma od kilku chwil przyglądała mi się uważnie. Jej twarz łagodniała z sekundy na sekundę. Mnie także coś tknęło. Ten głos, ruchy... Nieznajoma odgarnęła z oczu uporczywy kosmyk rudych włosów.

— To ty, Julka? — Nie czekając na odpowiedź, otworzyła ramiona w geście powitania. — Nie poznajesz mnie?

— Aga? — Dotarło do mnie po chwili. — Co za spotkanie! Ostatni raz widziałyśmy się chyba... jakieś dwadzieścia lat temu?

Obie zapomnialiśmy na chwilę o tym, że tkwimy na ściernisku. Byłam w lepszej sytuacji, bo włożyłam spodnie, ale Agnieszka miała na sobie elegancką garsonkę, pończochy i szpilki. Nie zwracała na tę niedogodność uwagi.

— Chodziłaś z takim przystojniakiem! — Nie dawała mi dojść do słowa. — Jak on miał na imię... Wiem! Adam? Jesteście nadal razem?

Przed oczami pojawił się mój mąż wymiotujący do miski przy łóżku. Ścisnęło mnie w gardle i zdobyłam się jedynie na skinienie głową.

— To wspaniale, byliście w sobie tacy zakochani... — ucieszyła się Agnieszka.

Twarz mojej przyjaciółki promieniała. Bardzo ją lubiłam. Chodziła w liceum do równoległej klasy. Razem z Agą i Natalią byłyśmy nierozłączne. Po maturze nasze drogi się rozeszły.

— A Natalia? Co u niej słyszeć? — zapytała nagle, jakby odgadując o czym myślę.

— Nie żyje - odpowiedziałam po chwili.

Twarz Agnieszki skamieniała. Jej piękne, zielone oczy zaszkliły się.

— Natka... umarła? Jak? Kiedy? Dlaczego?!

— To bardzo długa historia i może kiedyś ci wszystko opowiem, ale nie tutaj...

Agnieszka spojrzała pod nogi i zawstydzona wróciła do rzeczywistości.

— Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że spotkamy się w takich okolicznościach — powiedziałam.

— To prawda. Zajechałam niemal pod sam Zamość, nie wiem po co. Przecież tak daleko nie mógł zajść...

— Szukasz kogoś?

Skinęła głowę. Domyśliłam się, że jest to wciąż ten sam krewny, przez którego ona i jej rodzina mieli nieustannie kłopoty.

— Wujek jest od wielu lat w ośrodku w Rudzie — powiedziała, doskonale wiedząc, że wiem o kogo chodzi. — Wiesz, w jakim? — Skinęłam głowę. W okolicy były dwa ośrodki: w Rudzie Różanieckiej i w Radeczniczy. Zabrać kogoś do Rudy czy Radeczniczy oznaczało jedno: dom wariatów.

— Objechałam już prawie wszystkie okoliczne drogi w promieniu wielu kilometrów i nic!

— Pomogę ci szukać! Wyjadę tylko z tego ścierniska. Dlaczego wciąż na nim tkwimy?

— Jak człowiek nagle spotka po latach kogoś bliskiego, chciałby za jednym zamachem opowiedzieć wszystko, co mu się przytrafiło.

— To prawda...

— Dziękuję, ci. Kochana jesteś, że tak z marszu chcesz mi pomóc, ale na dzisiaj koniec. Wracam prosto do domu. Zbliża się wieczór i dzisiaj już raczej nic nie wskóram. Ale będę wdzięczna za informację, jeśli przypadkiem zobaczysz gdzieś w okolicy zbłąkanego staruszka. Poza tym, musimy koniecznie spotkać się i porozmawiać. Mam nadzieję, że wujek do tego czasu się znajdzie. Przez długi czas był spokój, ale mniej więcej od roku znowu ucieka. Czasem wraca sam, a jeśli nie, odnajduje się w tych okolicach. Trzy razy ukrywał się na Czartowym Polu. I wiesz, może to śmieszne, ale odkąd moja mama nie żyje, czuję się za wujka odpowiedzialna.



— Bardzo mi przykro z powodu twojej mamy — uścisnęłam jej rękę. Miałam okazję i przyjemność ją poznać. Paulina Hadziewicz była wspaniałą kobietą i były takie chwile, gdy wolałam ją od własnej mamy. Miała w sobie coś arystokratycznego, co widać było w jej postawie, wyglądzie i podczas rozmowy. Jakby tego było mało, była piękną, postawną kobietą. Wysoką, rudowłosą jak Agnieszka.

— Takie jest życie... — Westchnęła. — To bardzo świeża rana. Mama odeszła bardzo niedawno... Jeszcze nie umiem o tym rozmawiać. Przepraszam... A jak się miewa pani Emilia? — zapytała, a mnie, jak przed laty, zrobiło się wstyd za mamę i Józefa, którzy nie znosili Agnieszki i bardzo jednomyślnie zabraniali mnie i Natalii spotykać się z nią i przyjaźnić. Nie domyślali się nawet, że nasza przyjaźń rozwijała się jeszcze długo potem, w głębokiej konspiracji. Że urwała się dopiero po wydarzeniach sierpniowej nocy.

— Dobrze, dziękuję. — Nie rozwijałam tematu.

Aga uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Ona też pamiętała. Pomyślałam, że zaproszę ją do Wrzosowisk, ale zawahałam się. Aga raczej nie przyjęłaby zaproszenia.

— Powinnaś stąd wyjechać. — Spojrzała na mój samochód tkwiący w podgniętym stogu siana. — Na szczęście, nic złego się nie stało. Dasz radę?

— Tak, wycofam bez problemu. Zaczekaj na mnie na drodze.

Podreptała na palcach w kierunku stojącego na poboczu samochodu. Wsiadłam do swojego i wycofałam. Po chwili zaparkowałam naprzeciwko niej. Moja odnaleziona po latach przyjaciółka dała mi znak ręką, że zaraz przyjdzie. Rozmawiała przez telefon.

Kiedy widziałam ją ostatni raz, pełne nadziei i energii wkraczałyśmy w dorosłe życie. Wtedy Adam mi się oświadczył i złożył niefortunna propozycję wspólnej nocy. Parę dni potem byłam już w Monachium, skąd przeznaczenie, klątwa, a może zwykły przypadek poprowadził mnie prosto na Czartowe Pole...

Agnieszka schowała telefon do torebki. Gdy podeszła bliżej, dostrzegłam ulgę na jej twarzy.

— Wujek się znalazł — oświadczyła. — Muszę jechać i się nim zająć, ale obiecuję, że znajdziesz czas, żeby się spotkać i porozmawiać. Zapraszam cię do siebie.

— Nadal mieszkasz w Zamchu?

— Ostatnio rzadko tam zaglądam. Dom po śmierci mamy był dla mnie zbyt pusty. Wszystko mi ją przypomina, a zwłaszcza obrazy. Przed śmiercią zatraciła się w pracy. Muszę uporządkować dom, ale wciąż to odkładam.. .

— Rozumiem. To musi być dla ciebie bardzo trudne.

— Tak, ale staram się pozbierać. Byłoby wspaniale, gdybyś przyjechała.

Wyciągnęła z torebki wizytówkę, którą mi podała. Spojrzałam na nią odruchowo i zamarłam.

— Agnieszka Hadziewicz-Zerfass?

Na mojej twarzy malowało się zdumienie. Agnieszka uśmiechnęła się trochę jakby ze smutkiem, a może odrobinę triumfalnie.

— Nie widziałyśmy się zbyt długo — powtórzyła -i z pewnością jesteś ciekawa, jak poznałam swojego męża - bardziej stwierdziła niż zapytała. Miała zupełną rację.

— A zatem czekam. Na dole jest numer telefonu.

— Zadzwoń — obiecałam, chowając wizytówkę do kieszeni. Pytania cisnęły się na usta, ale to nie był dobry czas i miejsce.

Objęłyśmy się mocno.

— Do zobaczenia.

— Jedź ostrożnie.

— I ty również.

Odwróciła się i podreptała do samochodu. Szczupła, zgrabna, elegancka. Lśniące, rude włosy sięgały ramion. Niewiele się zmieniła od czasu, gdy widziałyśmy się po raz ostatni. Agnieszka Hadziewicz-Zerfass! To dopiero niespodzianka. Mam nowinę dla Jakuba. Zawsze to jakiś nowy trop.

## **Jakub**

Stary bór intensywnie pachniał żywicą. Dotarliśmy nad skarpe. Szliśmy wzdłuż jej krawędzi. Spojrzałem na krzywą sosnę pochyloną nad urwiskiem. Do złudzenia przypominała tę z mojego snu...

Pachniało żywicą i nagrzaną leśną ściółką. Ogromne, czerwone mrówki taszczyły na barkach przeróżne zdobycze. Na chwilę przykuły moją uwagę. Schowałem butelkę i przyglądałem się ich wędrówce, a one niespodziewanie zaatakowały. Jakaś dorodna sztuka z impetem wstrzyknęła mi w łydkę jad. Wrzasnąłem na całe gardło. Dziadek Józef nie od razu pojął, co się dzieje. Potem już tylko się śmiał.

Tymczasem mrówkom nie było dość. Zagubione w tunelu nogawki, cięły na oślep, raz, drugi i trzeci... Usiłowałem wytrząsnąć ją ze spodni i zatańczyłem na środku drogi

prawdziwie indiański taniec. Skoczyłem między drzewa wyścielone mchem i wpadłem w drugą pułapkę. Lepka pajęczyna oblepiła mi twarz. W oczy zajrzał mi równie przerażony pająk. Dziadek śmiał się na cały głos i... ktoś nagle mu zawtórował.

— Dzień dobry, panie Zaborniak, co za spotkanie -przywitał się Krzysztof Zarębski.

— A, dzień dobry, panie komisarzu - uścisnęli sobie prawice.

— Atak czerwonych mrówek? — Krzysztof drwiąco spojrział w moją stronę.

— I pajaka! - Śmiał się dziadek.

— Już po wszystkim... — Przeczesalem dłonią oblepione pajęczyną włosy.

Krzysztof podał mi dłoń. Był w cywilnym ubraniu, lecz za pasem dostrzegłem kaburę pistoletu. Wściekłe pieczenie w łydce zastąpił inny ból. Natalia i to, co stało się między nimi... Krzysztof unikał mojego wzroku. Czy Natalia zdradziła mu naszą tajemnicę?

— Pan komisarz na spacerze w naszych lasach? Już po służbie czy jeszcze przed? - zagadnął dziadek.

— Wziąłem krótki urlop. Czasami trzeba przemyśleć parę ważnych, osobistych spraw...

— Emilka mówiła, że złapał pan tych bandytów, co chcieli skrzywdzić moją wnuczkę... — Dziadek nie krył podziwu.

— Bardzo pomogła Natalia. Gdyby nie jej rysunki...

— Niech pan nie będzie taki skromny — zaperzył się dziadek. — Owszem, Natalia jest zdolna, ale obaj wiemy, że to nie jej zasługa. Gdyby nie Jakub i pan, stała by się

jej wielka krzywda. Mamy u pana wszyscy, cała rodzina, ogromny dług wdzięczności!

— Mieliliśmy szczęście...

Krzysztof próbował zakończyć temat, lecz dziadek nie ustępował.

— Praca pracą, ale jest pan porządnym człowiekiem i dobrym stróżem prawa. Mam nadzieję, że Natalia panu podziękowała, bo z nią to nigdy nic nie wiadomo.

— Może być pan spokojny, panie Zaborniak. — Spojrzał mi w oczy.

— Pana wnuczka bardzo pięknie mi podziękowała...

Nie wiem, kiedy moja dłoń zacisnęła się w pięść. Krzysztof nie dał się zaskoczyć. Odchylił głowę i trafiłem w próżnię. Jednym ruchem podciął mi nogi. Upadłem i uderzyłem głową w jakiś twarde konar. Ziemia rozstąpiła się. Zsuwałem się ze skarpy niczym piaskowy walec. W dole groźnie szumiała rzeka. Na oślep przeciąłem ramionami powietrze. Trafiłem na gałąź. Zawisłem w powietrzu, kurczowo zaciskając ją w palcach. Miękkie liście wysuwały się z rąk.

— Trzymaj się!

Poczułem silny uścisk i jakaś siła pociągnęła mnie w górę.

Po chwili leżałem na ścieżce i czułem w ustach metaliczny smak krwi. Ból rozlewał się na całe ciało. Szumiało mi w głowie. Mrówki maszerowały po mnie, pozostawiając na skórze piekące rany. Otworzyłem oczy. Świat wirował, a wraz z nim pochylone nade mną twarze dziadka i Krzysztofa. Dziadek potrząsał mnie za ramiona.

— Co to było? Dlaczego? Co was napadło?! - krzyczał.

„Już on dobrze wie...” — pomyślałem. Po wielu niezdarnych próbach najpierw usiadłem, a po chwili wspierając o drzewo, powoli wstałem. Nogi miałem jak z waty.

— Czy ktoś mi w końcu TO wyjaśni?! — dziadek trząsał się ze złości. Twarz mu poczerwieniała.

Policjant milczał. Coś za moimi plecami przykuło jego wzrok. Minał mnie, jakbym był przeźroczysty i wszedł między drzewa. Przyklęknął w zrudziałym od słońca jagodzisku, uważnie się czemuś przyglądając.

— Możecie tutaj podejść?

Dziadek popatrzył na mnie, potem na Krzysztofa. Podeszliśmy.

— Co o tym myślicie?

Spojrzeliliśmy w jagodzisko i po dobrej chwili dotarło do nas, na co patrzemy. Wśród mchu leżała częściowo objedzona z mięsa ludzka ręka. Coś, co kiedyś było palcami, kurczowo trzymało się zielonego mchu. Korony drzew poruszył podmuch letniego wiatru, wypychając nam w nozdrza słodki, trupi odór. Dziadek złapał się za serce, gwałtownie odwrócił i wymiotował. Powstrzymałem się siłą woli. Stałem oszołomiony rozwojem wypadków.

— A zatem mamy jasność — mruknął Krzysztof, wstając z klęczek. Sięgnął do kieszeni po komórkę.

— Idźcie już — mruknął do mnie, wystukując numer. Nie potrafiłem ruszyć się z miejsca. Dziadek oddychał ciężko wsparty o drzewo.

— Weź chłopaków i przyjeżdżaj nad Czarną Rzeczkę... — Komisarz był w swoim żywiole. Wydawał polecenia komuś po drugiej stronie telefonu. — Zostawcie auto na tracie przy wyrobisku. A potem jakiś kilometr w las

równoległe do szlaku. Czekam przy rozwidleniu dróg na wschód od uroczyska. Tak. Niedaleko krzyża w miejscu śmierci Romanowskiego. Czekam przy wzniesieniu, gdzie nad skarpą wisi krzywa sosna — tłumaczył.

Podszedłem do dziadka. Byłem cały brudny, oblepiony piaskiem i leśną ściółką. Dziadek też nie wyglądał najlepiej, ale starła się trzymać. Otarł usta wierzchem dłoni. Był blady jak ściana, jednak znalazł siłę, by iść. Noga za nogą, nie oglądając się za siebie, wróciliśmy na szlak. Z oddali dobiegał stanowczy głos Krzysztofa.

— Kawalek ręki... Mam przeczucie, że znajdziemy resztę.

## **Julia**

Zaparkowałam w cieniu przed domem, by nie płoszyć zwierząt. Mama nie znosiła warkotu samochodów i w ogóle hałasu. Od lat żyła spokojnym rytmem na wzgórzu, mając za sąsiada jedynie Józefa Zaborniaka.

— Mamo! Mamo! Gdzie ona się podziała? Przeszłam na sąsiednie podwórko w chwili, gdy mama

wsparta o kule, zamykała za sobą drzwi.

— Ogarnęłam trochę kuchnię u Józia — tłumaczyła się.

— Mamo, jesteś niemożliwa - pokręciłam głową. -Z chorą nogą... Naprawdę przesadzasz...

— Daj spokój — machnęła ręką. — Mów lepiej, co tam słyhać w Zamościu. Widziałaś się z Natalką?

— Tylko z Adamem. Natalia zniknęła. —Jak to zniknęła?!

— Nie umiem tego wytłumaczyć. Garaż też jest pusty.

- Przecież Natałka nie ma prawa jazdy...
- To żadna przeszkoda, gdy ma się pstro w głowie! — rozzłościłam się.
- A Adam? Pozwolił na to.
- Upił się do nieprzytomności. Nic dziwnego, że do łóżka Natalii zawitał w nocy pierwszy kochanek. To wszystko przez Adama!
- No nie wiem...
- Zrzucił mi, że nie dbam o Natalię, a sam pozwolił, by córeczka puściła się tuż pod jego zapijaczonym nosem! Już bym wołała, żeby ten samochód mu ukradli. Zresztą, jeśli Natalia rzeczywiście wpadła na pomysł, by odświeżyć swoje umiejętności prowadzenia samochodu, a wiemy wszyscy, że nie potrafi cofać i nie rozróżniała hamulca od sprzęgła, na pierwszym skrzyżowaniu złapie ją policja i odstawi bezpiecznie do domu.
- Dzwoniłaś do niej?
- Owszem, kilka razy. Ciągle włącza się sekretarka.
- Co teraz?
- Nie mam pojęcia... - Bezradnie rozłożyłam ręce.
- Trzeba dzwonić do skutku...

## **Jakub**

Dziadek z trudem pokonywał ostatni odcinek drogi, oddychał głośno i masował otwartą dłońią okolice serca. Na zakręcie przystanął. Do domu było już niedaleko.

- Nie wiem, co was napadło, Jakubie, i na razie wiedzieć nie chcę...



Milczałem, bo nie miałem niczego na swoją obronę.

— Na razie nic im nie powiemy, po co mają się denerwować? Ale jak to ukryć... Wyglądasz jak nieboskie stworzenie, Jakubie.

— Może wejdę do domu od strony podwórka — zaproponowałem. — Zmienię ubranie, umyję się i wrócę.

— Może to jakiś pomysł, ale nasze dziewczyny nie są głupie, zaraz się domyślą, że coś nieprzyjemnego się wydarzyło i będzie jeszcze gorzej... — powątpiewał. — Tak czy owak, będziemy się gęsto tłumaczyć, ty Julii, a ja z pewnością oberwę od Emilki.

— Powiemy im, że przewróciłem się i spadłem ze skarpy. W końcu przyjechałem z miasta.

— Ale to kłamstwo, Jakubie, może dość niewinne, ale zawsze... Jak się będziesz z tym czuł, ty, przyszedł ksiądz?

Milczałem. Od chwili przyjazdu do Wrzosowisk przeszedłem jakąś dziwną zmianę. Uczucia, takie jak złość i gniew, które dotąd były mi obce, odkrywały przede mną głęboko skrywaną naturę. Staralem się o tym nie myśleć, lecz ta prawda wciąż do mnie wracała. Zostałem poczęty na wrzosowiskach, a gwałciciel — jak twierdziła moja matka — nie należał do tego świata.

— No dobrze, Jakubie...

Dziadek Józef chyba domyślił się, o czym myślę, bo jego głos złagodniał.

— Wejdiesz bocznym wejściem do domu Emilki i zrobisz, co powiedziałeś. Ja przejdę do mojego domu od strony lasu. Spotkamy się na podwórku.

Wcieliliśmy w życie nasz plan.

## Tobiasz

Andrzej zawstydził mnie, tak czule opowiadając o swojej matce. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz zamieniłem ze swoją mamą choćby parę słów. Z pewnością minęło bardzo wiele czasu. Nie było w tym tylko mojej winy, lecz nie mogłem w ten sposób się usprawiedliwić. Rodzice nie szukali ze mną kontaktu, nie martwili się mną i tym, co się ze mną dzieje, czy jestem zdrowy, czy chory, szczęśliwy, czy nie... Ja także nie martwiłem się o nich.

Opuścili mnie dawno temu i wiedli spokojne życie u boku swoich nowych partnerów. Ojciec w Niemczech, matka gdzieś w Stanach Zjednoczonych. Nie znałem ich nowych adresów, nie życzyli sobie, bym ich odwiedzał. Uznawali tylko Adama, natomiast ja byłem czarną owcą w rodzinie ze względu na drogę, którą wybrałem.

Nie wierzyli w Boga i nie słuchali Kościoła, a wobec mnie postępowali zawsze bardzo jednomyślnie. Kiedy przyjąłem święcenia kapłańskie, oświadczyli, że mają od dzisiaj tylko młodszego syna, ponieważ ich pierworodny zmarł na zawsze.

Przez wiele lat bardzo cierpiałem. Uznałem moją samotność za krzyż, który powinienem dźwigać i czyniłem to, lecz wiele razy upadałem. Odtrącony przez najbliższych mi ludzi, zmagalem się z tajemniczym darem, który otrzymałem, a nade wszystko z miłością do Julii. Przebywając w jej pobliżu, cierpiałem podwójnie, lecz właśnie dzięki niej zyskałem nową rodzinę, którą zastąpiła mi Marianna i Emilia. Miałem wobec nich dług, który chciałem spłacić, chociaż jeden Bóg wiedział, co tak naprawdę czułem.

Modliłem się, by tajemniczy wieczór, który właśnie nadchodził, był owocny w Boże miłosierdzie.

## **Emilia**

Józef wszedł do domu zamyślony. Wielogodzinna wędrówka w tak upalny dzień musiała go wyczerpać. Nie zauważył, jak stanęłam za jego plecami. Pochylony nad zlewem łapczywie pił zimną wodę prosto z kranu. Na mój widok drgnął zaskoczony.

— Emilka?

— Chodź ze mną i o nic nie pytaj. Zaprowadziłam go na poddasze.

— Emilko, ale o co chodzi? — Podtrzymał mnie, żebym nie upadła. — Co takiego jest w pokoju Natałki?

— Sam zobacz. — Położyłam palec na ustach i cicho otworzyłam drzwi.

Na łóżku leżała Natalia. Oddychała miarowo i spokojnie. Nie mogło być inaczej po ziołach, które jej podałam. Józef zaniemówił. Na jego twarzy malowało się ogromne zdumienie.

— Co to ma znaczyć, Emilko? — szepnął.

— Wszystko ci wyjaśnię, ale nie teraz. Mam do wykonania ważne zadanie, lecz nikt oprócz ciebie nie może o tym wiedzieć. To sprawa życia lub śmierci, Józefie. Przysięgnij, że nikomu nie powiesz o Natalii, absolutnie nikomu...

Józef położył dłoń na sercu.

— Nie puszczę pary z ust... To przecież moja jedyna wnuczka... Nie obudzi się?

— Dopiero, gdy jej pozwolę.

Zamknęłam drzwi do pokoju i wręczyłam mu komórkę Natalii. Józef zastygł w zdumieniu.

— Julia nie może się denerwować. Gotowa jeszcze pojechać do Zamościa, a wtedy wszystko się wyda. Musisz mi pomóc...

— Niby jak? Przecież ja się na tym kompletnie nie znam!

— Wystarczy jeśli przyniesiesz okulary, bo swoje zostawiłam w domu.

Józef pobiegł do pokoju.

Spojrzałam na telefon Natalki ze złością. Klawiatura była taka mała!

## **Julia**

Tobiasz i Jakub wyciągali wodę ze studni. Mój syn zawzięcie kręcił korbą. Słyszałam, jak łańcuch uderza o cembrowinę z tym charakterystycznym dźwiękiem, który wiele razy budził mnie o poranku, gdy byłam dzieckiem. Tobiasz już trzymał w dłoniach blaszany kubek, który od lat wisiał na gwoździu przy studni i czekał na zimną, źródlaną wodę.

Przystanęłam za krzewami bzu, by mnie nie dostrzegli. Chciałam tak zwyczajnie na nich popatrzeć. Na chłopca, którego powoli poznawałam, i mężczyznę, który zawsze był mi bardzo bliski. Nie mogłam uwierzyć, że przed laty popełniłam niewybaczalny błąd i zostałam żoną Adama... Jakby opadła mi jakaś zasłona z oczu, jakby anioł zstąpił z nieba i powiedział: „Julio, byłaś ślepa i głucha, lecz czas przywrócić ci wzrok! Oto ten, o którym śniłaś tej nocy.

Mężczyzna, który nigdy cię nie zawiódł, nigdy nie skrzywdził a co najważniejsze — od dwudziestu lat cierpi z miłości do ciebie. Byłaś jego zmorą i przekleństwem, lecz teraz czas z tym skończyć. Przejrzyj na oczy, Julio Sokół! Wrzosowiska to twój prawdziwy dom, a Tobiasz jest tym, którego prawdziwie kochasz".

Gdy ta wizja zawładnęła moją wyobraźnią, w torebce zabrzączał sygnał SMSa. Otrząsnęłam się z obezwładniających mnie myśli, wyjęłam komórkę i otworzyłam mrugającą kopertę: „Nie wydzwaniam do mnie! Żyję! Wszystko ok". SMS był od Natalii. Niemal zagotowało mi się w środku. Nacisnęłam „wyłącz" i wrzuciłam telefon do torebki.

Jakub i Tobiasz dostrzegli mnie z daleka, lecz tylko ksiądz szedł w moim kierunku. Odniosłam dziwne wrażenie, że Jakub się przede mną chowa. Kiedy napotkał moje spojrzenie, pochylił się nad studnią. Nie dałam się zwieść.

— Co się stało? — Podbiegłam do syna, by obejrzeć go od stóp do głowy. Właśnie opuścił dłonie i odsłonił twarz. Miałam rację. Na jego policzku rozlewał się ogromny siniak, a ręce i nogi miał podrapane do krwi.

— Znowu zemdlałeś!

— Nie, mamu, to nic takiego. Potworny ze mnie niezdara. Potknąłem się i zsunąłem parę metrów w dół, do rzeki, ale nic mi nie jest — uspokojał mnie, ale nie patrzył mi w oczy.

Nie trzeba było być wróżką, żeby wiedzieć, że kłamie.

— Z jakiej skarpy, do jakiej rzeki? O ile mi wiadomo, w pobliżu miejsca, gdzie leży kamień Miszki Tataru, nie ma żadnej rzeki!

Tobiasz stanął pomiędzy mną i Jakubem.

— Spokojnie, Julio, Kuba jest tylko podrapany i pokąsany przez mrówki - tłumaczył ciepłym, spokojnym głosem.

— Muszę wiedzieć, co się naprawdę stało — nie ustępowałam.

— Porozmawiacie później. — Tobiasz był równie nieustępliwy. — Marianna przemówiła...

Serce na moment podskoczyło mi do gardła.

— Co teraz?

Tobiasz nie odpowiedział. Chwycił mnie za rękę i poprowadził w stronę wystającej spośród zrudziałych od słońca krzewów ławki. Usiedliśmy. Kuba podszedł do nas i wręczył Tobiaszowi kubek wody, którą ksiądz wypił duszkiem. Dni wciąż były upalne.

Siedziałam oszołomiona. Wszystko zaczynało ponownie nabierać tempa, powracały pytania bez odpowiedzi, świat nadprzyrodzony upominał się o swoje miejsce w naszym życiu. Nic już nigdy nie będzie zwyczajne. Bałam się, że w końcu możemy tego nie wytrzymać i że najzwyczajniej w świecie postradamy zmysły. Duchy naszych przodków miały jeszcze szansę, ale czy ktoś upomni się o nas? Tego już nie byłam taka pewna.

— Mamy spotkać się przy stole, wziąć się za ręce i czekać — odezwał się po chwili Tobiasz, gdy zaspokoił pragnienie.

— To wydarzy się jutro, prawda? — zapytałam, z trudem skupiając się na tym, co przed nami.

— Tego nie powiedziała, ale też tak sędzę. Jutro wieczorem minie dokładnie dwadzieścia lat.

Na moment zapadła krępująca cisza. Wszyscy myśleliśmy o tym samym.

— Co zrobimy? Wiem o Natalii... To moja wina. Zajął się nowo odzyskanym dzieckiem, a ją straciłam... Być może na zawsze.

— Już za późno. — Chwycił mnie za rękę. Jego dłoń była ciepła i kojąca. Zadrżałam pod tym dotykiem, którego nie potraktowałam jak dotyk dłoni przyjaciela. Poczułam gorąco rozlewające się po każdym zakamarku mojego ciała. Poranny sen powrócił ze zdwojoną siłą.

— Stało się... Natalia dokonała wyboru. Jest już dorosła, a ja uprzedzałam ją, jakie to ważne. Teraz musimy wsłuchać się w głos Aniołów... Jakubie, biegnij po dziadka Józefa — zwrócił się do mojego syna, który do nas podszedł. - A ty, Julio, przyprowadź mamę. Usiądziemy przy stole i zaczekamy na Mariannę...

W jednej chwili przestałam się bać. Strach, który jeszcze przed chwilą zaciskał pętlę na mojej szyi, ustąpił pod dotykiem dłoni Tobiasza. Wszystko nagle stało się takie banalnie proste. Wiedziałam, że pójdę za nim choćby na koniec świata. I zrobię wszystko, czego zażąda, nawet gdybym miała oddać za niego życie.

## **Emilia**

— Siedzimy tak już długie godziny — szepnęłam — i nic...

— Duchy są wymagające — odszepnął Józef. — Może jest jeszcze za jasno.

— Słońce właśnie zachodzi.

— Czuję, że są blisko...

-1 ja to czuję, Jakubie. W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego...  
— *Amen* — odpowiedziała Marianna.

## **Tobiasz**

— Oto, co postanowiono. Pójdziemy w zwiewnych szatach, przybrani tylko w czerń i biel. Nasze stopy pozostaną bose, a głowy odkryte na znak pokuty. Natalię zastąpią seniorzy. Pójdziemy w milczeniu. W czasie drogi z naszych ust nie wydobędzie się najmniejszy szept ani słowo skargi. Potem uczynicie wszystko, co wam powiem, bez sprzeciwu.

I usłyszałem coś jeszcze. Spojrzałem na Emilię i miałem pewność, że ona też usłyszała Mariannę. Mieliśmy to zachować w tajemnicy przed innymi. Podniosłem się z miejsca. Chciałem odejść stąd jak najszybciej.

— Przyjdę po was jutro o zmierzchu.

Emilia trzymała mnie kurczowo pod ramię i cała drżała, gdy prowadziłem ją we wskazane mi przez Mariannę miejsce. Drzwi skrzypnęły żałośnie, gdy weszliśmy do pokoju, w którym całe życie mieszkała Marianna.

Tuż przy łóżku stał pięknie rzeźbiony klęcznik. Wiedziałem, że był dziełem rąk Józefa Zaborniaka, który, jako syn znanego w okolicy kamieniarza, po śmierci ukochanej córki rzeźbił już tylko w drewnie. Gdy odwiedzałem Mariannę i Emilię we Wrzosowiskach, babcia zawsze się na tym klęczniku modliła, wpatrzona w zawieszane na ścianie święte obrazki. Gdy delikatnie pukałem i otwierałem



drzwi, widziałem jej profil, złożone w modlitwie dłonie. Na mój widok uśmiechała się, odkładała różaniec i wstawiała z klęczek, by mnie uściskać. Nikt tak na mnie nie czekał jak ona. Teraz także wyraźnie czułem jej obecność.

Z zadumy wyrwał mnie zgrzyt klucza w zamku. To Emilia zamknęła drzwi, by nikt nie mógł wejść do pokoju. Podeszła do stojącej za drzwiami starej, bogato rzeźbionej skrzyni.

— Dźwignij wieko skrzyni, synku, bym przekazała ci to, po co przyszedłeś — szepnęła.

Zrobiłem o co prosiła. Wieko było ciężkie, na brzegach wzmocnione mosiężnymi okuciami. Uniosłem je w górę i oparłem o ścianę z niemałym trudem. Skrzynia była głęboka, wypełniona różnymi przedmiotami ułożonymi w jakimś tylko babci znanym porządku. Były tam modlitewniki, paczuszki z suszonymi ziołami, buteleczki z ciemnego szkła opisane charakterystycznym, pochyłym pismem Marianny, chusty, książki, albumy i inne osobiste rzeczy. Przesunąłem się, by Emilia mogła swobodnie sięgnąć do środka. Jej dłonie wciąż drżały, a z twarzy odpłynęła krew.

Nie domyślałem się, co takiego miała mi przekazać. Według słów Marianny przedmiotem tym skutecznie przerwę klątwę, lecz jak mam tego dokonać, usłyszę jutro przed zachodem słońca.

Emilia tymczasem sięgnęła do skrzyni i wyciągnęła z samego jej dna podłużne zawiniątko. Owinięty starannie białym płótnem przedmiot uniosła ostrożnie na otwartej dłoni w moim kierunku. Sięgała mi do piersi i wydawała się teraz małą, wystraszoną staruszką.

Wziąłem zawiniątko i zamierzałem zaspokoić ciekawość, jednak coś w tym samym momencie mnie przed tym powstrzymało. Schowałem przedmiot do kieszeni sutanny.

— Nie zajrzysz do środka? — zapytała Emilia, a głos jej drżał.

— Zrobię to później.

Emilia z wyraźną ulgą zamknęła oczy. Z nieznanych mi powodów ów tajemniczy przedmiot miał dla niej jakąś ogromnie emocjonalną wartość. Może był jakąś pamiątką rodzinną, rodzajem relikwii, czymś cennym dla jej pamięci?

— Niedługo go zwrócę i ponownie znajdzie się w tej skrzyni — obiecałem.

— Czy już wiesz, do czego będzie ci potrzebny, Tobiaszu? — badała ostrożnie.

— Dowiem się jutro o zachodzie słońca. Dzisiaj usłyszałem tylko, jak powinniśmy się do naszej modlitwy przygotować.

Emilia skinęła głową, lecz nadal była blada i drżały jej oparte na kuli dłonie.

— Wszystko będzie dobrze — przytuliłem Emilię, a ona z ufnością wsparła głowę na mojej piersi.

— Wiem, synku. Nie może być inaczej. Spojrzała mi w twarz.

Pochyliłem się i ucałowałem jej dłonie. Kochałem ją jak prawdziwą matkę. Dla mnie właśnie ona nią była.

— Wyjdę drugim wyjściem. Nie powinienem już dzisiaj z nikim rozmawiać.

— Odprowadzę cię.

Chciałem zamknąć wieko skrzyni, lecz Emilia powstrzymała mnie.  
— Nie trzeba, Tobiaszu. Tej nocy z pewnością nie zmrzę oka i przejrzę w spokoju rzeczy mamy. Muszę się z nią pożegnać.

## **Jakub**

Nie umiałem kłamać i babcia Emilka nie dała się zwieść moim nieudolnym wykrętom o upadku ze skarpy. Bez niczyjej pomocy weszła po stromych schodach na poddasze. Wyglądała zupełnie jak babcia Marianna w dniu, w którym zawiesiła mi na szyi srebrny medalik z wizerunkiem Matki Bożej. Babcia poruszała się niebywale sprawnie, chociaż od miesiąca miała nogę uwięzioną w gipsie.

— Co się tak naprawdę stało, Jakubie? — Babcia nie prosiła, lecz żądała odpowiedzi. — Jeśli nie powiesz mi ty, z pewnością wyciągnę to od Józia. Mów natychmiast!

Słońce wolno zachodziło, oblewając pokój czerwoną poświatą. Czerń żałobnej sukni Emilii i jej niecodzienny surowy wyraz twarzy do złudzenia przypominały oblicze jej zmarłej siostry Sabiny Zerfass. Zadrzałem. Babcia z dnia na dzień stawała się jakaś inna, zmieniała na moich oczach. Czy tylko ja to widziałem? Patrzyła na mnie z dziwną stanowczością i nazwała mnie Jakubem, a nie Kubusiem... Czułem, że nie uniknę odpowiedzi.

## Julia

Tobiasz wyszedł z domu bocznym wyjściem i szybkim krokiem wszedł na ścieżkę. Nie widział mnie. Przyłgnęłam całym ciałem do starej gruszy i patrzyłam za nim, dopóki jego smukła postać nie znikła w oddali. Walczyłam z sobą, by za nim nie pobiec. Chciałam wyznać mu to, co właśnie zrozumiałam. Gdybyś wiedział, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo żałuję... Lecz jeszcze nie teraz, nie w tej chwili.

Weszłam na łączkę za domem, gdzie wczoraj płonęło ognisko. Krąg był wypalony i wilgotny. Tobiasz odchodząc, z pewnością zalał go wodą. Zawsze był we wszystkim dokładny i odpowiedzialny. I tylko on usłyszał głos Marianny. Wczoraj w to wątpiłam, jednak teraz byłam pewna, że Tobiasz naprawdę to potrafił. Tym samym potwierdziły się nasze przypuszczenia, że na Czartowe Pole pójdziemy jutro o zmroku, w dwudziestą rocznicę gwałtu, którego padłam wówczas ofiarą.

Lato było wtedy równie gorące. Rosnące nieopodal krzewy leśnych jeżyn kusiły dojrzałymi owocami, zachęcały, by ich skosztować. Podeszłam bliżej ostrożnie, by się nie pokłuć. Zerwałam parę i położyłam na otwartej dłoni.

Z doliny zerwał się wiatr. Rozwiewał mi włosy, studził rozpalone czoło. Muszę być silna, odważna, muszę pokonać w sobie strach.

Zacisnęłam dłoń i palcami rozgniotłam leśne owoce. Ciemny, pachnący latem sok, jak strużka świeżej krwi skapywał na trawę.

Roześmiałam się przez łzy. „Kiedy krople waszej krwi spadną na położony wśród wrzosów medalion, klątwa

straci swoją moc..." — tak twierdził Tobiasz, a ja wierzyłam już tylko jemu.

## **Jakub**

Babcia słuchała mnie w milczeniu. Jej twarz zastygła w grymasie, którego nie umiałem nazwać. Z pewnością była głęboko poruszona tym, co usłyszała. Czekałem, kiedy zapyta mnie o Krzysztofa, lecz ona milczała. Po chwili jakby przebudzona ze snu, wstała i wolno podeszła do okna. Rozciągał się z niego widok na dom i podwórko Józefa z ukrytą w gąszczu liści ulubioną ławeczką babci, na której często przesiadywała i dalej na łączkę pod lasem, gdzie wczoraj płonęło pamiętne ognisko. Coś przykuło jej uwagę, bo nagle westchnęła głośno i odwróciła się do mnie, już łagodna, taka jak zawsze.

— Przepraszam, że byłam dla ciebie taka... niemiła.

— Troszczysz się o mnie... — Spuściłem wzrok. Ponownie dostrzegłem podobieństwo rysów twarzy i całej postaci ich obu. Sabiny i Emilii. Jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłem babcię i zdusiłem w sobie myśl, że są niemal identyczne.

Jaka była moja matka jako dziecko? Jako nastolatka? Czy zawsze była tak surowa i ponura? A ojciec? Jaki był naprawdę Eryk Zerfass. O nim także bardzo niewiele wiedziałem. Strzępy wyrwanych z pamięci obrazów i słów, a potem opowieść mamy podczas wędrówki nad Tanwią zaczynały powoli układać się w coś pełniejszego, ale wciąż brakowało wielu elementów. Babcia musiała także sporo

wiedzieć i może była to najlepsza okazja, by ją o to zapytać. Wakacje nieubłagane dobiegały końca i druga taka szansa być może nieprędko się powtórzy.

— Chciałbyś mnie o coś zapytać, Jakubie? Znowu jakby czytała w myślach.

— Mam bardzo wiele pytań, babciu.

— Nie mam umysłu Tobiasza i nie wyjaśnię ci zagadek wykraczających poza umysł prostej, wiejskiej kobiety, jaką zawsze byłam i jaką umrę. Ale odpowiem na twoje pytania. Obiecuję.

## **Tobiasz**

Odszedłem z Wrzosowisk jak najszybciej. Julia patrzyła na mnie inaczej niż zwykle, a ja — wybaczyć mi Boże — właśnie tego chciałem. Prześladowały mnie jej ukradkowe spojrzenia, ciepłe palce zaciśnięte na mojej dłoni i uśmiech błakający się na ustach.

Czas był dla niej łaskawy. Wyglądała tak samo pięknie i młodo jak w chwili, gdy ją poznałem. Nie zmieniała się, nie poddawała upływowi czasu, zupełnie jak moje serce, które kochało ją od przeszło dwudziestu lat...

Czy podobne rozterki są pisane Jakubowi? Opowiedział mi, co wydarzyło się w lesie. Bójkę z Krzysztofem w pełni pojmowałem. Był młodym mężczyzną i wbrew temu, co postanowił, zakochał się w Natalii. Może tak miało się stać, może nie był to czysty przypadek, jak wszystko, co dotąd nas spotykało. Ludzkie szczątki w lesie były kolejną zagadką, lecz tym zajmie się policja. Muszę skupić się na tym, co mam

zrobić jutro, i uporządkować wszystko, czego się w ostatnim czasie dowiedziałem. Głos Marianny uspokoił mnie. Natalia nie była niezbędna podczas modłów na Czartowym Polu. Zamiast niej mieli ze mną pójść Emilia i Józef.

Józef od lat pogrążony jest w żałobie po kobietach, które kochał — żonie i córce. Żyje w strachu przed tym, czego nikt z nas nie pojmował, troszczy się o swoją jedyną wnuczkę. Nikt mu nie powiedział, że ubiegłej nocy zrobiła to, czego wszyscy się obawiali. Miałem nadzieję, że Bóg wysłuchał moich modlitw w jej intencji. Była nie tylko moją bratanicą. Byłem dla niej także chrzestnym ojcem i codziennie pamiętałem o niej w modlitwie, podobnie jak o Jakubie. Dlatego im obojgu podarowałem kiedyś małą reprodukcję obrazu, na którym biblijny Jakub mocuje się z aniołem i wiedziałem, że oboje bardzo go lubili.

Ale teraz nie to było najważniejsze. Układałem w myślach fakty podobne do rozrzuconych puzzli. Nogi niosły mnie znajomą ścieżką na starą plebanię.

Co już wiedziałem? Janina Matyszek, siostra „Sarny”, przygarnęła i wychowała córeczkę Miszki Tatar. Rodzina zginęła w pożarze pewnej tragicznej nocy, ocalała tylko Natalia, którą pokochał młodziutki Józef i jako swoją żonę zabrał do Wrzosowisk.

Po latach Józef znalazł dziennik pięknej sanitariuszki, z którego dowiedzieliśmy się, że Miszka Tatar był ojcem jej dziecka. Nie syna, jak pragnął radziecki partyzant, lecz córki, którą dosięgła klątwa. Klątwa, którą miałem z Bożą pomocą zdjąć z nieszczęsnych kobiet. Klątwa, którą rzuciła Róża Sokół, matka Emilii i Sabiny, wiedźma z wrzosowisk. Klątwa, która zagrażała Natalii. Powinienem jeszcze

raz bardzo dokładnie przeczytać dziennik „Sarny”, który ponownie znajdował się u mnie. Nie miałem czasu porozmawiać z Julią, czy zauważyła w nim coś, czego ja nie dostrzegłem, ale zbyt wiele się wydarzyło. Nie chciałem teraz wkraczać pomiędzy nią a syna. Oboje myśleli tylko o sobie, a ja dobrze to rozumiałem.

Róża przewidywała przyszłość, dlatego w porę uciekła z Wrzosowisk — układałem w myślach usłyszane i przeczytane zdarzenia. W październiku 1941 roku gwardia Darmochwały spaliła wieś. Zginęła wówczas większość jej mieszkańców. Róża ukryła się z bliźniaczkami w domu swojej babki, gdzieś na wrzosowiskach w głębi Puszczy, dokąd sprowadziła potem uratowaną spod trupów Mariannę i w którym opatrywała znalezionego nad Sopotem wycieńczonego mężczyznę. Miszka Tatar rozpałił w niej płomień miłości, a potem porzucił, gdy jego serce zabiło dla pięknej sanitariuszki Natalii Sarnawskiej. Nie tylko jemu. Najgoręcej „Sarny” pragnął zastępca Miszki, politruk w oddziale, Sasza Juraszko. Obląkany z miłości poszedł po pomoc do Róży, znał bowiem tajemnicę swojego dowódcy. Tam powiedział wiedźmie prawdę i w zamian za pomoc zerwał z szyi Miszki Tatara medalik, który go chronił...

Przystanąłem w miejscu, jakbym właśnie odkrył jakąś prawdę. Medalik! On miał niewątpliwie największe znaczenie, inaczej Marianna nie szukałaby go w starej chacie, a przecież zrobiła to nadludzkim wysiłkiem starej kobiety, by podarować go Jakubowi... Medalik szkaplerzny, który z wiarą nosił partyzant, był znakiem opieki Matki Bożej. Ten, kto go nosi nieustannie i z wiarą, obdarzony zostaje opieką Maryi w życiu i pomocą w godzinie śmierci...



A przecież Miszka nie miał go w dniu, gdy wyruszył na bitwę. Zginął, nie mając go na szyi. Miała go Róża i tylko dzięki niemu mogła sprowadzić na niego śmierć. Gdyby go wówczas miał... Czy przeżyłby wojnę? Tego już nigdy się nie dowiemy. Teraz medalik nosił Jakub.

Zachwiałem się i oparłem o drzewo. Zakręciło mi się w głowie, jak zawsze, gdy dochodziły do mnie głosy zza grobu.

— Czy chcesz mi coś powiedzieć, Marianno?— szepnąłem.

Pociemniało mi przed oczami. Żeby nie upaść, kurczowo złapałem się za drzewo. Czulem na skórze lepka żywicę. Zobaczyłem siebie, jak siedzę nad rzeką i patrzę w wodę. Franciszek pojechał do szpitala, a ja zostałem sam w parafii. Wtedy przybiegł do mnie Jakub i opowiedział przedziwną historię o wyprawie staruszki do lasu. „Czas już bliski — powiedziała, zawieszając na jego szyi medalik. — Gdy nadejdzie pora, użyjesz go i zdejmiesz klątwę. Zostałeś do tego stworzony ...” — brzmiało niczym echo w mojej głowie.

Zrozumiałem, że Jakub jest kluczem do złamania klątwy. Przecież nie był zwyczajnym chłopcem, lecz dzieckiem poczętym na wrzosowiskach, synem Julii, chłopcem, w którego obecności głosy wdzierające się do mojej głowy były wyraźniejsze. Każdy głos, który wybrzmiał przy Jakubie — teraz widziałem to wyraźnie — milkł zaraz potem, gdy spełniłem jego prośbę. Wiedziałem już kim był Miszka Tatar, wiedziałem kim była „Sarna” pojawiająca się w jego snach, odnalazłem naocznego świadka tamtych wydarzeń — proboszcza Konradowskiego. Tak, dowiedziałem się bardzo wiele w krótkim czasie.

Zalała mnie nagle fala spokoju, poczułem, że wszystko zakończy się dobrze, że nie ma się czego obawiać. Niemoc powoli ustępowała. Stałem na ścieżce o własnych siłach i otworzyłem oczy. Rozumiałem już więcej niż wczoraj, lecz pojawiły się nowe fakty.

Z kieszeni wyjąłem dość ciężkie, podłużne zawiniątko. Odwinąłem białą szmatkę. Ku mojemu zdumieniu zobaczyłem prawdziwy sztylet. Rękojeść umożliwia pewny chwyt, była właściwie wyważona, niemal przylegała do dłoni. Na złowrogo błyszczącym ostrzu odczytałem wyryte na nim słowa: „*Swoim Wilkom wdzięczna Ojczyzna 1863*”.

Przyspieszyłem kroku i niemal wbiegłem na Księżą Górkę. W moim pokoju na starej plebani schowałem zapiski Natalii Sarnawskiej. Musiałem je natychmiast jeszcze raz przejrzeć. Byłem pewien, że coś przeoczyłem...

### **Puszcza Solska, maj 1943 rok**

— Robimy ich! - głos „Gerdy” jest stanowczy. Patrzą z ukrycia, jak trzech elegancko ubranych mężczyzn miarowym krokiem oddala się w kierunku restauracji dla Volksdeutschy. Buty z cholewami, jesionki, teczki pod pachami... Szpicle!

— Robimy ich — powtarza „Gerda”, podnosząc się z ziemi. — To oni! Penetrują okolicę.

— Pójdę za nimi — zgłasza się „Szperacz”. „Wilk” kiwa głową i zwiadowca opłotkami kieruje się do budynku, gdzie weszli szpicle. Po chwili wraca.

— Złożyli zamówienie, chcą coś zjeść — melduje po powrocie.  
— Nie możemy pozwolić im uciec! — gorączkuje się „Gerda”.  
— Trzeba wykończyć drani poza Józefowem — odzywa się „Wilk”  
— inaczej ściągniemy represje na miasteczko.  
Przytakują. W tej kwestii są zgodni.  
— Szkoda, że „Wichura” dostał — mruczy „Szperacz”.  
— Gdyby tu był, ci dwaj już dawno dostaliby za swoje! — „Gerda”  
bojowo błyska oczami spod przystrzyżonej po chłopięcemu grzywki.  
— Żandarm w spódnicy! — śmieje się „Wilk”, za co otrzymuje  
potężnego kuksańca w plecy.  
— Co robimy? — ucisza ich „Szperacz”. — Długo nie posiedzą.  
— Trzeba działać — gorączkuje się „Gerda.”  
— Są dobrze uzbrojeni. Mają granaty i krótką broń. „Wilk”, co  
robimy?  
— Zostańcie tu i czekajcie, aż wyjdą. Sprowadzę naszych i  
dopadniemy ich przy szosie... Tylko pamiętajcie, żadnych  
gwałtownych ruchów. Idziecie za nimi w bezpiecznej odległości, aż  
opuszczą miasteczko.  
Po chwili znika na polnej drodze, prowadzącej do kamieniołomów.  
Do „Jedynki” jest niedaleko, jednak musi się pospieszyć. Poprawia  
czapkę i biegnie.  
Mija pół godziny, gdy gotowi do akcji leżą w trawie. Jest ciepło i  
śpiewają ptaki. Maj.  
- Są!  
Volksdeutsche rozmawiają cicho. Idą drogą prosto na nich. Palce  
zaciśnięte na broni, gotowe do ataku.

Z miasteczka biegnie za trzema mężczyznami jakaś kobieta, wymachuje dłonią, żeby się zatrzymali. Przystają i patrzą w jej kierunku.

— A niech ją wszyscy diabli! — przeklina „Pirat”. Partyzanci wiedzą, kim jest. Nie zdążyli jej zlikwidować.

Kobieta wskazuje las, a potem skulona biegnie w stronę miasteczka.

— Ostrzegła ich! — mówi głośno „Jastrząb”, chociaż wszyscy to wiedzą.

— Ruszamy! - decyduje „Wilk” i pierwszy oddaje strzał, za nim rozlegają się inne. Z oddali nadbiega „Gerda” i „Szperacz”. Wśród pobliskich drzew migają znajome sylwetki partyzantów. Pochyleni biegną w kierunku szpicli. Przeładowują broń. Dwóch leży martwych na skraju drogi. Trzeci wpadł do pobliskich zabudowań prosto na małego chłopca, złapał go i osłaniając się jego ciałem, strzela w kierunku partyzantów. Wycofuje się razem ze swoim zakładnikiem do obory i strzela z otworów po oknach. Wyrzucił już sześć granatów. „Jastrząb” jest ranny. „Szperacz” posyła w okienko obory serię z rkm-u. Szwab oddaje kilka strzałów z pistoletu.

— Co teraz? Niemiec nie odpuści!

— Niech to szlag!

— Trzeba chyba podpalić oborę - radzi „Mały”.

— Tam jest dziecko! — krzyczy „Gerda”.

— Pewnie dawno już nie żyje - „Mały” odwraca wzrok.

— Nie mamy pewności!

— Osłaniajcie mnie! — „Wilk” zaciska dłoń na granacie.

— Ale tam jest dziecko! — powtarza „Gerda”.

— To wojna — mówi „Wilk”. Odwraca się, odbezpiecza granat i celnie rzuca. Głuchy wybuch wewnątrz oznajmia wszystkim, że już po Niemcu. Nie zważając na resztę, „Gerda” niemal zderzając się z „Wilkiem” wpada do środka. Rozerwane zwłoki leżą na gnoju. Oparty o nie, zwija się z bólu mały zakładnik. Ma potrzaskaną nogę. W rękę trzyma parabellum gestapowca. Nie zważając na ranę, z zawziętością czołga się do zabitego i ze stygnącej ręki wyciąga mu pistolet.

— To mój, nie odbierajcie mi go! — patrzy bojowo.

— Patrzcie go! Zaraz nas pobodzie, rogaś jeden — śmieje się „Wilk”.

— Dzielny malec! — „Gerda” przypada do chłopca. Do obory wpadła reszta oddziału na czele z „Piratem”.

— Przeszukać go — wskazuje trupa — a dzieciaka na furmankę. Zawieziemy go do szpitala. „Wichura” będzie miał towarzystwo...

— Ścierwo! — „Pleban” spluwa na zwłoki. — Trzyma w rękę wyciągniętą z kieszeni biało-czerwoną opaskę. — Udawał Polaka!

— Zabierajmy się stąd — rozkazuje „Mały”. — Furmanka gotowa.

-Jedziemy. Oddział, za mną! - woła „Wilk”. „Pirat” wybiega z obory. Reszta za nim. Znikają na leśnej ścieżce.

— O trzech Szwabów mniej — mruczy pod nosem „Wilk”, biegnąc obok furmanki. — Śmierć im wszystkim!

W „Jedynce” są bezpieczni. Nadchodzi wieczór. W powietrzu unosi się intensywny zapach bzu. „Korsarz” poszedł na akcję i zabrał ze sobą „Sarnę”. Nie wiadomo, kiedy wróca. Dowódcę zastępuje „Wilk”. Co za pech! Gdyby

tu była, zajęłaby się chłopcem. A tak... może być różnie. Rana jest paskudna... Wszystko przez odłamek...

Kątem oka zerka na „Wilka”, mężczyzna pochmurnieje, zaciska usta i odwraca wzrok. „Gerda” zna go tak dobrze... Przenikają nawzajem swoje myśli. To normalna sprawa u przyjaciół. Nie wini go za podjętą decyzję. To nie jego wina, że trwa wojna...

— Wytrzymaj mały — „Gerda” gładzi rozpalone czoło chłopca. — Jutro zajmie się tobą lekarz.

— Byłem dzielny?

— Nie znam odważniejszego od ciebie — zapewnia go.

— Chcę zostać partyzantem... — zaciska zęby. Z opatrzonej prowizorycznie nogi sączy się krew. Bardzo cierpi. „Wilk” spogląda z ukosa na małego i pochyloną nad chłopcem dziewczynę. Chciałaby zbawić cały świat, ale przecież się nie da... Może trzeba było zaczekać z tym granatem? Ale nie miał wyjścia. Dowódca jest od tego, by podejmować decyzję. „Korsarz” zrobił go swoim zastępcą. Jest wojna. Nie prosił się o nią! Jeśli chłopak umrze, zanim trafi do szpitala, „Gerda” mu tego nie daruje!

— Jesteś już jednym z nas — podchodzi do małego pacjenta.

— Naprawdę? — Oczy mu błyszczą.

— Zdobyłeś swój pierwszy pseudonim. Od dzisiaj jesteś „Rogaś” — mówi uroczyście — a ja jestem „Wilk” — ściska bezwładną rękę małego partyzanta.

— „Pirat”!

— „Szperacz”!

— „Jastrząb”!

— „Mały”!

Melduje się cały oddział. Chłopiec się uśmiecha.

— Twój pseudonim bardziej mi się podoba — protestuje po chwili.

— Chcę być „Wilkiem” jak ty! „Rogaś” brzmi tak dziecinnie - szepcze.

— Przecież jesteś dzieckiem — śmieje się „Gerda”, mrugając do „Wilka”.

— Nie znasz się, kobieto! - żartuje „Wilk”. Zaraz coś na to poradzimy. Nie oddam ci swojego pseudonimu, bo w oddziale może być tylko jeden „Wilk”, ale... — Sięga do pasa i wyciąga z pochwy rodzinną pamiątkę, po czym wręcza chłopcu. Ma jeszcze dwie po pradziadkach powstańcach. Trudno mu się rozstać z pięknym przedmiotem, lecz wie, że postępuje właściwie. Chłopak wykazał się wielką odwagą, chociaż jest jeszcze dzieckiem. Zasługuje, by go mieć!

— Co to takiego? — Głos chłopca drży. Delikatnie obraca w dłoniach błyszczące ostrze...

— To sztylet dla ciebie z przeprosinami za ten granat. Mogłeś zginać...

— Zrobiłbym to samo na twoim miejscu... Naprawdę mogę go zatrzymać?

-Jest twój - mówi „Wilk”.

— No, no... — szepczą partyzanci. — „Wilk” ma dzisiaj wielki gest. Znają historię przodków „Wilka”, słynnych sztyletników, i wiedzą, jak bardzo jest do sztyletów przywiązany.

— Co tu jest napisane? - „Rogaś” dostrzega wygrawerowane na stali słowa, ale nie umie jeszcze czytać. Miał iść do szkoły we wrześniu 1939 roku. Wojna odebrała mu najbliższych, dom i marzenia, skradła dzieciństwo.

— „Swoim Wilkom wdzięczna Ojczyzna. 1863” — „Wilk” z dumą odczytuje słowa.

— Nie rozumiem... — Oczy chłopca błyszczą z bólu i gorączki. Ma spieczone wargi.

— Teraz nie musisz. Zrozumiesz, jak będziesz starszy — uspokaja go „Wilk”.

Partyzant imponuje „Rogasiowi” i chłopiec postanawia, że kiedyś będzie taki jak on: silny i odważny. I będzie zabijał Niemców!

— Już wystarczy. Teraz ja się tobą zajmę — „Gerda” siada obok chłopca i odgarnia mu z czoła mokre od potu włosy.

— Założę się, że bardzo lubisz bajki...

— Jesteś dziewczyną...

„Rogaś” przygląda się pochylonej nad sobą twarzy. „Gerda” uśmiecha się i kiwa głową.

— Co tutaj robisz? Opowiadasz im bajki?

Śmiech i szturchnięcia przy ognisku i od strony rzeki.

— Rezolutny mały! Oj, chciałbym, żeby mi na uszko szepnęła parę słów!

— Cicho tam, bo „Wichura” z wami inaczej porozmawia

— śmieje się „Pirat”.

— Nie opowiadam im bajek, bo są niegrzeczni! - „Gerda” ciska spojrzeniem pioruny. — Ale tobie opowiem.

— Chcę coś o lesie — prosi „Rogaś”. - Bardzo lubię las...

— Opowiem ci baśń o kwiecie paproci...

— Bardzo lubię paprocie... — szepcze dziecko. Wszyscy milkną jak na komendę. Słyszą tylko szum

drzew. Chłopiec zaciska w dłoniach sztylet. Przymyka oczy. Czuje się bezpieczny.



— *Dawno, dawno temu, w najdalszym zakątku Puszczy, tam gdzie wody dwóch strumieni opasują wysokie wzgórze, piękna Tanewa mocą pradawnych sił zamieniła się w gorejący kwiat paproci...*

Wszyscy słuchają baśni, nawet ci, którzy już dawno zapomnieli, że kiedyś byli dziećmi.

— Kto ją zamienił? — pyta chłopiec, gdy „Gerda” kończy opowiadać. — Zrobiła coś złego?

— Nie, „Rogasiu”. Bardzo chciała wrócić do domu.

— Tak jak ja... To możliwe?

— Tak, bo gdy czegoś bardzo chcemy, nasze marzenia się spełniają.

— Co trzeba zrobić? — pyta dziecko.

— Legenda mówi, że kto odnajdzie kwiat paproci, odnajdzie również swoje szczęście.

— Jak wyzdrowieję, odnajdę kwiat paproci — szepcze spękanymi wargami — i oddam go tobie...

Zamyka oczy i oddycha miarowo. „Gerda” delikatnie układa głowę chłopca na posłaniu, okrywa go szczelnie kocem.

— W końcu zasnął — mówi do „Wilka.”

Znają się od dziecka. To jej najlepszy przyjaciel, chociaż on chciałby czegoś więcej. Ale jej serce i ona cała należy tylko do „Wichury”. Bardzo za nim tęskni. Myślała, że umrze ze strachu, gdy został ciężko ranny. Nie mogła sobie wybaczyć, że nie było jej przy nim, bo poszła z innymi na akcję. Ale była „Sarna”. Opatrzyła go i szybko trafił do szpitala. Obie były zakochane w swoich chłopcach. „Gerda” w „Wichurze”, a „Sarna” w Miszce Tatarze. Cięża przyjaciółki była coraz mocniej widoczna... Obiecała, że urodzi ukochanemu syna, lecz zwierzyła się jej w tajem-

nicy jak kobieta kobiecie, że czuje inaczej. Pocieszała ją wtedy, że Miszka pokocha ich córeczkę tak samo mocno jak syna, lecz po cichu podzielała jej obawy. Mężczyźni zawsze wolą synów... Dlaczego? I czy „Wichura” też o nim marzy?

— Zadziałały środki nasenne — z zamyślenia wyrywa ją „Wilk”, który zawsze jest obok. Nigdy jej nie zawiódł. — Chłopiec jest zadziwiająco odporny na ból. Bije na głowę niejednego starego wojaka!

— „Rogaś” jest teraz jednym z nas... — przypomina mu „Gerda”.

„Wilk” z uśmiechem potakuje. Odchodzą na bok, bliżej ogniska. Majowe noce są wciąż chłodne.

— Rana jest paskudna — martwi się dziewczyna. — Jak myślisz, uratują mu nogę?

— Nie wiem.

— Dziękuję za to, co zrobiłeś... — nachyla się do niego i całuje w policzek. „Wilk” odsuwa się, pąsowieje na twarzy...

— Nie chcę kłopotów - podnosi ręce. - „Wichura” dałby mi do wiwatu...

— Wie, że jesteśmy przyjaciółmi — uspokaja go. — Dziadek będzie z ciebie dumny...

— Jeśli przeżyjemy...

— Mam taki zamiar i ty też powinienesz! — szturchnęła go w bok.

— Jak spod ziemi wyrasta przy nich „Pirat”. Umie skradać się jak kot, nigdy go nie słyhać. Ale on słyszy wszystko.

— Nasz doktor nie takie cuda potrafi zdziałać... — mówi. — Nogi „Wichury” wyglądały o wiele gorzej, a wieści są pomyślne.

— Co u niego? - „Gerda” oblewa się rumieńcem.  
— Pytał o ciebie! Śmieje się i przesyła całusy — nachyla się do „Gerdy”.  
— Wolałabym pocałować żabę! — śmieje się w głos.  
— Jak sobie chcesz — obrusza się „Pirat”.  
— Jak się czuje „Wichura”? - Z powagą pyta „Wilk”?  
— Poleży parę dobrych miesięcy, zanim wróci do lasu, ale jest bezpieczny. Chłopiec dołączy do niego. Doktor Ryś już wie...

## **Julia**

Nie wiedziałam, co mam o tym wszystkim myśleć. Siedzieliśmy w moim samochodzie a Jakub opowiadał, co wydarzyło się w lesie niedaleko kamieniołomów. Z każdym słowem czułam coraz większy niepokój. Ile jeszcze rzeczy musi się wydarzyć? Naszym życiem rządziły wiedźmy, przepowiednie, baśnie i klątwa, a nawet głosy zza grobu, i jakby tego było mało, doszła jeszcze zagadka kryminalna oraz dwaj naiwni faceci zakochani w jednej nieodpowiedzialnej dziewczynie. Jeśli to nie skończy się jutro, chyba zwyczajnie zwariuję...

— Przepraszam, że kłamałem. Nie chciałem cię martwić, mamo — zakończył Jakub. To byłam w stanie zrozumieć. Pogładziłam go po podrapanym policzku. Siniak koło oka wciąż był mocno fioletowy.

— Boli?

Pokręcił głową.

— Rozmawiałaś z Natalią? — zapytał nagle.

— Nie zastałam jej w domu... Adam, leżał w łóżku kompletnie pijany. Chyba pobił jakiś życiowy rekord w picciu wódki. Nieważne... Jestem na nią wściekła, ale mimo wszystko martwię się o nią. Wiesz może, co się z nią dzieje? Czy nadal ją słyszysz, a może widzisz, jak wtedy, gdy ją napadnięto?

Jakub pokręcił głową i posmutniał.

— Jej postać i myśli nie docierają do mnie od chwili, gdy... — Zamilkł. Nie mógł opanować drżenia głosu.

Zacisnęłam palce na skroniach. Czułam, że nadchodzi migrena.

— Jediną pociechą w tej sytuacji jest to, że nie musi iść z nami na Czartowe Pole. Zastąpi ją mama i Józef — próbowałam pocieszyć i siebie, i jego, ale raczej bez skutku. Jakub milczał, a ja uznałam, że czas zakończyć temat Natalii. — Nie pogniewasz się, jeśli jutro pojedę gdzieś sama?

— Jutro idziemy...

— Na Czartowe Pole. Tak, wiem. Wrócę przed wieczorem, zanim Tobiasz po nas przyjdzie. Ale muszę coś wyjaśnić — wyciągnęłam z kieszeni wizytówkę i podałam Jakubowi.

— „Agnieszka Hadziewicz-Zerfass. Dyrektor Domu dla Niepełnosprawnych Umysłowo Mężczyzn w Rudzie Różanieckiej” — przeczytał i spojrzał na mnie zdziwiony.

— Spotkałam moją przyjaciółkę z dawnych lat. - Pomięłam niefortunne parkowanie w ściernisku. — Kiedy spojrzałam na wizytówkę, byłam tak samo zaskoczona jak teraz ty. Nazwisko Zerfass to nie Nowak czy Kowalski, a wygląda na to, że ma je po mężu. Wiem, że wuj ma polskie korzenie, ale nie poznałam jego historii. Jestem cie-

kawa, co powie Agnieszka, ale oprócz tego dostałam szansę odzyskania przyjaciółki. Natalii Zaborniak nikt mi nie zwróci, bo odeszła na zawsze, ale Aga tu jest, żyje. Mamy tak zwaną wspólną pamięć.

— Rozumiem, mamó. Jednym słowem, nic tam po mnie  
- westchnął.

— Dziękuję, mój skarbie. — Pozwolił objąć się ramieniem. Mój wzrok powędrował na półkę i przypomniałam sobie o książce.

— Mam coś dla ciebie — wyjęłam podarunek ze schowka. — Przed nami ciężka noc, a to pozwoli ci zwalczyć sen.

— Wręczyłam mu książkę.

— Historyczna?

— Tak sądzę. Opowiesz mi, czy jest godna uwagi. I mam jeszcze jedną prośbę. Nie mów babci ani Józefowi, dokąd pojechałam.

— Nie wydam cię - obiecał.

— Nie pytasz dlaczego?

— Podejrzewam, że to długa historia, a powinniśmy odpocząć, pozbyć się złych emocji i spróbować wybaczyć sobie i innym.

Pamiętałam o duchowym ćwiczeniu, które zalecił nam Tobiasz i zupełnie nie wiedziałam, jak się za nie zabrać. Jakub chyba to wiedział.

— Biblia bardzo pomaga... Mogę zostawić ci tę, którą otrzymałem od ojca - zaproponował nieśmiało.

Nie byłam przekonana, lecz nie chciałam sprawić mu przykrości. Zresztą sprawa była poważna.

— Mogę spróbować, jeśli nie pomoże, to na pewno nie zaszkodzi.

Jakub bez słowa skinął głową.

Wysiedliśmy z samochodu. Reks odprowadził nas pod same drzwi. Jakub zaniósł na górę książkę Kathrin i przyniósł zaczytaną, rozpadającą się ze starości Biblię. Wzięłam ją ostrożnie do rąk. Wiedziałam, jak była dla niego cenna ze względu na Eryka.

Mama czekała na nas w kuchni.

— Pościeliłam ci w moim pokoju, Juleczko — powiedziała łagodnie.  
- I zaniósłam tam twoją torebkę. Może zjemy kolację?

— Nie, dziękuję... Położę się wcześniej. Dobranoc — weszłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Musiałam zadzwonić do Agnieszki. Wszystko zaplanowałam. A jeśli nie będzie miała czasu? Wyciągnęłam wizytówkę i zadzwoniłam. Odebrała niemal natychmiast i po chwili, byłyśmy umówione.

Zamknęłam oczy i otworzyłam Biblię. Potem spojrzałam na tekst. „W przypowieściach otworzę usta moje, wyjawię rzeczy ukryte od założenia świata” — głosił psalm. Czytałam aż do chwili, gdy zmorzył mnie sen.

## **Jakub**

Babcia czekała na mnie na poddaszu. Zaparzyłem herbatę, jak prosiła, i przyniosłem na górę. Miałem wiele pytań. Usiedzieliśmy w półmroku przy stoliku w wygodnych fotelach. Przez otwarte okno słychać było wyraźnie szum wodospadów na Sopcie. Chciałem zapamiętać ten dźwięk, by móc odtworzyć go w chwili, gdy wrócę do Monachium.

— Co wiesz o moim ojcu, babciu? — zapytałem, trzymając w dłoniach kubek z malinową herbatą, której smak już na zawsze będzie mi się kojarzył z Wrzosowiskami i tym domem.

Emilia spojrzała na mnie przestraszona, dopiero po chwili zrozumiała, o kogo pytam.

— Niewiele, Jakubie - powiedziała w końcu. — Widziałam Eryka zaledwie dwa razy w życiu. Pierwszy raz, gdy po wielu długich latach pojawił się nagle we Wrzosowiskach, by spełnić obietnicę małżeństwa. Sabina na niego z uporem czekała i gdy tylko wrócił, bez wahania wyjechała z nim do Niemiec. Drugi raz widziałam go w chwili...

Głos uwiązał jej w gardle.

— Gdy przyjechał po mnie... — dokończyłem za nią. Babcia skinęła głową. Ta część bolesnej, rodzinnej przeszłości wszystkim nam bardzo ciążyła.

— A twoja siostra, babciu?

Przez twarz babci przebiegł skurcz.

— Będzie najprościej, jeśli opowiem ci pewną historię, w której udział biorą wszystkie osoby dramatu — jej głos brzmiał zagadkowo.

— Wydarzenia, które nas zadziwiają, i miejsce, do którego jutro pójdziemy, by modlić się za naszych kochanych zmarłych, wszystko to składa się na tę opowieść. Może tak właśnie miało być, może tak dokładnie zapamiętałam każdy szczegół tego, co wydarzyło się przed laty, bym opowiedziała ją mojemu odzyskanemu wnuczkowi.

Uśmiechnęła się do mnie ciepło, a ja odpowiedziałem jej tym samym.

— Pytałeś wczoraj Tobiasza o Kupalną Noc... Otóż tak się składa, że ja i Sabina przyszłyśmy na świat właśnie 21

czerwca, w pradawną noc płonących ognisk, zabaw i wróżb, a gdy miałyśmy skończyć dziewięć lat, Marianna zabrała nas nad Sopot, byśmy wywróżyły sobie przyszłość. Jak już wiesz od Tobiasza, tylko tej jednej nocy w roku dziewczęta mogły wyplatać wianki z kwiatów i ziół, by w zbiorowej ceremonii ze śpiewem i tańcami powierzyć wianki falom rzek i strumieni. Chłopcy też na to czekali. Często był to jedyny sposób, by połączyć się z wybranką swojego serca. Chłopiec, któremu udało się wyłowić wianek swojej dziewczyny, mógł spędzić z nią resztę życia. Kiedyś, za czasów naszej młodości i jeszcze wcześniej, gdy młode były nasze prababcie, przyzwalano także na wspólne oddalenie się pary i samotny spacer po lesie w poszukiwaniu zaczarowanego kwiatu paproci, wróżącego pomyślny los. O świcie młodzi powracali do płonących ognisk. Przepasani bylicą, trzymając się za dłonie, przeskakiwali płomienie, kończąc pogański obrządek przechodzenia przez wodę i ogień. W tym jednym dniu w roku rytuał ten oznaczał zawarcia małżeństwa... A było to tak...

## **Emilia**

Jakub słuchał z wielką uwagą, lecz nie mogłam powiedzieć mu wszystkiego. Pilnowałam się przy każdym wymawianym słowie, by nie zdradzić mojej tajemnicy. Zabiorę ją do grobu. Nikt nigdy nie dowie się o mężczyźnie, którego zesłał mi wówczas los. Na moją zgubę. Na zgubę mojego dziecka! Nasze grzechy — byłam tego pewna — spadły na jej niewinną głowę. One powiodły ją na wrzosowiska Czartowego Pola przed dwudziestoma laty.



— I co zobaczyłaś babciu? — zapytał Jakub. Dotarłam właśnie do miejsca, gdy obie biegłyśmy za wiankiem, skrupulatnie pomijając fakt złamania przeze mnie zakazu Marianny. ..

— Spojrzałam w gąszcz nad rzeką i zamarłam. W mroku zapadającego wieczoru ujrzałam potężnego, szarego wilka...

— Był złudzeniem czy widziałaś go naprawdę?

— Sama nie wiem, Jakubie — przyznałam. — Wiele o tym myślałam i czasem wydawało mi się, że widziałam prawdziwego wilka, a zaraz potem śmiałam się z tego i przekonywałam samą siebie, że był tylko złudzeniem, może dziwacznie oświetlonym przez słońce krzewem? Tak czasem się dzieje i nie ma w tym nic dziwnego. Wydaje nam się, że coś widzimy, wyobraźnia nadaje temu kształt i najczęściej jest to coś, czego się lękamy. Ja zawsze bałam się wilka. Marianna twierdziła, że to zły omen. Że przychodzi, gdy popełniamy wielki, życiowy błąd, łamiemy zasady...

Urwałam w pół zdania. O mały włos, powiedziałbym za dużo! By pokryć zmieszanie, chwyciłam w dłoń szklankę z herbatą i wypięłam do końca. Jakub czekał cierpliwie.

— Wtedy, nad Sopotem — podjęłam przerwany wątek — wszystko trwało zaledwie mgnienie oka, jak ulotna chwila zatrzymana w kadrze. Miałam wówczas dziewięć lat i byłam przekonana, że naprawdę widziałam wilka. Lecz gdy mijały kolejne lata, obraz zwierzęcia zamazywał się w mojej pamięci, aż uznałam, że był tylko wytworem mojej dziecięcej wyobraźni, karmionej przez lata baśniami, legendami i podaniami...

— A kiedy wilk znikł, spotkałaś kogoś? — zapytał. Czułam jak oblewa mnie gorąco i poczerwieniałam na twarzy. Nie lubiłam kłamać, robiłam to tylko wtedy, gdy nie było innego wyjścia, jak w tym przypadku. Przebacz mi Boże — westchnęłam w duchu. A głośno powiedziałam:

— Wtedy szczęście się do mnie nie uśmiechnęło i przyznaję, byłam zrozpaczona i zazdrosna o siostrę, która w Kupalną Noc spotkała nad Sopotem Eryka. Ja swojego mężczyznę... ojca Julii... twojego dziadka... — z trudem wypowiadałam kłamliwe słowa — poznałam dużo później, w dorosłym życiu. Jednak nie cieszyłam się długo swoim szczęściem. Porzucił mnie i Julię i odszedł w nieznane. Eryka i Sabinę ta wróżba scementowała na długie lata i przerwała ją dopiero jej śmierć...

— Czy ojciec wyłowił wianek Sabiny z Sopotu?

— Z pewnością, lecz o to powinieneś sam go zapytać. Nikt dokładniej ci tego nie opowie.

Skinął głową zamyślony. Siedzieliśmy w milczeniu, a Kuba bardzo intensywnie o czymś myślał.

— Już podjąłeś ostateczną decyzję, nie mylę się?

— Moja przybrana matka mnie wzywa — przyznał po chwili. — Do parafii wrócił proboszcz, którego zastępował ksiądz Tobiasz. Czas wakacji dobiega końca i obaj musimy wracać do swoich obowiązków. Lecz i bez tego wiem, że trzeba wracać. Ojciec został zupełnie sam. Jest chory i ma tylko mnie. Modlę się o niego codziennie.

— Masz dobre serce, Jakubie. Zawsze kieruj się jego rytmem. Nasz wewnętrzny głos wie najlepiej, jaką drogą powinniśmy zmierzać, jakie decyzje podejmować.

— Podpowiada mi, bym wracał — przyznał.

- Lecz boisz się zranić Julię, prawda?
- Przynależem sobie, że moja mama, nigdy przeze mnie nie zapłacze, lecz wiem, że gdy wyjadę, bardzo ją zranię.
- Moja córka jest mądrą kobietą i w końcu zrozumie twoją decyzję. Nie martw się. Przekonam ją, by pozwoliła ci jeszcze na jakiś czas odfrunąć z gniazda.
- Zrobisz to dla mnie, babciu?
- Oczywiście, kochanie. Lecz mam nadzieję, że znowu do nas wrócisz. Nasze serca i drzwi stoją przed tobą otworem.
- O niczym innym nie marzę. Pragnę z wami zostać, lecz nie mógłbym spokojnie żyć z myślą, że zawiodłem mojego ojca. On mnie potrzebuje.
- Wiem, Jakubie, i pochwałam twoją decyzję — podniosłam się z fotela. - Przed nami tajemnicza próba. Musimy odpocząć.
- Jakub podał mi kule. Na półce leżała gruba książka, której wcześniej tu nie widziałam.
- Co to takiego? — zainteresowałam się.
- Mama otrzymała ją dzisiaj od niemieckiej turystki. Będę miał czym zająć myśli, zanim zmorzy mnie sen.
- To chyba dobry sposób, ale nie dla mnie. Wzrok już nie ten, więc pozostaje mi tylko szeptem odmawiać modlitwy.
- Jeśli zechcesz, babciu, opowiem ci, o czym przeczytałem.
- Pod warunkiem, że nie będą to jakieś trudne, naukowe sprawy...
- „Wiedzmy Himmlera” - przeczytał tytuł książki.

Mimowolnie się uśmiechnęłam. Jeszcze miesiąc temu nawet przez myśl by mi nie przeszło, by wskrzeszać upiory przeszłości, a teraz na nowo zaczynam je oswajać...

— Pomogę ci zejść, babciu.

— Nie trzeba — powstrzymałam go. — Dam sobie radę sama. Dobranoc.

Wiele lat upłynęło w zupełnym spokoju, bez awantur i nerwów. Upływał dzień za dniem, noc za nocą, jak w kalejdoskopie zmieniały się pory roku. Myślałam, że tak już będzie do końca, a potem, któregoś dnia zwyczajnie zasnę na wieki. Lecz życie to wielka niespodzianka.

Ostrożnie zeszłam na dół i najciszej jak umiałam, weszłam do kuchni i dalej przez mój pokój do sąsiedniego pomieszczenia. Julia, leżała na łóżku nakryta po czubek głowy kołdrą. Oddychała miarowo.

Przekręciłam klucz w zamku — tak na wszelki wypadek -i usiadłam na łóżku matki. Patrzyłam na skrzynię, w której Marianna trzymała swoje skarby.

Zbyt długo myślałam, że przybrana matka jest chora. Mówiła coraz częściej od rzeczy, widziała zmarłych, a nocą nawiedzały ją Anioły Snu. Opowiadała mi o tym każdego ranka z wypiekami na policzkach, a ja, zamiast słuchać i wierzyć, parzyłam matce ziółka na uspokojenie i gładząc po drżącej dłoni, zapewniałam, że wszystko będzie dobrze. A Marianna — teraz byłam tego pewna — od trzech lat szykowała się do śmierci. Znała jej dokładną datę i czekała na nią z niecierpliwością.

Zaczął się trzy lata temu w maju, kiedy wysłała mnie nad śródleśne jezioro po tatarak i dzięgiel chroniący dom

od złych mocy, a w czerwcu zażądała wodnej trawy z łąki. W lipcu następnego roku zbierałam dla niej kwiaty lipy, przydrożną macierzankę i łubin. W sierpniu kazała Józefowi zawieźć się do Krasnobrodu na odpust w święto Matki Boskiej Zielnej. Podczas mszy szeptała coś pod nosem, uderzając raz mnie, raz Józefa wiązką święconych ziół. Zbierałam dla niej zioła do późnej jesieni. Matka mieszała składniki i przyrządzała kolejne nalewki, mikstury i maści na wszelkie dolegliwości. Zapasy rosły i z pewnością starczą na ładnych parę lat.

W czerwcu tego roku miała do mnie ostatnią, jak się okazało, prośbę. Wysłała mnie na bagna po dziki rozmaryn i rosnącą w jego cieniu bagienną borówkę. Spełniłam jej prośbę, chociaż taka wyprawa w moim wieku nie była najłatwiejsza. Poszłam o świcie, gdy Puszcze otaczała jeszcze mleczna mgła. Gdy wróciłam z pełnym koszem, Marianna zabrała kwiaty i zamknęła się w kuchni na klucz. Po paru godzinach wyszła z niej jakby nigdy nic i trzymając kurczowo w rękach buteleczkę z ciemnego szkła, poszła prosto do swojego pokoju. Przywołała mnie, bym pomogła jej podnieść wieko skrzyni i tam schowała butelkę. Potem wspólnie ją zamknęłyśmy i na tym się skończyło. Niczego nie tłumacząc, wróciła do swoich zajęć. Przyjmowałam z pokorą wszystkie jej dziwactwa, więc i na to nie zwróciłam większej uwagi. Potem znowu wszystko ucichło, by odezwać się ponownie po trzech miesiącach.

Trzy lata, trzy miesiące, trzy dni i trzy noce. Byłam już pewna, że to nie był zbieg okoliczności i liczba ta z pewnością coś oznacza. I jakby tego było mało musiałam przekazać Tobiaszowi sztylet „Wilka”...

Przed czterdziestoma laty, gdy ze skruchą wyznałam swoje grzechy matce, Marianna zawinęła sztylet w białą szmatkę i wepchnęła na dno tej skrzyni. Potem podeszła do mnie i położyła dłoń na moim brzuchu i patrząc gdzieś w dal, ponad moją głowę, powiedziała:

— Dziecko, które nosisz pod sercem, to córka, która wyda na świat oczekiwanego od wieków Pasterza, Przewodnika Dusz...

Mój wnuk nie był z pewnością zwykłym chłopcem, lecz częścią jakiegoś wielkiego, anielskiego planu. Czy miało to związek z wiedźmami z wrzosowisk, z rodzinną historią, a może starymi legendami? Nie wiedziałam. Pewna byłam tylko tego, że usłyszałam dzisiaj Mariannę tak realnie i wyraźnie, jakby stała tuż obok mnie. Wierzyłam, że tak właśnie jest.

Nigdy nie miałam wątpliwości, że duchy naszych zmarłych, znajdują się tuż obok nas, lecz po raz pierwszy usłyszałam głos pochodzący z innego wymiaru czasu.

— *Podaj wtajemniczonym zioła, zanim o świcie księżyc narodzi się ponownie. I pamiętaj o tym, że muszą wypić je wszyscy bez wyjątku, w przeciwnym razie, jedno z was umrze!*

Słowa matki dawały mi pewność, że koszmarny sen był proroczy. A skoro to właśnie ja go śniłam i mimo niewiary we własne siły zdołałam przywołać Natalię, musiałam także zapobiec nieszczęściu.

Wyjęłam ostrożnie butelkę ze skrzyni i przyglądałam się jej w skupieniu.

Dziki rozmaryn był niebezpieczną rośliną. Miał wiele właściwości, które nie były do końca znane. Wystarczyła chwila nieuwagi przy dawkowaniu, a ten, kto wypił wy-

war z kwiatów, zapadał w wieczny sen. Miałam już swoje lata, ręce mi drżały, oczy przesłaniała mgła, a bagienny krzew o białych płatkach, nosił w sobie jeszcze wiele tajemnic.

Ale byłam jedyną wiedźmą, która jutro mogła oszukać przeznaczenie...

## **Jakub**

„Jesteś Aniołem. Dobrym Aniołem. Pamiętaj o tym, gdy dotrzesz do prawdy, której szukasz od lat...” - mówił Eryk Zerfass, gdy wyjeżdżałem z Monachium. Nie myliłem się. Ojciec wiedział, dokąd jadę i co pewnie odkryję. I pogodził się z tym.

Poznał matkę nad Sopotem, gdy razem z Emilią rzucała na wodę wianki. Już nie dziwiłem się niczemu, każdy dzień odkrywał nowe tajemnice, lecz w opowieści babci Emilki coś mi nie pasowało. Nie umiałem tego nazwać, lecz czułem, że jej opowieść była jakby niespójna, czegoś mi w niej brakowało. A może jednak się myliłem?

Jutro pójdziemy na Czartowe Pole, jak zapowiedziała Marianna.

— *Czas już bliski* — mówiła, gdy zawieszała na mojej szyi łańcuszek z medalikiem Miszki Tataru. — *Gdy nadejdzie pora, użyjesz go i zdejmiesz klątwę. Zostałeś do tego stworzony!*

Dotknąłem dłonią medalika, po raz kolejny zadając sobie to samo pytanie: kto dał mi życie na wrzosowiskach Czartowego Pola. I dlaczego wokół wciąż dzieje się tyle

dziwnych rzeczy. Dlaczego coraz mocniej czuję narastający we mnie gniew, zazdrość i... pożądanie. Tak, to było to uczucie, musiałem je w końcu odważnie nazwać. Udawanie, że nic się nie zmieniło, niczego nie poprawi, będzie jedynie kłamstwem, a tego nie chciałem. Musiałem przyznać sam przed sobą, że tęskniłem za Natalią i snami o niej, nawet po tym, co od niej usłyszałem. Czego właściwie chciałem? Dziewczyny, miłości i... bliskości z nią, czy surowych sal seminarium? Chciałem poznać Julię i zostać przy niej na zawsze, czy wypełnić wolę tej, która nigdy nie okazywała mi czułości, a jedynie surowość i chłód, lecz dla której mimo wszystko czułem głęboki szacunek.

Otworzyłem książkę, by trochę poczytać. Przyzwyczajenie było silniejsze od snu. „Wiedzmy Himmlera”. Przebiegłem wzrokiem dedykację autorki i uśmiechnąłem się. Mama była naprawdę świetnym przewodnikiem. Poszedłbym za nią na koniec świata. Żałowałem, że jutro pojedzie beze mnie, ale z pewnością wszystko mi opowie. Ja także chciałem się wywiązać z obietnicy i streścić jej książkę. Usiadłem wygodnie w fotelu i zacząłem czytać. Książka zapowiadała się bardzo ciekawie.

## **Julia**

Samochód potoczył się wolno po piaszczystej drodze. Mama jeszcze spała, więc zostawiłam jej na stole kartkę z drobnym kłamstwem: „Jadę na Roztocze oprowadzać. Wrócę na czas. Julia”. Resztę wyjaśni jej Jakub. Na



skrzyżowaniu odbiłam kierownicą w prawo i przyspieszając, pomknęłam w kierunku Suśca. Tym razem inną drogą, przez Hamernię i Oseredek. Droga była zupełnie znośna. Po kilkunastu minutach jazdy dojechałam do Suśca i na skrzyżowaniu, tuż za drewnianą rzeźbą Kargula i Pawlaka, ponownie skręciłam w prawo. Trzy kilometry stąd rozpościera się Rezerwat nad Tanwią.

Przejeżdżając przez most na Tanwi, z żalem spojrzałam na rzekę. Wodospady były łagodne, ułożone niemal jak pod linijkę, stateczne. Na ukochanym Sopocie szumiały dziko, rozrzucone siłą czarciego oddechu.

— Nie dzisiaj! — Posłałam rzece tęskne spojrzenie. Chętnie przeszłabym się jej brzegiem. W tej części Roztocza zawsze czułam się jak w domu, o wiele bezpieczniej niż we Wrzosowiskach. Może sprawiała to znaczna odległość od Czartowego Pola, a może bliskość Zamczyska, wzgórze, które bardzo lubiłam. Teraz był to zakątek nie tylko mój, lecz także Jakuba. Wiedziałam, że kiedykolwiek tam się znajdę, zobaczę i usłyszę mojego syna. Jeśli wyjedzie, a wszystko na to wskazywało, będzie to miejsce, gdzie będę mogła w spokoju zapłakać.

Na wzniesieniu rozpościerał się wspaniały punkt widokowy. Był o wiele piękniejszy niż ten, który pokazałam Jakubowi. Lecz tutaj też go zabiorę. Pola, łąki i las widoczne w dali przypominały do złudzenia kolorową, pasiastą spódnicę.

Z rozpędem zjechałam w dół. Minęłam kościół w Hucie Różanieckiej, ruiny cerkwi i położony tuż obok porośły chaszczami stary unicki cmentarz. Teraz krótki odcinek lasu, za nim stawy i będę na miejscu.

Byłam w Rudzie Różanieckiej dawno temu, gdy zdawałam egzamin na przewodnika. Nie pamiętałam zbyt wiele o miejscu, do którego jechałam. Zamość miałam w przysłowiowym małym palcu ze względu na to, że mieszkałam tam i wciąż powtarzałam materiał, coraz bardziej go utrwalając, natomiast o Rudzie zapamiętałam wybiórczo parę rzeczy: płynęła tędy rzeka Różaniec, a dobra różanieckie należały od rozbiorów do Brunickich, a następnie Wattmannów. Po wojnie dobra zostały uwłaszczone, a właściciele wyjechali. Na tym moja wiedza się urywała. Zamierzałam ją uzupełnić, gdy tylko uporamy się z duchami przeszłości...

Szybko dojechałam na miejsce. Obiecywałam sobie, że będę jeździła wolniej, ale przyzwyczajenie okazywało się silniejsze.

Budynek otoczony był wysokim murem. Zaparkowałam samochód tuż przy murze, nieopodal zadbanej alejki obsadzonej kwiatami. Wysiadłam, dyskretnie rozglądając się wokół siebie. Było ciepło i ławeczki pod domem zapełniali podopieczni wystawiający twarze do słońca. Panie w białych kitlach, zgrabnie i bez większego wysiłku, popychały wózki z niepełnosprawnymi pensjonariuszami. W cieniu drzew pracowali mężczyźni w roboczych uniformach, niespiesznie zgrabiając opadające już liście. Potężne klony, jesiony i lipy rzucały cień na zabudowania pałacu. W głębi znajdował się park.

— Może w czymś pomóc? — Zapytał starszy pan grabiący liście, widząc, że rozglądam się dokoła.

— Dzień dobry — przywitałam się, a on ukłonił się i uchylił słomkowy kapelusz. — Gdzie znajdę dyrektora Agnieszkę Hadziewicz-Zerfass? Jesteśmy umówione na spotkanie.

— W dawnej oficynie pałacu. Z tyłu znajduje się jej prywatne mieszkanie.

Podziękowałam, chociaż pomoc nie była już potrzebna. Agnieszka dostrzegła mnie z daleka i szła mi naprzeciw. Rude włosy zaplotła w warkocz. Miała na sobie elegancką, czerwoną garsonkę, podkreślającą jej dziewczęcą wręcz figurę.

— Julka, tak się cieszę, że znalazłaś czas! — Uściskałyśmy się, jakby nasze spotkanie nie miało miejsca zaledwie wczoraj.

— Nie przeszkadzam ci?

— Ani trochę! Jestem do twojej dyspozycji. Może zostaniesz na noc? Mamy pokoje dla gości.

— Dzisiaj muszę wracać, ale z pewnością jeszcze będzie okazja.

Agnieszka objęła mnie ramieniem i poprowadziła w kierunku pałacu.

— A więc jesteś tu dyrektorem?

— Tak się złożyło — przyznała.

— Oprowadź mnie po swoim królestwie — poprosiłam. — Bardzo dawno tu nie zaglądałam.

— A kawa?

— Zaraz potem.

— Jak sobie życzysz. — Skręciłyśmy w bok w kierunku głównego wejścia. - Czym się teraz zajmujesz? Pamiętam, że marzyłaś o germanistyce.

— Masz dobrą pamięć. Do dzisiaj lubię język niemiecki, ale studiów na tym kierunku nie skończyłam. Zamieniłam germanistykę na historię, z tym że studiowałam zaocznie, kiedy byłam już mężatką i mamą. W dużym skrócie: zo-

stałam przewodnikiem. To moja prawdziwa pasja i zajęcie. Błado to wygląda przy twojej funkcji...

— Przestań, Julia, to przecież zupełnie nieważne — przystanęła i spojrzała mi w oczy. — Co się z tobą do cholery działo przez te dwadzieścia lat? Dlaczego nie dawałaś znaku życia, nie odpisywałaś na listy, dlaczego tak nagle zniknęłaś?

— To bardzo długa historia...

— Słyszałam, że... Podobno...

Uciekła wzrokiem w bok. Zagryzła usta, jakby żałując, że zaczęła ten temat.

— Niestety dobrze słyszałaś, Aga. Dwadzieścia lat temu zostałam zgwałcona. Dzisiaj rocznica.

Agnieszka bez słowa przytuliła mnie i pogładziła po włosach.

— Przepraszam — szepnęła.

— Nie musisz. Jestem dzisiaj silniejsza niż wtedy. Gdybyś zapytała mnie o to jeszcze tydzień temu, pewnie sprawiłabyś mi przykrość, ale ostatnio mój świat stanął na głowie i wiele się zmieniło, a ja nie mam nikogo, dosłownie nikogo, kto mógłby mnie tak do końca zrozumieć.

— Zawsze blisko ciebie była Natalia... — Oczy Agnieszki błyszczały od łez.

— Umarła podczas porodu, a ja wychowuję jej córkę. Ma jak ona na imię Natalia i mam z nią ostatnio same kłopoty — wyrzuciłam z siebie z goryczą. - Nie będę cię oszukiwać, przyjechałam, żeby wypłakać ci się na ramieniu...

— Tak się za tobą stęskniłam, przyjaciółko od serca! -Otarła łzy. — I ja mam ci wiele do powiedzenia. Nasza rozmowa zasługuje na bardziej intymne otoczenie... - Przy-

łożyła do ucha komórkę i wydała dyspozycje komuś po drugiej stronie, jak się domyśliłam, gospodyni.

— Proszę przenieść wszystko do mojego gabinetu — poprosiła. — Przyjdziemy za około piętnaście minut.

To miłe, że o tym pomyślała. Taras, na którym dostrzegłam nakryty odświętnie stolik, nie był dobrym miejscem na zwierzenia.

Weszliśmy do środka. W otoczeniu pałacu, a zwłaszcza w środku, bardzo wiele się zmieniło.

— Niedawno zakończyliśmy przebudowę oficyny. Wszystko musiało idealnie współgrać ze stylem architektonicznym pałacu...

— W końcu to zabytek — przyznałam. — Pięknie i nowocześnie. Podjazdy dla niepełnosprawnych. Winda.

— Wszystko zgodnie z najnowszymi standardami Unii Europejskiej — w głosie Agnieszki usłyszałam nutkę dumy. - Tu mamy salę gimnastyczną, tu gabinety do zabiegów fizykoterapii — otwierała kolejne pomieszczenia. — Dalej są pokoje administracyjne. A tam — świetlica, gabinety terapii zajęciowej i kawiarnia. I pokoje dla gości.

— Jestem pod wrażeniem — przyznałam.

Krętymi schodami wróciliśmy na parter i po przejściu długiego korytarza weszliśmy do gabinetu Agnieszki. Jego wystrój zadziwił mnie już od progu. Przypominał małą galerię sztuki. Ściany zdobiły obrazy. Rozpoznałam pejzaże, które wyszły spod pędzla jej mamy, oraz obrazy jej dziadka, także znanego malarza Rafała Hadziewiczza, z charakterystycznym dla jego twórczości „wilczym” motywem: wilki w stadach i wilk samotnik, najczęściej w nocnej scenerii, wyjące do księżyca.

— W ten sposób oboje zawsze są blisko mnie — powiedziała Agnieszka, wiedząc, że rozpoznałam, kto je namalował.

— Twój pradziadek zmarł, gdy byliśmy w pierwszej klasie liceum — przypomniałam sobie.

— Tak, bardzo przeżyłam jego odejście, chociaż dożył w zdrowiu sędziwego wieku. Nie myślałam wtedy, że kiedyś przyjdzie jeszcze gorszy ból... — Spojrzała na obraz Pauliny Hadziewicz, jej mamy.

— Parę dni temu zmarła babcia Marianna — powiedziałam.

— Bardzo mi przykro. Była cudowna, zupełnie jak mój pradziadek.

To prawda. Tylko ona wciąż odzywa się zza grobu... — pomyślałam.

— Pamiętam, jak opowiadał nam w szkole o powstańcach styczniowych. Myślę, że dzięki niemu polubiłam historię — powiedziałam głośno.

— Tak, świetny był z niego gawędziarz i zostawił po sobie wiele pamiątek. Kiedy adaptowałam to pomieszczenie na swój gabinet, urządziłam obok stałą wystawę. Pokazuję ją gościom, których interesuje ta tematyka i zdziwiłabyś się, jak wielu jest chętnych. Chcesz zobaczyć?

— Prowadź...

W pokoju obok, ściany także zdobiły obrazy Rafała i Pauliny Hadziewiczów, dziadka i wnuczki, ale oprócz tego ustawione były szklane gabloty różnej wielkości, skrywające noże, sztylety i szpady oraz broń palną, a także ubiory i wyposażenie powstańców styczniowych. Rozpoznałam ubiór, w którym pradziadek Agnieszki wystąpił podczas

spotkania z młodzieżą naszego liceum. Podeszłam do gabloty. „Mundur powstańca 1863. Czapka z czarnego sukna obszyta czarnym sztucznym barankiem z kokardą jedwabną

biało-niebiesko-karmazynową, czamara z ciemnogrnatowego sukna, ozdobiona na szwach czarną taśmą i kordonkiem, koszula »garibaldka« z jedwabiu amarantowego z czarnymi wypustkami, pas skórzany z klamrą z wyobrażeniem Orła i Pogoni, torba myśliwska skórzana, pod klapą gniazda na naboje, pochwa i sztylet z wygrawerowanym napisem »Swoim Wilkom wdzięczna Ojczyzna. 1863«, z boku kieszeń na manierkę, pas do torby pokryty zieloną taśmą...”

Ktoś zapukał do drzwi i do gabinetu weszła po chwili młoda dziewczyna z tacą.

— Jest nasza kawa! — Agnieszka oderwała mnie od gabloty i poprowadziła w kierunku aneksu wypoczynkowego. Usiadłyśmy w wygodnych fotelach przy stoliku. — Dziękujemy. Do odwołania nie ma mnie dla nikogo — zastrzegła. Dziewczyna skinęła głową, uśmiechnęła się i zamknęła za sobą drzwi. Zostałyśmy w pokoju same. Zapach kawy przyjemnie wypełnił gabinet. Poczułam się jak w domu. Nie myślałam jednak o domu przy ulicy Sadowej w Zamościu, lecz o słonecznej, staroświecko umeblowanej kuchni we Wrzosowiskach. Uśmiechnęłam się do Agi.

— Za spotkanie - wykonałyśmy toast filiżankami. — To która pierwsza?

— Nie występuję przed dyrekcją, znam swoje miejsce w szeregu - zażartowałam.

— Jak sobie życzysz. — Zmrużyła oczy, jak wtedy, gdy droczyłyśmy się o jakieś głupstwa w szkole. — Zresztą i tak

zamierzałam opowiedzieć ci wszystko na wstępie. Zauważyłam twoją minę, gdy przeczytałaś wizytówkę...

— Przyznaję, osłupiałam, gdy zobaczyłam twoje drugie nazwisko — Zeffass. Domyślałam się, że po mężu.

— Zgadza się. A wiesz, co jest w tym wszystkim najzabawniejsze? Zawiesiła głos i spojrzała na mnie uważnie. Zaprzeczyłam.

— Otóż zawdzięczam je tobie, Julka... Pamiętasz nasze ostatnie spotkanie?

— Matura 1993, może chwila po niej.

— Ten rok był przełomowy w moim życiu... — Agnieszka odstawiła filiżankę, wstała i podeszła do zabytkowego sekretarzyka. Wyjęła coś z szuflady. Ja w milczeniu dopiłam swoją kawę. Czułam, jak cała sztywnieję i zaczynam drżeć. Niewinne wspomnienia znowu cofały mnie do wydarzeń, o których nie chciałam pamiętać, lecz one wracały z uporem jak bumerang...

— Od dziecka uwielbiam starocie, zbieram wszystko, co tylko wpadło mi w ręce.

— Pamiętam — przyznałam.

— I dzięki temu, wciąż mam to. — Usiadła w fotelu i podała mi widokówkę. Rozpoznałam widoczek. Miasteczko Landsbergam Lech, a na odwrocie niemiecki znaczek pocztowy z wyraźną datą nadania 13.08.1993. Poznałam swoje pismo. „Aga! Pozdrowienia z Niemiec. Jest mi tu wspaniale, ale bardzo za wami tęsknię — za tobą i Natką. Napisz, co u ciebie słychać, czekam i ściskam! Julka.” Na dole podałam adres: Zeffassowie. Schloß Igling. Germany.

— Pamiętasz?



— Tak, bardzo dokładnie.

— Nie domyślasz się, co się wydarzyło?

— Odpisałaś?

— Tak, ale ty wyjechałaś, zanim moja odpowiedź trafiła pod ten adres. Po pewnym czasie otrzymałam sympatyczne pozdrowienia od twojego kuzyna Filipa Zerfassa i tak od słowa do słowa, od kartki do listu poznałam swojego przyszłego męża, oczywiście w ogromnym skrócie...

— Kuzyna? Nigdy go nie poznałam.

— Wiem. Nie miałaś okazji, ponieważ przez wiele lat był za granicą i wrócił do Niemiec właśnie w tamte wakacje.

— Cudowny zbieg okoliczności... — skomentowałam trochę niegrzecznie, ale Agnieszka nie zwróciła na to uwagi. Myślami była teraz w 1993 roku...

— Pojawienie się Filipa w moim życiu, było mimo wszystko szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

-Było...

Agnieszka posmutniała.

— Od wielu lat jesteśmy po rozwodzie. A ja, głupia, wciąż za nim tęsknię. Gdyby nie ta stara wiedźma, Urszula, wszystko byłoby inaczej... — Patrzyła gdzieś ponad moją głowę.

— Aga, powoli, bo trochę się pogubiłam... Napisałaś Ust do mnie, a odpowiedział Filip...

— Zaczęliśmy korespondować. Mam do dzisiaj wszystkie jego listy. Nie umiałam oprzeć się słowom, a potem, gdy go poznałam... — Uśmiechnęła się. — To było, jakby uderzył we mnie piorun. Zakochałam się w nim po prostu bez pamięci, a gdy poprosił mnie o rękę, od razu się zgodziłam. Tylko mama nigdy go nie polubiła, a ja do dzi-

siaj nie mogę pojąć dlaczego. Miałam jej to za złe i gdy postawiła mnie przed wyborem Filip albo ona, wybrałam jego... Wyprowadziłam się z domu i zostawiłam ją samą z chorym bratem...

Spojrzała szklanymi oczami na pejzaż Pauliny Hadziewicz.

— Taka ze mnie córka... — szepnęła.

Przed oczami stanęła mi natychmiast Emilia Sokół. Ja też miałam sobie wiele do zarzucenia, tylko w przypadku męża, czułam coś zupełnie innego niż dotychczas.

— Aga, spokojnie. Nie da się w życiu zadowolić wszystkich oczekiwań naszych bliskich. Nawet nie wiesz, jak bardzo nasze wybory sprzed lat są do siebie podobne...

— Tak, z pewnością — uśmiechnęła się. — Ale dlaczego tak jest, że po latach ogromnego szczęścia oraz spełnionych marzeń przychodzi smutek, rozczarowanie i szarość codziennego dnia?

— Nie wiem, kochana. Tak po prostu jest...

Agnieszka w odpowiedzi tylko się zaśmiała, a w śmiechu tym była ogromna gorycz. Widziałam, jak na moich oczach rozsypuje się, rozkleja i po pewnej sobie kobiecie nie zostaje ślad, zamienia w dawną romantyczkę, która marzyła o wielkiej i prawdziwej miłości... W moim przypadku było dokładnie odwrotnie. Zwierzenia Agnieszki uzmysłowiły mi, że teraz ja dobiegłam w życiu do jakiejś mety i wszystko wskazywało na to... tak czułam... że rozpoczyna się w moim życiu prawdziwie szczęśliwy czas, gdy wszystko, absolutnie wszystko, jest możliwe...

Uznałam, że czas na moje zwierzenia, by uzmysłwić jej, że wspomnienia mogą być o wiele bardziej przerażają-

ce, znacznie gorsze, ale Agnieszka pozbierała się, osuszyła opuszkami palców kąciaki oczu i mówiła dalej, jakby chciała wszystko wyrzucić z siebie.

— Mam z Filipem córkę, która nie chce mnie znać. Ma na imię Ingrid. Wybrała ojca i mieszka z nim w Iglingu. Nie dopuszcza mnie do swojego życia. To chyba kara za to, że ja także porzuciłam kiedyś swoją matkę. Teraz mnie spotyka to samo. Czasami do mnie dzwoni, rzadziej odwiedza. Niedawno powiadomiła mnie telefonicznie, że niedługo wychodzi za mąż. Podobno Eryk Zerfass jest umierający i sporządził testament, w którym zapisał swoją część Schlos Igling synowi — Jakubowi. Filip ma nadzieję, że Ingrid i Jakub pobiorą się i przywrócą temu miejscu dawną świetność — ciągnęła, nie zwracając uwagi na moją minę. Słuchałam i nie mogłam uwierzyć. — Osobiście nie mam nic przeciwko Jakubowi. Widziałam go kiedyś, gdy spotkaliśmy twojego wujka i ciotkę w Monachium. Ładny chłopiec i ma takie piękne, czarne oczy, nigdy takich nie widziałam... Ale przecież to twoja rodzina, z pewnością lepiej go znasz... Julka, dobrze się czujesz? — Spojrzała na mnie z niepokojem.

— Przepraszam, muszę napić się wody — poczułam suchość w ustach.

Agnieszka zerwała się z fotela i napełniła szklanekę stojącą nieopodal mineralną.

— Pij proszę. Już lepiej?

Wychyliłam duszkiem całą szklanekę. Przed oczami wirowały mi kolorowe plamy. Zrobiłam głęboki wdech.

— Jakub nie jest synem Eryka i Sabiny...

— Wiem. Adoptowali go - przyznała.

— Widzisz, Agnieszko... — Spojrzałam jej w oczy. Jej twarz nie miała wyraźnych konturów. — Jakub jest moim dzieckiem. Ja go urodziłam.

## **Tobiasz**

— Witaj, Tobiaszu!

Andrzej Albero stanął w drzwiach nowej plebanii, w której na co dzień urzędował. Rano odprawiłem na jego prośbę mszę, bo musiał pilnie wyjechać do Zamościa. Przyjechał około południa i nie wychodził z plebanii.

— Nie przeszkadzam?

— Ależ skąd! — Zaprosił mnie do środka serdecznym gestem dłoni. — Mam wobec ciebie kolejny dług wdzięczności. Płacę teraz cenę za długą nieobecność w parafii. Nazbierało się tyle spraw, że dosłownie tonę w papierach

— westchnął głośno. — Ale chętnie zrobię sobie przerwę

- zapewnił. - Wejdz, proszę, i rozgość się. Zaparzę kawę i zaraz przychodzę. Daj mi pięć minut!

Wszedłem do salonu. Drzwi wychodziły na taras. Okna były otwarte i do środka wpadało ciepłe, letnie powietrze. Obok znajdował się gabinet księdza. Na stole piętrzył się stos kopert i leżały pootwierane księgi rachunkowe.

— A zatem przeszkadzam — powiedziałem do siebie. Ale skoro już tu jestem, to zapytam. Usiadłem w fotelu i czekałem na młodego proboszcza, wesoło pogwizdującego w kuchni znaną melodię z San Remo... Miał w sobie dużo energii i pogody ducha. Jak to Włoch.

Spałem bardzo krótko. Sen przyszedł nad ranem i był spokojny. Niczego niepokojącego nie zapamiętałem, chociaż z pewnością o czymś śniłem. Wszystko powoli wracało do normy. Czułem dziwny spokój przed wyprawą na Czartowe Pole. Modlitwa jest najsilniejszym orężem przeciwko złu i z Bożą pomocą zdejmujemy klątwę. Tylko sztylet przekazany mi przez Emilię nie dawał mi spokoju: „Swoim Wilkom wdzięczna Ojczyzna. 1863”. Powstanie styczniowe. Ale „Wilki”? W dzienniku „Sarny” pojawiał się pseudonim „Wilk”, ale był to czas wojenny. Być może o czymś nie wiedziałem. Zawsze w takim przypadku sięgałem po książki lub konsultowałem się z Julią. Teraz nie miałem dostępu do biblioteki, na wyjazd do Książnicy Zamojskiej nie było czasu. Julia miała teraz syna. Poza tym powrót w miejsce, gdzie spotkało ją coś tak potwornego, już wystarczająco ją niepokoił. A przede wszystkim, co musiałem ze skruchą przyznać, coś mnie w jej zachowaniu niepokoiło, a nawet onieśmiało. Przystępując do modlitwy za udręczone dusze zmarłych musiałem mieć czyste myśli i serce. Znalazłem inne rozwiązanie. Postanowiłem zajrzeć do Internetu. Zauważyłem komputer na plebanii i postanowiłem skorzystać z uprzejmości księdza Andrzeja. Franciszek, gdy powiedziałem mu dokąd idę, ironizował, nieco złośliwie, że Albero wyjdzie na zdrowie, jak go na chwilę wyrwę z sieci.

— Skaranie Boskie z tym całym Internetem! Już nie raz bywało, że ksiądz Andrzej o mszy zapomniał, jak się z kawa i papierosem przed tym swoim komputerem rozsiadł!

Wyszedłem, nie komentując, chociaż stary kościelny znowu mnie rozbawił.

Andrzej postawił tacę na stoliku i usiadł na drugim fotelu, gestem wskazując, bym się częstował. Kawa pachniała wspaniale i nie trzeba mnie było namawiać. Wrzuciliśmy do filiżanek po kostce cukru. Albero uzupełnił ją mlekiem i energicznie zamieszał.

— Rozumiem, że wpadłeś pogadać, bo usychasz z nudów przy tym zrzędzie Franciszku — zaśmiał się i upił łyk kawy.

— Nie, to zupełnie inna sprawa. Chciałbym skorzystać z Internetu, jeśli to nie problem...

— Bardzo proszę — wstał z fotela i włączył stojący na biurku komputer. — W dzisiejszych czasach nie sposób się bez niego obejść.

Miałem w tej kwestii odmienne zdanie, ale nie chciałem wchodzić w dyskusję.

— Kiedy wracasz do Monachium? — Wyciągnął z napoczętej paczki papierosy, wykrzesał płomień z zapalniczki i z widoczną przyjemnością zaciągnął się papierosem.

— Został mi tydzień urlopu.

— Powinieneś intensywnie wykorzystać ten czas i solidnie odpocząć. A w przyszłości, skoro lubisz te nasze wiejskie klimaty, zapraszam cię w gości. Zatrzymasz się tutaj, a nie w starej plebanii. Mam tu wszystko, czego potrzebuje cywilizowany człowiek wraz z dostępem do Internetu. — Zaśmiał się.

Ekran komputera zamrugał i po chwili był gotowy do pracy.

— Dziękuję, z pewnością skorzystam — zapewniłem.

— W takim razie trzymam cię za słowo i nie przeszkadzam. — Zgasił w popielniczce papierosa i natychmiast wyciągnął następnego. — Wracam do papierów.

Poszedł, a ja dopiłem kawę i usiadłem przed komputerem. Wpisałem w wyszukiwarkę „sztylet” i zacząłem przeglądać zdjęcia. Szukałem podobnego do tego, który wyjęła ze skrzyni Emilia i po chwili znalazłem: „Sztylet uszaty, Europa Zachodnia, XVI w. Broń wykształcona pod wpływem broni orientalnej, zwany również przez swoje pochodzenie sztyletem lewantyńskim. Charakteryzował się głowicą w formie dwóch rozchylonych od siebie kolistych tarczek oraz głownią zwężającą się dopiero na wysokości sztychu. Nazwa sztyletu wywodzi się od włoskiej nazwy *stiletto*, oznaczającej właśnie formę tej broni”.

Zapisałem obrazek na pulpicie i spojrzałem na pozostałe linki. Było ich bardzo dużo. Do wieczoru było jeszcze sporo czasu. Spojrzałem w kierunku drzwi, za którymi pracował Andrzej. Były otwarte, a z pomieszczenia wydobywała się mgielka papierosowego dymu. Andrzej porządkował papiery. Postanowiłem zostać jeszcze chwilę, tym bardziej, że temat zaczynał mnie coraz mocniej intrygować. „Już w czasach Jezusa w Palestynie działali sykariusze — żydowscy bojownicy, którzy za pomocą sztyletu zwanego *sicarius* mordowali kolaborantów na rzymskich usługach. Podobno biblijny Judasz Iskariota był jednym z zabójców, stąd jego przydomek. ..”

Uznałem, że to coś dla mnie. Otworzyłem stronę i zacząłem czytać.

## Julia

— To nieprawdopodobne... - Teraz Agnieszka siedziała w fotelu, a jej oczy przypominały spodki od filiżanek. Gdyby nie okoliczności, z pewnością rozbawiłby mnie ten widok. Ale tak jak jej, nie było mi do śmiechu. Opowiedziałam jej o wszystkim, poczynając od mojej kłótni z Adamem w maju 1993 roku do pogrzebu babci Marianny, podczas którego dowiedziałam się, że mam syna. Oszczędziłam jej tylko planowanego na dzisiaj wyjścia na Czartowe Pole i głosu zza grobu, który nami kierował. I tak to, co się wydarzyło, przypominało fabułę nieźle pokręconego filmu fantasy, który pojąć mogli jedynie moi bliscy.

— Nie wiem, co powiedzieć... Julka, teraz mi wstyd, że tak się rozczulam nad swoim życiem. Wszystkie moje problemy nie znaczą nic, przy tym, co przeżyłaś...

— Nie mów tak, Aga. Życie piętrzy przed każdym z nas najróżniejsze przeszkody. Ważne, by mieć kogoś, komu można zaufać i zrzucić ciężar, przedyskutować wątpliwości. Nawet nie wiesz, jak wiele to dla mnie znaczy, że mogłyśmy się spotkać.

— Przestań, proszę, bo znowu będę płakać. — Uścisnęła moje ręce.  
— Teraz już będziemy się spotykać, jak tylko pozwolą nam okoliczności.

— Obiecuję...

Ktoś zapukał do drzwi. Po chwili stanęła w nich ta sama dziewczyna, która przyniosła nam kawę.

— O co chodzi? Przecież prosiłam, żeby nikt nam nie przeszkadzał — powiedziała ostro Agnieszka. Dziewczyna nie spieszyła się, jakby przyzwyczajona do wybuchów szefowej.



— Przyjechał komisarz Krzysztof Zarębski. Mówi, że to pilne i chce się z panią natychmiast spotkać.

— Dobrze. Poproś, żeby zaczekał. Za chwilę do niego wyjdę.

Dziewczyna skinęła głową i zamknęła drzwi, a ja wstałam z fotela. Nazwisko Krzysztofa ożywiło ostatnie wydarzenia: nieodpowiedzialny postępek Natalii, bójkę Krzysztofa i Jakuba oraz makabryczne znalezisko w lesie nieopodal kamieniołomów. Musiałam zamienić parę słów z Krzysztofem i z pewnością wykorzystam nadarzącą się okazję.

— Julka, przepraszam, ale muszę z nim porozmawiać. To bardzo ważne.

— Oczywiście, rozumiem. I tak muszę już jechać. Zdzwonimy się.

Uściskałyśmy się.

— Odprowadzę cię.

— Nie trzeba — powstrzymałam ją. — Mam do ciebie jeszcze małą prośbę... Czy mogę zamienić parę słów z komisarzem, zanim tu wejdzie?

— Znacie się?

— Prowadził śledztwo w związku z Natalią. Agnieszka kiwnęła głową.

— Oczywiście, Julka. Jak długo zechcesz. Zresztą domyślam się, z czym przychodzi i najchętniej cofnęłabym czas. W czerwcu tego roku zaginął pewien człowiek, a dokładnie wujek Filipa. Nie chciałam go tutaj, ale jak już wiesz, mam słabość do mojego byłego męża i zgodziłam się. A teraz za to płacę.

— Może go znaleźli...

— Też tak myślę, ale skoro komisarz przyjechał do mnie sam, to znaczy, że on nie żyje.

Świat jest jednak bardzo mały — pomyślałam. — Czyżby znaleziona w lesie ręka należała do krewnego Zerfassów?

— Trzymaj się i do zobaczenia.

— I ty także.

W korytarzu stanęłam twarzą w twarz z Krzysztofem. Komisarz nie spodziewał się takiego rozwoju wypadków. Zesztywniał i poczerwieniał na twarzy. Bez zbędnych słów przeszłam do rzeczy.

— Chcę wiedzieć tylko jedno... — Przycisnęłam wskazujący palec do jego piersi. — Zabezpieczyłeś się?

Krzysztof otwierał i zamykał usta, jakby brakowało mu powietrza. Patrzyłam mu prosto w oczy.

— Wiem o wszystkim. Mów natychmiast. I nie kłam. To zbyt ważne... A zatem? Zabezpieczyłeś się? — Powtórzyłam pytanie.

— Tak - wydusił szeptem.

Odeszłam, nie oglądając się. Wierzyłam mu i poczułam ulgę. Mogłam teraz bez przeszkód pójść na Czartowe Pole.

## **Tobiasz**

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...

To Jakub czy tylko mi się wydaje? Oderwałem wzrok od ekranu komputera. Internet rzeczywiście był niebezpieczny, pożerał czas i rzeczywistość.

— Na wieki wieków amen — odpowiedział Andrzej, wychodząc z zadymionej kancelarii. Pośpiesznie wyłączyłem komputer.

— Pan kościelny skierował mnie tutaj. Chciałem rozmawiać z księdzem Tobiaszem...

— Witaj, Jakubie. To mój podopieczny, Jakub — przedstawiłem go Andrzejowi. - Wnuk Emilii Sokół z Wrzosowisk.

Kuba uśmiechnął się.

— Ksiądz Andrzej Albero, tutejszy proboszcz - uścisnęli sobie dłonie.

— Czy coś się stało? — zaniepokoiłem się.

— Nie, wszystko w porządku. Chciałem tylko z księdzem porozmawiać.

Nie musiał niczego więcej wyjaśniać.

— Dobrze się składa. Odprowadzę cię do Wrzosowisk, porozmawiamy po drodze. Chyba że będę ci jeszcze dzisiaj potrzebny? - Spojrzałem na Andrzeja.

— Muszę powoli radzić sobie sam! Wypoczywaj i o nic się nie martw. I raz jeszcze dziękuję za pomoc.

— A ja za udostępnienie komputera i najlepszą włoską kawę.

— Drobiazg — zaśmiał się. — Zapraszam, w każdej chwili. Pożegnaliśmy się, a ksiądz skierował się do kuchni, z pewnością po nowy zapas kawy i papierosów. Przed kościołem urzędował Franciszek. Zgrabiał wyschlą trawę i opadłe liście i ładował je na taczkę.

— Franciszku, idę do Wrzosowisk i wrócę dość późno. Nie czekaj na mnie z kolacją.

— Wedle życzenia! - odburknął. Nie był w dobrym humorze. Albero wyznaczył mu na dzisiaj wiele zadań. Słońce prażyło wręcz niemiłosiernie i widziałem, że starszy pan z trudem się poruszał, ale zacięty wyraz twarzy wskazywał

na to, że zrobi, co musi, choćby miał to przyplacić słonecznym udarem.

— Szczęść Boże — powiedział Jakub, ale kościelny nie odpowiedział. Może nie dosłyszał.

Minęliśmy kościół i weszliśmy w las porastający Księżą Górkę. W dole płynęła Czarna Rzeczka, która łagodnie wpływała do Sopotu i przecinała wraz z nim Roztocze. Potem obie wpadały do Tanwi.

## **Julia**

Widok ze szczytu wzniesienia w Hucie Różanieckiej był przepiękny i sięgał znacznie dalej niż ten, który pokazałam niedawno Jakubowi. Przy bezchmurnej pogodzie można było zobaczyć oddalony o sto kilometrów Lwów. Ten skrawek Galicji należał przed wojną do województwa lwowskiego.

Musiałam ochłonąć po rozmowach z Agnieszką i Krzysztofem, wszystko sobie poukładać. Zatrzymałam samochód na poboczu wzniesienia, niedaleko pomnika poświęconego pomordowanym w czasie wojny mieszkańcom okolicznych miejscowości, wysiadłam i stałam nieruchomo, wpatrując się w dal. Nie wiedziałam, co mam o tym wszystkim myśleć.

Rozmowa z Agnieszką pozwoliła mi zrzucić z siebie wielki ciężar, uzewnętrznić tłoczące się emocje. Nie mogłam powiedzieć jej wszystkiego, ale i tak czułam się znacznie lepiej. Jednych spraw się pozbyłam, inne rozsadzały mi głowę. Zwłaszcza te dotyczące Zerfassów. Gdzieś

tam, w Iglingu, w zamku grafów von Maldeghem mieszkali krewni wuja Eryka, którzy mieli poważne plany wobec mojego syna. Planu matrymonialne! Jakub — wiedziałam to — nie zmienił zdania i zamierza wyjechać. Po pierwszym żalu i buncie, że go znowu stracę, miałam zamiar zacisnąć zęby i pozwolić mu wyjechać, ale teraz pomyślałam o czymś, czego wcześniej nie brałam pod uwagę. Pojadę razem z nim do Monachium i spotkam się z wujem. I tego zamierzałam się trzymać!

Wzięłam głęboki oddech i wsiałam do samochodu. Chciałam, żeby nadchodzący wieczór jak najszybciej się skończył. Z dużą prędkością zjechałam ze wzniesienia.

## **Tobiasz**

Zeszliśmy w dolinę Sopotu. Upał bardzo mi dzisiaj doskwierał. Od rana chodziłem w sutannie ze względu na mszę, którą odprawiałem. Jakub znosił upał znacznie lepiej, ale w jego wieku to raczej normalne.

— Niepokoisz się tym, co mamy zaplanowane, Jakubie?

— Właściwie nie. Bardziej martwię się o mamę.

— Trochę zdziwiła mnie twoja wizyta na plebanii — przyznałem. — Dlaczego nie jesteś teraz przy niej?

— Nie ma jej we Wrzosowiskach, ale obiecała, że wróci na czas. Pojechała spotkać się z dawno nie widzianą przyjaciółką, ale mam zachować to w tajemnicy przed babcią...

— Dlaczego? — nie rozumiałem.

— Podobno babcia jej nie lubi i mama nie chciała jej denerwować. Zostawiła jej kartkę, że oprowadza turystów po

Roztoczu, ale babcia chyba nie uwierzyła i czułem, że znowu prześwietli mnie na wylot, a ja nie umiem kłamać, więc zwyczajnie stchórzyłem i przyszedłem do księdza.

— Ale powiedziałaś Emilii dokąd idziesz?

— Tak. Wie, gdzie jestem.

— To jedyny powód?

— Nie, proszę księdza.

Chwilę szliśmy w milczeniu. Wodospady na Sopotcie szumiały coraz głośniej.

— Chodźmy się przejść nad rzeką. Niedługo wyjeżdżamy i chciałbym zapamiętać każdy szczegół.

— Myślę, że to dobry pomysł.

Po rezerwacji spacerowali grupkami spragnieni chłodem i wody turyści. Doszliśmy do ruin papierni. Jakub przystanął i z uwagą przyglądał się malowniczym ruinom.

— Co ksiądz wie o tym miejscu? Nie miałem odwagi zapytać o to mamy.

— Produkowano tutaj papier. Zresztą wszystko jest napisane na tablicy.

— Ale ja wolałbym posłuchać.

— Wiem, że ruiny porasta bardzo rzadka paproć... i że papiernia powstała w XVIII wieku. Do produkcji papieru oprócz drewna potrzebowano właśnie wody. Nie było przecież prądu, a ludzie byli bardzo pomysłowi i doceniali siłę rzeki. Sopot spełniał wszystkie warunki. Był szybki jak górski potok i z łatwością napędzał koło wodne. Wcześniej, zanim wybudowano papiernię, w okolicy działał zakład metalowy zwany hamernią.

— To nazwa osady położonej w sąsiedztwie Wrzosowisk — zauważył Jakub.

— Zgadza się. Podobnie było w przypadku wielu innych miejscowości, które nazwy brały od istniejącej tam huty czy rudarniowych. Papiernia nad Sopotem posiadała dwa młyny papiernicze. Jeden ciął szmaty, drugi przecierał je na masę. Właściwy papier czerpano ręcznie, na potrzeby miejscowych drukarni, ordynackich kancelarii czy klasztornych ksiąg. Załogę papierni stanowili w większości niemieccy majstrowie papierniczy. Zniszczyły ją kolejne pożary, aż stała się częścią rezerwatu. To chyba wszystko, co zapamiętałem.

— Dużo ksiądz na ten temat wie.

— Był czas, kiedy trochę się tym interesowałem. Lubiałem tutaj przyjeżdżać i jednocześnie wiedzieć, na co patrzę. Tak jest do dzisiaj.

Pomyślałem o swoich poszukiwaniach w Internecie, i dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy, którymi chętnie podzieliłbym się z Jakubem, gdyby nie to, że dałem słowo Emilii. Będziemy mieli o czym rozmawiać podczas długiej podróży do Monachium. Może w ten sposób osłodzę mu rozstanie z odzyskaną matką.

— Wczoraj mama zostawiła mi książkę — odezwał się Jakub. — Czytałem ją niemal po świt, a gdy zasnąłem, zakradła się w mój sen. Zobaczyłem ojca w bibliotece, którą mi pokazał przed wyjazdem. Siedział w swoim inwalidzkim wózku twarzą do regałów z książkami. Podeszedłem do niego i dotknąłem jego ramienia. Obróciłem wózek i spojrzałem mu w twarz. Miał zamknięte oczy, jakby umarł, a na czole wypalony znak. Literę H. Wtedy się obudziłem.

— Domyślam się, że ta litera coś oznacza?

— Tak. Hexen. W dużym skrócie — komando Heinricha Himmlera do spraw czarownic. O tym właśnie przeczy-

tałem w tej książce. Ale to nie wszystko. Pamięta ksiądz pozostałe książki, które zabrałem na drogę?

— Tak. Jedną z nich zdążyłem przeczytać w autobusie.

— Wśród nich jest Biblia ojca z zaznaczonymi fragmentami z Listów świętego Pawła Apostoła, które także mnie zastanawiają, ale teraz zauważyłem coś jeszcze, że mają wypisaną na grzbietach dużą literę H. Nie wiem, co mam o tym myśleć.

— Z pewnością jest na to jakieś wyjaśnienie, może nawet prostsze, niż nam się wydaje.

— Kiedy telefonował ksiądz ostatnio do ojca?

— Przed tygodniem. Czuł się dobrze, jeśli o to pytasz. Wydawał się nawet... wesoły. Nie słyszałem w jego głosie tej powagi i smutku, z którymi nas żegnał.

— Mówił mu ksiądz o Wrzosowiskach?

— Tak. Powiedziałem mu o zmianie naszych planów, lecz o nic więcej nie pytał. Kazał cię pozdrowić i zapewniał o dobrym samopoczuciu. Jeśli chcesz z nim porozmawiać, możemy zadzwonić.

— Nie, to chyba zły pomysł. Chyba nie wiedziałbym, co mam mu powiedzieć.

— Najlepsza jest rozmowa w cztery oczy — przyznałem. — Cierpliwości, Jakubie. Już niedługo wyjaśnicie sobie wszystko. Chodźmy już. Po drodze wstąpimy na cmentarz i pomodlimy się za naszych zmarłych, a potem chętnie zerknę na książki. Może Julia już wróciła do domu i wypatruje sobie za tobą oczy.

— Ja też już się za nią stęskniłem, a przecież wciąż jestem bardzo blisko.

— Wszystko się uda, Jakubie - zapewniłem.



I mówiłem szczerze. Nie mogło być inaczej. Czy Marianna wkrótce się odezwie? Obiecała, że powie mi o czymś bardzo ważnym. Nie miałem innego wyboru, jak spokojnie czekać.

Wolnym krokiem szliśmy do Wrzosowisk.

### **Czartowe Pole, sierpień 2013 Julia**

Unikam wzroku Tobiasza, tak jak on mojego.

— Niebo czerwienieje... Już czas — mówi.

— Napijmy się przed drogą...

Mama nabiera z wiadra świeżej, źródlanej wody i podaje księdzu, który wypija do dna. Czuję suchość w ustach, narasta pragnienie. Mama, jakby odgadując moje myśli, wręcza mi kubek. Przelykam krystalicznie zimną wodę, chociaż zwykle tego nie robię. Smakuje mi bardzo. Jest wspaniała. Jakuba nie trzeba namawiać. Zanurza kubek w wiadrze i pije, głośno przelykając. Po nim Józef, lecz tylko parę łyków. Mama wyjmuje mu kubek z rąk. Ona nie pije wcale.

— Chodźcie za mną... — prowadzi nas ksiądz.

### **Tobiasz**

Przy studni słyszę ponownie głos Marianny. —*Jest pewien sposób Tobiaszu. Pognasz go tylko ty. I tylko ty podejmiesz decyzję. Oto on...*

## **Emilia**

Tobiasz zaciska dłonie na cembrowinie studni. Z jego twarzy odpływa cała krew.

— Co się stało, synku? — pytam, przeczuwając najgorsze.

— Módl się za mnie, mamó... — szepcze drżącym głosem.

— Robię to codziennie od dwudziestu lat i tak będzie zawsze!

Podchodzę do niego i kreślę na jego czole znak krzyża.

— Nie pozwolę, żeby coś ci się stało, synku... — składam obietnicę.

Lecz od tej chwili niewiele zależy ode mnie...

## **Natalia**

— *Obudź się, Natalio!*

— Co się stało? Gdzie jestem? — Z trudem otwieram oczy i unoszę głowę. Wszystko wokół wiruje. Próbuję zebrać myśli, ale niewiele rozumiem. Łóżko faluje.

— *Już czas... Już czas... Już czas...*

Znowu ten cholerny głos... Wciąż go słyszę. Dudni mi w głowie, jak echo. Pojawia się i znika. Steruje mną, a ja nie umiem się mu oprzeć. A teraz przegonił mój sen... Jak się go pozbyć? Drażni mnie, przytłacza... Mam go dość! Błagam, nie teraz! Teraz chcę spać. Chcę zostać w moim śnie. Biec za Jakubem, zatrzymać go, utonąć w jego ramionach i pozwolić się całować. Nie pozwolę mu odejść!

— *Wstań i włóż ją, Natalio...*

Co znowu? Co mam włożyć? Nie wstanę! Jakaś siła podnosi mnie z łóżku, jakby na plecy napierał silny wiatr. Nogi zsuwają się na podłogę. Koniuszki palców wędrują w górę, jakby ktoś zawiązał na nich niewidzialne sznureczki. Coś zsuwa ze mnie koszulę. Stoję naga. Czuję na ciele powiew chłodnego powietrza. Drzę. Wiatr szarpie koronkową firanką. To nie firanka, tylko sukienka. Ślubna, koronkowa sukienka. Okno zatrzaskuje się z hukiem, szyby dźwięczą, jakby miały się rozpaść... Trzeba je zamknąć, myślę, lecz nie mogę się ruszyć. Moje ramiona tańczą, opadają i wznoszą się. Świat tonie w bieli. Nic, tylko śnieżna biel, aż po horyzont. Dłonie opadają. Skrzypią drzwi otwartej na oścież szafy. Na wewnętrznej stronie znajduje się lustro.

— *Wyglądasz pięknie, córeczko...* — Biała, koronkowa sukienka opina moje ciało.

— Mama?! Już się na mnie nie gniewasz?

Kobieta w lustrze uśmiecha się smutno. Ma piwne oczy, dwa czarne warkoczki, czerwony szal na ramionach.

— *Biegnij, już czas.*

— Dokąd, mamo? — wzruszenie zaciska mi gardło. Boję się poruszyć, by jej nie spłoszyć. Ona stoi za mną. Moja prawdziwa mama.

— *Biegnij, oni czekają...* — w dłoniach trzyma opleciony wstążką kapelusz.

— Ale... — Patrzę, jak delikatnie wkłada mi go na głowę. Poprawia mi włosy. Jakby bawił się nimi wiatr.

— *już czas... Już czas!*

Dolina rzeki Sopot tonie w promieniach zachodzącego słońca. Idę drogą w ciepłym uścisku purpurowej po-

światy sączącej się z nieba. Wokół mnie nie ma nikogo. Nawet ptaki umilkły. Tylko Sopot szumi. Moje rozpuszczone włosy falują na wietrze. Pod stopami rozpościera się coraz dorodniejszy dywan wrzosów. Czerwona kula słońca opada dostojnie z za wierzchołków drzew. Jestem na miejscu... Czartowe Pole... Słyszę donośny szum drzew. Ich korony gną się nad polaną w skrzypiącym ukłonie.

Stryj leży na wrzosach. Nad nim Julia i Jakub. Ich dłonie są czerwone od krwi, która wypływa z jego rany. Usta Jakuba poruszają się w modlitwie. Dziadek Józef płacze, trzymając się za serce. Tylko babcia Emilia patrzy w las. Dostrzega mnie. Uśmiecha się i przywołuje dłonią. Podchodzę, a oni rozstępują się przede mną. Niebo zasłaniają czarne, burzowe chmury. Z oddali dobiega ponury odgłos niebios. Wiatr wzmaga się, porywa do tańca ślubną suknię mamy. Rozwiewa włosy.

Jestem posłuszna. Pochylam się nad stryjem Tobiaszem i kładę dłonie na jego piersi. Wypowiadam nieznane mi słowa.

— Atta unsar pu in himinam, weihnai namo fjein, qimai Jpiudinassus peins, wairzai wilja tjeins, swe in himina jah ana airfjai, hlaif unsarana pjana sinteinan gif uns himma daga...

Rana zasklepia się. Moją dłoń przykrywają dłonie pozostałych. Czarne oczy Jakuba, patrzą na mnie z wdzięcznością. Z mroku wyłania się księżyc.

## Jakub

- Natalia!

- *Ona śpi Jakubie!* — ostrzega głos. — *Nikommu nie wolno jej zbudzić.*

Niebo zasnuwa czarna wata chmur. Groźny pomruk zagłusza szum wodospadów na Sopocie. Niebo przecina błyskawica. Jedna. Druga. Trzecia... Niebieski pocisk uderza w ziemię... Po nim jeszcze jeden i jeszcze... Wiatr dławi oddech, deszcz wdziera się pod powieki, wrzosa spijają wilgoć po długich dniach suszy.

Biała suknia Natalii znika wśród drzew. Kolczaste krzaki jeżyn ranią bosa stopy. Muszę ją ochronić! Zaciskam zęby i przedzieram się dalej. Las zasłania Natalię parawanem zielonego gąszczu. Pioruny uderzają na oślepa. Czy przyjdzie mi tu zginąć, teraz, gdy poznałem prawdę? Jak mam ją chronić? Przed czym, na Boga?

Zerwany podmuchem wiatru kapelusz Natalii, przetacza się przez wrzosowiska. Ona biegnie dalej. Kapelusz balansuje bezradnie, zawieszony na kolczastym bastionie jeżyn. Nagle ktoś wyłania się z gąszczu i wyrywa zdobycz spomiędzy zaborczych splotów leśnego krzewu.

— Natalia! Nataaaliaaaa! — krzyczy.

Usłyszała. Zatrzymuje się. Szuka wołającego wzrokiem. Już wiem, co muszę zrobić. Biegnę zupełnie na oślepa. Udało się. Powalony na ziemię komisarz napina mięśnie. W jednej dłoni kurczowo zaciska kapelusz, drugą sięga po służbową broń.

— Ona nie może się obudzić! — krzyczę mu wprost do ucha. — Nie zatrzymuj jej!

Postać pode mną nieruchomieje.

— Jakub? — słyszę stłumione pytanie. Krzysztof leży twarzą do ziemi. Mógłby mnie strząsnąć z siebie, jak natrętną muchę, a jednak leży spokojnie. Ból przeszywa mi serce. On ją kocha. — Złaż ze mnie do cholery! — Patrzę poprzez deszcz. Natalia biegnie przed siebie. Nie zatrzymuje się. To dobrze. Zwalniam uścisk. Krzysztof błyskawicznie obraca się twarzą do mnie, przystawia mi do czoła pistolet. Deszcz zalewa nam oczy. Wokół burza. A ja czuję spokój. Mierzymy się wzrokiem. Gdzieś obok nas uderza piorun. Za nim drugi. I następne. Cała seria potwornego huku zlewa się w jedno. Wiatr szarpie koronami drzew. Grzmot i Błysk. Nic nie widzę. Sekunda, dwie, trzy. Czuję szarpnięcie i przetaczam się prosto w kolczaste krzaki jeżyn. Potworny huk i złamane siłą żywiołu drzewo z jękiem opada tuż obok. Krzysztof stalowym uściskiem przytłacza mnie do ziemi. Po chwili podrywa się. Przez strugi deszczu widzę wyciągniętą dłoń. Chwytam ją i wstaję. Wiatr porywa na wrzosowiska słomkowy kapelusz, żałośnie ociekający wodą.

— Wiesz, jak stąd wyjść?

Bez słowa toruję drogę przez las.

— *Natalia powstała ci przeznaczona* — szepcze Anioł. — *Teraz jednak wasze drogi muszą się rozejść. Połączą się znowu, gdy nadejdzie odpowiedni czas.*

## Julia

— Tobiasz!

— *Nie zatrzymuj go, Julio!* — ostrzega głos. Milknę i nieruchomo stoję w miejscu. Patrzę, jak popychany siłą wiatru brnie na oślep przed siebie. Widzę wszystko wyraźnie, jest jasno jak w dzień, chociaż na niebie nie świeci słońce, lecz księżyc. To znak, że jestem jedną z *nich*. A może tylko śnię?

— *Wracaj do domu, Julio. Dokonało się!* Co tak naprawdę się stało?

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego — Józef spogląda w niebo, kreśląc na piersiach znak krzyża. Patrzy na ścianę lasu jak zahipnotyzowany.

— Amen — mówi mama, wspierając się na jego ramieniu. Józef odwraca twarz. Po policzkach płyną mu łzy. A może to tylko deszcz? Sekunda, dwie, trzy... Ulewa. Błysk. Grzmot. Deszcz zacina coraz mocniej, coraz gwałtowniej. Przytomnieję.

— Gdzie Jakub? Gdzie mój syn!

— Nie martw się, jest bezpieczny — głos mamy jest silny i dźwięczny, bez trudu przebija się przez szum wiatru i huk grzmotów. Nie pojmuję dlaczego, ale jej wierzę. Czuję spokój. — Zaprowadź nas do domu, Julio.

— Tak, widzę drogę... Jest jasno jak w dzień... — Idziemy przez wrzosa, brodząc po kostki w wodzie. Mama kurczowo zaciska moją dłoń w swojej. Zgubiła kule. Teraz opiera się na mnie, krok za krokiem przenosząc ciężar ciała ze zdrowej nogi na nogę uwięzioną w gipsie. Drugą dłonią ciągnie za sobą modlącego się Józefa. Jego wzrok jest nieprzytomny.

Widzę ich bardzo wyraźnie. Twarz mamy oblepiają potargane pasma siwych, mokrych włosów. Śmieję się w duchu, bo wyglądam tak samo. Moje włosy też zasłaniają mi twarz. Odgarniam je z czoła i policzków niecierpliwym ruchem. Czuję, jak po raz kolejny moje ciało i umysł wypełnia spokój. To, co wydarzyło się przed laty i co dzieje się tu i teraz, ma sens i dzieje się nie bez powodu...

Burza zgina korony drzew. Woda obmywa ciało od czubka głowy po brodzące w niej bose stopy. Wiatr dławi oddech. Grzmoty. Pioruny. Trzask łamanych drzew. A we mnie tylko spokój i jasność, i głos, który mówi...

— *Dokonało się!*

## **Tobiasz**

Tunel i światło. I znowu... Tunel i światło.

— *Obudź się, Tobiaszu!*

Powieki ciążą jak kamienie, lecz posłuszny wezwaniu odnajduję w sobie siłę, by otworzyć oczy. Nade mną wisi jasny punkt, w którego kierunku jeszcze niedawno płynąłem. Poznaję księżyc. Wyłania się na krańcu nieskończenie długiego, mrocznego tunelu, przez który prowadzą mnie gładkie w dotyku dłonie. Czuję, jak unoszą mnie z miękkiego posłania wrzosów, jak wynurzam się z mgły. Uścisk alabastrowych palców jest jednocześnie władczy i subtelny.

Dotykam dłonią piersi. Dlaczego? Nie wiem... Serce bije rytmicznie. W powietrzu unosi się zapach lasu. Wokół cisza, tylko w oddali znajomy szum wodospadów. Czartowe Pole... Modliłem się, a potem... Co było potem?



Ciemność rozstępuje się. Widzę wędrujący po niebie księżyc. Idę ku światłu.

— Jah aŕlet uns pjatei skulans sijaima, swaswe jah weis aŕletam paim skułam unsaraim, jah ni briggais uns in fra-istubnjai, ak lausei uns af jamma ubilin.. .\*

— Co ksiądz wyprawia, na Boga?!

Ktoś pochyła się nade mną zatroskany, trochę zły. Rozpoznaję go dopiero po dłuższej chwili.

— Franciszek...

— Co ksiądz wyprawia? — Powtarza, świecąc mi latarką w oczy. — Myślałem, że jakieś włamanie, więc skradam się, nasłuchuję, a tu patrzę: ksiądz na podłodze bez życia rozciągnięty. Myślę sobie, pewnie napadli, kościół ograbili! Mało to takich bandytów na świecie?

Nie słucham. Wokół mnie wirują drzewa, strzeliste sosny i wrzos.

— Czarłowe Pole?

— Oszalał, słowo daję — mruży staruszek. — Jeden proboszcz chory w szpitalu, drugi tylko w Rzymie by siedział, a ten na zastępstwo, niby porządny, niby zwyczajny, a proszę, co odstawia...

Pochyla się, oplata mnie ramionami i z trudem podnosi. Chcę mu pomóc, lecz jestem jak szmaciana lalka. Niczego nie pojmuję.

— Gdzie ja jestem?

— W kościele, na Boga! Chory ksiądz na coś? — Dotyka szorstką dłonią mojego czoła.

Rzeczywiście. Z głównego ołtarza spogląda na mnie zatroskany święty Jan Nepomucen.

\* Modlitwa „Ojcze nasz” w języku gockim.

— Jak się tu znalazłem?

— A mnie skąd to wiedzieć? — złości się kościelny. — Doktora mam wzywać?

— Nie trzeba, już dobrze. Proszę, pomóż mi wstać.

— Łatwo powiedzieć!

Franciszek dźwignął mnie w górę. Usiłuję utrzymać równowagę i chwytam rękami ławkę. Nogi mam jak z waty. Kościół wiruje. Franciszek przerzuca moją bezwładną rękę przez swoje plecy, a drugą obejmuje mnie w pasie. Opieram się na nim całym ciężarem. Suniemy niczym dwa ślimaki w kierunku wyjścia.

— Jeszcze chwila i zaczerpnie ksiądz powietrza, to będzie lepiej — odzywa się trochę łagodniej.

— Bóg zapłać, Franciszku — wymawiam z trudem słowa.

— Podziękuj mi ksiądz, jak w łóżku bezpiecznie odpocznie, a potem obudzi się, daj Boże, już normalny!

Wychodzimy z kościoła. Twarz owiewa mi rześkie, nasiąknięte wilgocią powietrze. Mrok powoli się przeredza. Świta.

Biorę głęboki oddech, aż boli mnie w piersi. Wchodzę w kałużę. Woda wlewa mi się do butów. Rozglądam się dokoła uważniej. Ziemia jest obficie zlane wodą. Wokół leży mnóstwo połamanych gałęzi.

— Burza potworna rozpętała się tej nocy — tłumaczy kościelny — nawet ja takiej nie pamiętam. Zaledwie kwadrans trwała, nie dłużej, ale szkód narobiła, to pewne! Nie słyszał ksiądz?

Zaprzeczam. Pamiętam jedynie tunel i światło. Nic więcej.

— Musiał ksiądz w głowę czymś dostać albo zemdleć w kościele — zastanawia się głośno kościelny — bo niepo-

dobna, żeby ksiądz nie słyszał. Pioruny tak były, że umarłego by zbudziły. Dziwne, że nic ksiądz nie pamięta.

Krok za krokiem, wsparty na ramieniu Franciszka docieram na plebanię. Zupełnie jakbym zdobywał Mont Everest lub inny górski szczyt. W głowie mam pustkę.

W końcu stajemy przed drzwiami. Franciszek naciska klamkę i drzwi otwierają się głośno ze skrzypieniem. Nogi całkowicie odmawiają mi posłuszeństwa, ciężą jak kamienie. Z wielkim wysiłkiem przestępuję próg.

— Bez lekarza się nie obędzie... — mruczy Franciszek, pomagając mi usiąść na łóżku.

— Nie chcę lekarza — protestuję słabo, bezwładnie opadam na poduszkę. Pokój obraca się w jedną, a łóżko w drugą stronę. Przed oczami tańczą czarne plamy. Usiłuję zebrać myśli, lecz skazany jestem na porażkę.

Z oddali, z jakiegoś innego wymiaru czasu docierał do mnie czyjś rozdrażniony głos, znowu nie pamiętam do kogo należy...

— Skaranie Boskie z tym wszystkim! A wyglądał tak normalnie...

## **Emilia**

— Dobrze, że przyszedłeś, chłopcze. Musisz mi pomóc. ..

Krzysztof wpatruje się w zawieszoną na niebie tęczę. Ma przemoczone ubranie. Rozgrzałam go malinową herbatą. Zadbłam o to, by dodatki były właściwe.

— Co mam robić?

-Wyjedź samochodem ze stodoły. Zawieziesz nas do Zamościa... -  
Nas?

Nie ma czasu na wyjaśnienia. Julia i Jakub w każdej chwili mogą się obudzić, a wtedy wszystko jeszcze bardziej się skomplikuje.

— Mnie i Natalię - wskazuję moją wnuczkę, którą Józef prowadzi od strony sadu, podtrzymując pod rękę. Krzysztof zastyga w miejscu, przez moment boję się, że zbyt mocno się wybudzi. Dawka ziół, które mu podałam, musiała być na tyle silna, by wkrótce o wszystkim zapomniał, a jednocześnie na tyle słaba, by mógł świadomie usiąść za kierownicą i bezpiecznie zawieźć nas na Sadową. Adam z pewnością już szuka samochodu i Natalii.

— Rusz się, chłopcze! Na co czekasz?

Krzysztof wzdycha głośno. Śni na jawie. Podchodzi do stodoły i otwiera na oścież wrota. Siada za kierownicą samochodu Adama i wyjeżdża na zewnątrz. Józef pomaga mi zapakować nieświadomą niczego Natalię na tylne siedzenie. Ocknęła się na chwilę i spojrzała na kierowcę.

— Krzysztof? — szepcze.

— Śpij, kochanie, śpij — układam ją na siedzeniu. Posłusznie zamyka oczy i miarowo oddycha. Ślubna sukienka jej matki, którą Józef wyciągnął ze skrzyni z pamiątkami, jest cała w strzępach. Wczepione w materiał kolczaste łodygi jeżyn do krwi podrapały jej nogi. Bose stopy są brudne i poranione. Ale to wszystko przejdzie, zagoi się, nie będzie znaku. Gorzej z sercem, którego tak łatwo nie uda się posklejać. Mimo wszystko jestem z niej dumna i odrobinę także z siebie...

— Dasz sobie radę, sama? — pyta szeptem Józef. — Może pojedę z tobą. Ten gips...

— Nie możesz — patrzę niespokojnie w okno na poddaszu. Na dworze jest jasno. — Oni nie mogą się dowiedzieć! Zaczekaj, aż się obudzą i zabierz ich jak najdalej od domu. Jest bardzo dzielny. Zrobił wszystko, o co go poprosiłam.

— Ale jak mam to zrobić?

— Coś wymyślisz, Józiu. Jestem tego pewna.

Mój narzeczony kiwa głową i starannie zamyka drzwi auta.

Bez zbędnego hałasu zjeżdżamy samochodem w dolinę. Krzysztof jedzie ostrożnie. Kieruję jego myślami. To łatwe. Jest bardzo blisko. Na chwilę mogę się rozluźnić. Czuję w sobie prawdziwą moc. Siłę, o której zapomniałam na wiele lat, która się we mnie zagubiła. Lecz słowa pradawnych pieśni nie kłamią i czy tego chcemy, czy nie, głos Tej, Która Wie powraca...

## **Jakub**

Podchodzę do okna i patrzę na Wrzosowiska. Łąki pokrywa mgła, ziemia paruje, obficie zroszona deszczem. Po podwórku walają się gałęzie, które połamał wiatr. Musiało mocno wiać... To dziwne, że nic nie słyszałem.

Ktoś puka do drzwi. To mama. Otwieram i uśmiecham się do niej. Stoi przede mną w długiej, białej sukni i potarganych włosach. Podobnie jak ja, nie znalazła siły, by po uroczystej mszy na Czartowym Polu przebrać się w piżamę.

— Obudziłam cię, synku?

— Właśnie wstałem — uspokajam ją. — I podziwiam tęczę.  
Mama patrzy w okno i cała się rozpromienia.

— Jaka piękna! Już dawno takiej nie widziałam. To znaczy, że w nocy była burza... Nic nie słyszałam.

— Zupełnie jak ja. Kiedy wracaliśmy z polany, niebo było gwiaździste i świecił księżyc.

— Ogromny, jak bochen chleba — potwierdza. — Wciąż mam go przed oczami. A potem, miałam taki dziwny sen... Mam wrażenie, że on ciągle trwa.

— Szalała w nim burza?

— Tak. — Wpatruje się w tęczę. Obie są piękne. Moja mama i wielobarwny łuk na niebie. Odwieczny znak pojednania człowieka z Bogiem. - Wygląda na to, że odgłosy burzy przeniknęły do nas we śnie, lecz byliśmy zbyt wyczerpani, by się obudzić...

— Śniłem o Natalii... Wzrok mamy pochmurnieje.

— Ale nie tak jak zwykle... Biegłem za nią, a potem pojawił się Krzysztof.

— Wstyd mi za nią... — Gładzi mnie po twarzy.

— Wszystko dobrze, mamó. Czuję, że „Sarna” i Miszka odnaleźli spokój i więcej nie pojawią się w moich snach.

— Ja też czuję wyjątkowy spokój — przyznaje. — Jakby przeszłość zatrzasnęła za sobą drzwi.

Odruchowo dotykam medalika, który babcia Emilka podniosła z wrzosowiska i zawiesiła ponownie na mojej szyi. Zapamiętałem dokładnie ten moment. Księżyc świecił mi w oczy jak latarnia.

— Julka, Kuba!

Do pokoju wpada roztrzęsiony dziadek Józef. Mama blednie.

— Co się stało? Coś z mamą?

— Ależ skąd! Emilka zasnęła w końcu i prosiła, żeby jej nie przeszkadzać — mówi zasapany — ale jak tylko zrobiłem obrządek i poszedłem do domu, zadzwonił telefon... Moja siostra chyba uznała, że czas wybrać się na tamten świat i prosi, żebym przyjechał. Chce się pożegnać... Juleczko, zawieziesz mnie do niej?

— Oczywiście, ale dokąd, gdzie mieszka?

— W leśniczówce na Uroczysku.

— Jadę z wami — mówię. — Dziadek i mama zgodnie przytakują.

W kilka minut jesteśmy gotowi do drogi. Dziadek zamyka drzwi od domu i przykazuje Reksowi, by pilnował Emilii. Wilczur kładzie się przed drzwiami, jakby wszystko rozumiał. Wsiadamy do samochodu i zapinamy pasy. Mama za kierownicą z właściwą sobie fantazją rajdowego kierowcy zjeżdża w dolinę i skręca w dobrze mi już znanym kierunku.

## **Tobiasz**

Wskazówki starego zegara przesuwają się z trudem. Z okienka wysuwa się skrzydlaty aniołek z trąbą w dłoni. Mechanizm zgrzyta, wahadło porusza się i zegar ogłasza donośnym dźwiękiem, że właśnie minęła szósta.

Otwieram oczy. Brakuje mi tchu i czuję dziwny ucisk w okolicy serca.

Co się ze mną dzieje?

— O, chyba się budzi... — Słyszę głos Franciszka. Chcę się podnieść, ale mogę tylko odwrócić głowę w kierunku drzwi. Franciszek odsuwa się na bok i patrzy, jak doktor Zenobiusz Ryś podchodzi do mojego łóżka i uważnie mi się przygląda.

— Jak się ksiądz czuje? Podobno zemdlął ksiądz w kościele.. .

— Modliłem się, a potem...

— Zbadam księdza. - Wyciąga z torby stetoskop. — Proszę rozpiąć koloratkę.

Z trudem robię o co prosi. Palce mam jak z drewna, niezdarnie rozpinalem guziki sutanny w której przespałem całą noc. Czuję na piersi zimny dotyk lekarskich słuchawek.

— Proszę oddychać... Nie oddychać... Robię, co każe.

— Linie telefoniczne podczas burzy pozrywało — tłumaczy półgłosem Franciszek. — Więc tylko buty księdzu zdjąłem, bo ubłoczone były i mokre, i jak tylko do łóżka zdołałem go położyć, pobiegłem po doktora.

— Nic tu nie widzę niepokojącego... — mówi doktor Ryś i chowa słuchawki do torby. — Osłabiony ksiądz bardzo, jakby maraton przebiegł, ale wystarczy w łóżku poleżeć i wszystko wróci do normy.

-Dziękuję, panie doktorze... Mówiłem Franciszkowi, że nic mi nie jest, ale nie posłuchał i niepotrzebnie pana fatygował.

— Taka już moja rola, a księdza podobna... Obaj powołani zostaliśmy do służby bliźniemu, więc to dla mnie



żadna fatyga. Cieszę się, że do łóżka przemęczonego, a nie obłożnie chorego mnie wezwano.

— Pracowity ksiądz i sumienny jak mało kto — odezwał się Franciszek. — Teraz mi wstyd, że przez posługę na naszej parafii tak ksiądz zaniemógł.

— Nic mi nie jest, Franciszku. - Próbuję podnieść się na łóżku, ale jeszcze mocniej kręci mi się w głowie. Zamykam oczy. Franciszek chwyta mnie za ramiona i delikatnie osuwa na poduszkę. Wstydzę się swojej słabości. Ostrożnie otwieram oczy. Doktor stoi przy łóżku ze splecionymi rękami. Patrzy na mnie uważnie zza okularów.

— Ksiądz podobno na wakacje przyjechał. Więc może chociaż dzisiaj taki prawdziwy, a nie udawany odpoczynek należy sobie zafundować? W przeciwnym razie ostrzegam, że może się to dla księdza źle skończyć. Młody ksiądz jeszcze, ale to zawału czy wylewu nie wyklucza.

— Święta racja — kiwa głową Franciszek.

Chcę zaprotestować, ale doktor daje mi znak, żebym milczał.

— To polecenie lekarskie — grozi mi palcem jak małemu dziecku. — Ma ksiądz leżeć i wypoczywać, a jak siły pozwolą z łóżka wstać, to tylko posiłek smaczny zjeść i na spacer się wybrać. Nic poza tym...

— Dopilnuję wszystkiego i księdzem się zajmę - zapewnia Franciszek.

— W takim razie ustalone. - Doktor chowa stetoskop i zatrząskuje torbę. - Na pewno was obu dobra wiadomość ucieszy, że ksiądz senior operację biodra przeszedł bez komplikacji i już przytomny jest i szczęśliwy, że się wkrótce spod mojej opieki wyrwie...

Bogu niech będą dzięki... - myślę, a Franciszek wypowiada słowa podziękowań na głos.

— A mnie to już żadne podziękowania się nie należą? — pyta z wyrzutem doktor Ryś.

— Ma pan złote ręce doktorze, ale bez Bożej pomocy byłoby trudno — z powagą zauważa Franciszek.

— A tak, tak — mruczy pod nosem doktor. — Do widzenia, księżu Tobiaszu. Z pewnością zechce ksiądz proboszcza odwiedzić, ale dopiero, jak ksiądz odpocznie. Zrozumiano?

Nie jestem pewny, czy dotrzymam słowa, ale mina Franciszka wskazuje na to, że właśnie zamienił się w bezwzględnego Cerbera. Poddaję się. Powieki ciężą jak kamienie. Zamykam oczy i odpływam w sen.

Kiedy się obudziłem, za oknem zapadał zmrok. O niczym nie śniłem, lecz miałem nieodparte wrażenie, że o czymś zapomniałem. I dlaczego spałem w sutannie? To jakieś szaleństwo... po kolei... Usiadłem na łóżku i ze wszystkich sił próbowałem przypomnieć sobie ostatnią dobę. Jako pierwszą przypomniałem sobie twarz kościelnego, a zaraz potem surowe oblicze doktora Rysia. Jak przez mgłę docierały do mnie pouczenia lekarza. To wspomnienie jak czarna plamka na białej kartce nabierało powoli coraz mocniejszych kształtów. Moja nagła niedyspozycja tłumaczyła sen w sutannie i lekarską wizytę na plebani, ale było z pewnością coś jeszcze, coś jeszcze...

Doktor Ryś mówił o proboszczu, czułem, że to ma z nim jakiś związek, mówił, że już po operacji, że niebawem wraca do domu.

Stary zegar głośno wybił dwudziestą drugą. Jaki dzisiaj dzień? Spojrzałem na kalendarz, ale w pokoju było zbyt ciemno. Ostrożnie wstałem z łóżka. Osłabienie minęło i czułem się zupełnie dobrze. Zapaliłem nocną lampkę i spojrzałem na kalendarz. 24 sierpnia.

Rocznica! Obiecałem zapalić dla proboszcza znicz.

Nigdy nie złamałem danego słowa i tym razem tego nie zrobię.

- Franciszku! Franciszku! — zawołałem. Kościelny chyba czuwał w pobliżu, bo niemal natychmiast wbiegł do pokoju.

- Jezusie najśłodszy! Co się stało?

- Obiecałem księdzu Bartoszowi, że zapalę znicz w pięćdziesiątą rocznicę jego kapłańskich święceń... — wyjaśniłem bez zbędnych wstępów. — Musisz mnie tam zaprowadzić!

Kościelny patrzył na mnie z lekkim zdumieniem.

- Oszalał ksiądz? To środek Puszczy, a na dworze już zupełnie ciemno — wskazał dłonią okno.

- Weźmiemy latarki. — Pochyliłem się, by włożyć buty, które wystawały spod łóżka, i na moment pociemniało mi przed oczami. Franciszek nie mógł sobie darować uwag.

- Ledwie ksiądz się na nogach trzyma! Sam pójde i zapalę ten znicz, a ksiądz niech wraca do łóżka.

-Już w porządku... — Plamy przed oczami ustąpiły i przytomnie spojrzałem na Franciszka. — Księdzu Bartoszowi zależało na tym, by znicz zapłonął z ręki kapłana i zamierzam spełnić tę prośbę, choćbym miał iść tam sam.

- Nie trafi ksiądz, bo figurka głęboko w Puszczy ukryta, prawie na bagnach.

- Zaprowadzisz mnie, czy mam iść sam?

— Uparty ksiądz jak osioł! Ale niech już będzie. Zaprowadzę na miejsce, bo jak samego puszcę, to z pewnością pobłądzi, a jak zablądzi, co jest pewne, to wilki go zwącha-ją i kolację świeżą mieć będą... — mrucał do siebie pod nosem, szukając latarki.

Udawałem, że nie słyszę.

Po chwili szliśmy w milczeniu kamienistą dróżką biegnącą do Józefowa. Kamyki pod naszymi butami chrzęściły w ciszy nocy. Na niebie tkwił okrągły jak bochen chleba księżyc. Jego kształt coś jeszcze mi przypominał.

— Tam za zakrętem jest wzgórek, który musimy ominąć — odezwał się Franciszek. W milczeniu przeszliśmy spory odcinek drogi. Rozpoznałem krawędź kamieniołomów. Leśny trakt jedną ze swoich licznych odnóg ginał w brzozowym zagajniku, na który wszedł kościelny. Podążyłem za nim. Białe pnie drzew widoczne były gołym okiem. — Ścieżka biegnie po równinie aż do następnego wzniesienia, gdzie skręca na bagna, o tam... — Tłumaczył kościelny, wskazując kierunek latarką. Chyba minęła mu złość.

Samotna wędrówka przez las nie była o tej porze szczęśliwym pomysłem. Byłem mu wdzięczny, że zechciał być moim przewodnikiem. Robił to z pewnością dla swojego proboszcza, którego bardzo szanował, ale i tak bardzo to doceniałem.

— Nie wiedziałem, że w tym zakątku Puszczy jest jeszcze jakiś Nepomucen — zagadnąłem Franciszka.

— Za wzniesieniem ukryty. Od drogi nie widać, bo krzaki wokół rozrosły się mocno. Ksiądz proboszcz wielki sentyment do figurki tej ma, jak i do pobliskich miejsc. Opowiadał księdzu może?

Zaprzeczyłem. Pamiętałem jedynie swoją spowiedź.

— A co takiego jest w pobliżu figurki?

— Partyzanckie bazy nazywane kolejno „Jedynką”, „Dwójką”, „Trójką”. Leśni chowali tam skrzynie z bronią i amunicją, zapasy żywności, były ich schronieniem za życia, dla innych zamieniły się w grób. Nasi wykonywali tam zasadzki na wroga. Figurce te leśne awantury nie wyszły na dobre. Święty stracił rękę, kawałek głowy, biodro, nogę, a z drugiej ręki pozostał bezkształtny kikut podziurawiony jak sito. Ale zaraz sam ksiądz zobaczy. — Poświecił latarką. W zaroślach nad rzeką zamajaczył jakiś budynek.

— To stary młyn nad Czarną Rzeczką — Franciszek wyprzedził moje pytanie. Przeszliśmy przez drewniany mostek na wcięta w las wysepkę. — A tu stoi nasz Nepomucen — oświecił figurkę latarką.

Spojrzałem na cel naszej wędrówki. Księżyc rozjaśniał mrok, a w jego srebrnej poświacie patron partyzantów spoglądał na nas jak żywy. Figurka była pięknie odmalowana, prawie jak nowa. Co ten Franciszek opowiada?

— Ale stoi przecież cały i zdrowy — zdziwiłem się szczerze.

— A tak, teraz tak. — Zaśmiał się kościelny, zupełnie nie-zrażony moim pytaniem. — Ksiądz Konradowski po dziś dzień nad tym okrutnie boleje, a i ja przychyliam się do jego zdania, że tym całym odnowieniem wielką szkodę uczyniono figurce. Ile razy tutaj z nim zachodzę, by znicz zapalić i kwiaty polne złożyć, tyle razy wysłuchać muszę proboszczowych żalów i narzekań na ludzką głupotę! A podobno to ze mnie stary zrzęda. Niech ksiądz zapala. - Wyciągnął z torby znicz i podał mi pudełko zapalek.

Zapaliłem i ustawiłem znicz u kamiennych stóp świętego. Patrzyliśmy z Franciszkiem, jak płomyk rozprasza mrok żółtawym światłem. W ciszy przerywanej jedynie skrzypieniem drzew odmówiliśmy modlitwę w intencji proboszcza i za dusze poległych w tych lasach partyzantów. Dotrzymałem słowa i mogliśmy wracać.

— Z powrotem będzie szybciej — oświadczył Franciszek, wchodząc na most. Szedłem za nim zamyślony. Myślałem o tym, że słyhać tu było kiedyś parskania koni, skrzypienia furmanek i chrzęst partyzanckiej broni. Święty patrzył, jak pochylone sylwetki leśnych żołnierzy zanurzają się w przydrożnych krzakach, słuchał wojennych narad, a może udawał, że nie słyszy, gdy o jego uszy obijało się twarde, żołnierskie słowo.

Przy młynie nagle zerwał się wiatr. Zatrzymałem się i spojrzałem w kierunku figurki, by sprawdzić czy znicz nadal płonie. Przy młynie ktoś stał...

— Franciszku — szepnąłem, nie ruszając się z miejsca.

— Co się stało?

— Tam ktoś jest... — Wskazałem dłonią drewniany młyn.

— Niby gdzie? — Skierował snop światła w tym kierunku. Zadrzałem. Postać w białej szacie nie była złudzeniem, lecz Franciszek jej nie widział.

— To tylko brzoza, pełno ich tutaj.

Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Kobieta błyszcząca księżycową poświatą na de starego młyna wciąż tam była.

— Mówiłem, żeby nigdzie nie iść i jak zawsze miałem rację, ale kto by mnie tam słuchał... — zamruczał pod nosem Franciszek.

Nie słuchałem go. Ona tam była. Wróciło nagle niejasne, odległe wspomnienie ubiegłej nocy.

- Księżę Tobiaszu! — poganiał mnie. Na chwilę odwróciłem wzrok, a gdy spojrzałem ponownie, przy młynie już nikogo nie było. — Chodźmy już, bo nas północ złapie i wtedy dopiero zacznie ksiądz mieć zwidy.

Posłusznie ruszyłem za nim.

- Jak już szczęśliwie dojdziemy na plebanię, ani słowem się przed doktorem Rysiem nie zdradzę, że się dałem księdzu przekabacić i w pokoju na trzy spusty nie zamknąłem. Obietnica to przecież obietnica i ja to rozumiem, ale że ksiądz przemęczony tą posługą w parafii to widać, oj, widać!

Ksiądz Konradowski wrócił na plebanię wczesnym rankiem, zanim się obudziłem. Albero przywiózł go na miejsce swoim terenowym samochodem i pomógł Franciszkowi położyć seniora do łóżka. Pierwszy raz w życiu zasnąłem. Sen miałem mocny, głęboki i bez obrazów. Nikt mnie nie budził. Franciszek zajął się szykowaniem pokoju, a potem zostałem poproszony z wizytą. Kościelny zaparzył nam herbatę i rozpromieniony cicho zamknął za sobą drzwi.

- A zatem byłeś tam i znicz zapłonął w pięćdziesiątą rocznicę moich święceń. Dziękuję ci.

- Spełniłem księdza prośbę z radością, lecz jest coś jeszcze...

- Co takiego? — Proboszcz patrzył na mnie uważnie.

- Nie wiem, być może było to zwykłe przywidzenie... Byłem osłabiony i wędrowaliśmy z Franciszkiem nocą, ale

przy starym młynie nieopodal figurki świętego Jana zobaczyłem świetlistą, kobiecą postać...

— Jak wyglądała?

— Nie umiem księdzu wyjaśnić. Jej postać jaśniała, widziałem wyraźnie wyciągnięte w moim kierunku delikatne, alabastrowe dłonie.

— A strój? Jaki miała na sobie strój?

— Nie był współczesny, jakby biała sukmana, przepasana paskiem...

— A zatem ukazała się tobie — westchnął proboszcz, a jego policzki zarumieniły się.

— Źle się ksiądz czuje?

— Nie, wszystko dobrze, Tobiaszu. Podaj mi tylko wodę. Podałem mu napełnioną szklankę. Proboszcz wypił ją

duszką. Opadł na poduszki i przymknął oczy.

— Muszę ci się do czegoś przyznać, chłopcze. Po wysłuchaniu twojej spowiedzi postanowiłem sprawdzić, czy także ty zdołasz ją zobaczyć. Widuje ją od wielu lat, tam przy młynie. Nikt poza mną jej nie widzi, a ja ukrywam to przed wszystkimi, nawet przed Franciszkiem. To ona wyprowadziła mnie z bagien, to dzięki niej wciąż chodzę po tym świecie. Wygląda na to, że teraz wybrała ciebie.

— Co to znaczy? Kim ona jest?

— Nie wiem... Często myślałem, że wariuję, że to tęsknota podpowiada te dziwne obrazy, tęsknota za moją ukochaną „Gerdą”. Gdy przywołałeś niedawno jej imię, które zapisała w pamiętniku „Sarna”, odżyły we mnie bolesne, lecz zarazem wspaniałe wspomnienia. Pomimo tego, że trwała wojna, byłem szczęśliwy. Nie śniłem nawet, że kiedyś zostanę księdzem. Nigdy taka myśl nie powstała



w mojej głowie, synu! Byłem młodym, pełnym wigoru żołnierzem, zakochanym bez pamięci w mojej pięknej dziewczynie. Była dla mnie tym, kim jest dla ciebie Julia... Nie opuszczaj głowy! Nie ma tu nikogo, prócz Boga, by nas osądzał i nikt lepiej ode mnie nie zrozumie żaru miłości, który spala twoją duszę, chłopcze, a przecież nie zaznałeś jej cielesnej strony?

— Nigdy.

— A ja zaznałem jej w pełni! Po wojnie, gdy dowiedziałem się, że nie żyje, rozpacz niemal pomieszała mi zmysły. Powołanie, które przyszło, potraktowałem jak umartwienie, jak karę niemal. W szpitalu, gdy czekałem na operację, nie przespałem potem ani jednej nocy. Wszystko wróciło, jakby rozegrało się zaledwie wczoraj...

— Tak mi przykro...

Proboszcz uniósł dłoń, by mnie uciszyć. Zamilkłem, a on mówił dalej.

— Lecz to nie wszystko. Twoja spowiedź, chłopcze, jeszcze mocniej poruszyła we mnie wspomnienia. Dostrzegłem w twoich duchowych rozterkach swoje własne, które po dzisiejszy dzień zaprzatają mi duszę, umysł i serce. Z czasem do nich przywykłem. Wytłumaczyłem sobie, że wszystko, co odczuwam, widzę lub słyszę, na stałe wpisało się w moje życie i że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Nie wiem, jak długo jeszcze dane mi będzie pozostać na tym świecie, a czuję, że pojawiłeś się w parafii we Wrzosowiskach nie tak do końca przypadkowo. Może Pan chce, bym otworzył przed tobą swoją pamięć... Zbyt wiele spraw, chociaż minęły długie lata, wciąż obciążają moje sumienie i wracają w koszmarnych snach. Nie mam ich komu

powierzyć. Prócz Franciszka nikt nie pojmuje moich zakrzepłych niczym stara rana grzechów. Tobie jednak ufam. Czy zechcesz mnie wysłuchać, Tobiaszu?

— Tak, lecz nie chciałbym nadszarpnąć ponownie księdza zdrowia...

— Niczego tu już nie ma do nadszarpywania. Czy wiesz, ile mam lat?

— Zaprzeczyłem. - I lepiej, byś nie wiedział, Tobiaszu. Zapewniam cię, że stanowczo za długo żyję na tym świecie. Dzisiaj nie zdołam opowiedzieć ci wszystkiego, ale ufam, że Bóg nie po to skrzyżował nasze drogi, bym teraz urwał w pół zdania. Czy miewasz złe sny, Tobiaszu? — zapytał po chwili.

— Bardzo rzadko — przyznałem — i zwykle ich nie pamiętam.

Proboszcz uśmiechnął się ze zrozumieniem i pokiwał głową.

— Gdy byłem młody, także nie miewałem snów. Gdziekolwiek położyłem głowę, tam zasypiałem. Sen miałem mocny, lecz czujny. Lada szmer, trzask nadepniętej gałązki i zrywałem się na równe nogi, chwytając w dłonie karabin. Życie w lesie nie było usłane różami, lecz nie było także tak do końca złe. Znacznie lepsze niż sny, które przyszły potem...

Zamyślił się, a jego czoło przecięła głęboka bruzda.

— Sny bywają piękne — podjął po chwili — lecz są i takie, które sieją strach. Ja miewam te najgorsze... o wojnie. Wraca ponury obraz upalnego lata, gdy przemierzałem Puszcę z tymi, którym udało się przeżyć, by pochować tych, którzy zginęli podczas obławy. W palącym słońcu, krok po kroku, przeszukiwaliśmy las. Letni wiatr unosił

ciężką woń śmierci na wiele kilometrów Żałobny kondukt rodzin, przyjaciół, towarzyszy broni, szeregowych partyzantów, ocalałych dowódców zgrupowań podążał w milczeniu leśnymi szlakami. Puszcza, która była w czasie okupacji naszym schronieniem i domem, stała się w czerwcu 1944 roku ponurym cmentarzem. Wyciągaliśmy trupy partyzantów z bagien, torfowisk, zarośli i borsuczych jam, ściągaliśmy rozpadające się truchła z drzew. Patrzyliśmy na nich, z trudem rozpoznając w przegniłych zwłokach dawnych towarzyszy broni, przyjaciół, wesołków, straceńców... O świcie, gdy zdołam wyplątać się z macek snu, dziękuję Bogu, że zesłał mi nowy dzień i wydobył z piekła wspomnień. Jeden z takich snów towarzyszy mi od wielu lat, lecz zanim się narodził, miałem, jak wielu z nas, nadzieję, że wytrwamy i pokonamy wroga. Wiedzieliśmy, że ofiara krwi jest konieczna i nie szczędziliśmy jej, lecz potworność tego, co zgotował nam los, przerosła najgorsze wyobrażenia. Nie wiem, z czym porównać obraz i woń tego, na co przyszło mi patrzeć. Nie życzyłbym tego najgorszemu wrogowi! Widziałem wyłowione z bagna, oblepione błotem, zakrzepłą krwią i owadami ciała tych, którzy kiedyś maszerowali obok mnie, śmiali się i kochali, a teraz na widok ich przegniłych ciał, nie umiałem powstrzymać mdłości...

Żrenice księdza rozszerzyły się, jakby straszny obraz wrócił do niego na jawie, jakby pojawił się w świetle dnia.

— Lecz ja ocalałem — dodał po długiej chwili - bo z bagien wyprowadził mnie duch...

## **Puszcza Solska, czerwiec 1944 rok**

Wróg zaciskał wokół nas pętlę Sturmwind II. Byliśmy w potrzasku. Za plecami bagna. Wokół nas Niemcy. Coraz mniejsze skrawki lasu, by się ukryć. Nasz dowódca był dobrym żołnierzem. Ceniłem go i szanowałem, lecz jak inni czułem, że nie radzi sobie z nową sytuacją.

— Dłużej nie możemy narażać ludzi. Już dość niewinnej krwi!

— Nie wstrzymamy jej przelewu, majorze. — W głosie „Rysia” słychać było nutkę buntu. — Oni nie mają sumienia. Nigdy go nie mieli!

— Kałmucy lada dzień sforsują Tanew - wtrącił „Jastrząb”. — Lewy brzeg będzie ich, jeśli nie zaatakujemy na czas.

— Najlepszą obroną jest atak. - Dołączył do nich „Hyży”.

— Bataliony nie zostawią wsi w potrzebie — „Ryś” podniósł głos. — Moi chłopcy nie zgodzą się na bezczynne gnicie w lesie!

— Jeśli mamy zginąć, zgińmy w walce! Nie jak myszy w potrzasku — wołało coraz więcej głosów.

— Tak. Przebijajmy się!

— Rosjanie ruszają lada dzień... Połączmy siły! „Kruk” był nieprzejednany.

— Zostajemy — powiedział twardo. — Zapadniemy w pobliskich zagajnikach. Okopimy się i zaczekamy na obławę. Gdy pojawi się nieprzyjaciel, zaskoczymy go krótkim ogniem i przejdziemy do natarcia. Będziemy potem przebijać się na północ. Wracajcie na swoje miejsca i zajmijcie stanowiska wyznaczone do obrony. - Zakończył odprawę

i odwrócił się, by odejść. Goniły go gniewne spojrzenia podwładnych. Wśród nich moje.

— Majorze — zatrzymałem go. — Mam pewien plan, czy można?

— Chodźmy — zezwolił.

Poszedłem za nim. Zatrzymał się parę metrów dalej, na skraju ścieżki, przy której płonęło małe ognisko. Jego zastępca wrzucał do ognia kolejną partię dokumentów. Sytuacja była dramatyczna. Czerwone płomienie lizały niecierpliwie Akta Inspektoratu Zamość AK. Coś ścisnęło mnie na ten widok w gardle. „Kruk” dostrzegł moje poruszenie.

— Musiałem podjąć taką decyzję — tłumaczył, nie patrząc mi w oczy. — Niemcy są coraz bliżej. Naszą jedyną nadzieją są bagna.

— Uważam inaczej. „Kruk” zaciął usta.

— Rozmawiałem z Prokopiukiem - wyjaśniłem. - Będą przebijać się przez pierścień dzisiejszej nocy.

— Krzyż na drogę — zamruczał ponuro.

— Nie ufasz im? — zapytałem jak przyjaciela, nie dowódcę.

— Nikomu nie ufam, a zwłaszcza czerwonym. Milczałem. Zgadzałem się z nim w tej kwestii, jednak oni chcieli się bić, a „Kruk” zwyczajnie podkulał ogon.

Major wyczytał to z mojej twarzy. Spojrzał mi w oczy. Dostrzegłem w nich rezygnację i smutek.

— Obudź się, „Wichura” — powiedział cicho. — Jesteśmy w kotle. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Tabory dodatkowo utrudniają sprawę. Poleciałem zlikwidować je do minimum, zarządziłem podział rannych między ma-

cierzyste oddziały. To wszystko, co mogę zrobić w tej sytuacji...

— Na północy jest pewna szansa — podszedłem bliżej. — Proponuję podciągnąć zgrupowanie pod Osuchy i podjąć próbę natychmiastowego przebijania się. Ta część Puszczy została już dokładnie przeczesana przez Niemców...

— Nie mamy pewności...

— Zgrupowania niemieckie stacjonują tam od dłuższego czasu — przekonywałem. — Ich jednostki od wielu dni brodzą po bagnach. Są zmęczeni. Ich czujność osłabła. Możemy ich zaskoczyć. Nie spodziewają się nas.

— Założmy, że masz rację. Co dalej?

— Szybko przekroczymy szosę. Na północy nie trzeba forsować głębokiej doliny Sopotu. Rzeka w tamtym miejscu płynie po równinie...

Major utkwiał wzrok wśród akt, które spopielał płomień.

— Moja decyzja jest nieodwołalna — wyprostował się i spojrzał w dal ponad moją głowę. Potem popatrzył na mnie. — Gdyby coś mi się stało, przejmiesz dowództwo — powiedział. Nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się i odszedł bez słowa. Widziałem go wtedy po raz ostatni. Odnaleźliśmy go z kulą w głowie, kilka kilometrów od naszego obozowiska. Zgodnie z jego ostatnią wolą, przejąłem dowództwo. Musiałem zadbać o moich ludzi. Teraz ja odpowiadałem za każdego z nich.

— Nie możemy zginąć wszyscy! Kto widzi dla siebie szansę przeżycia na bagnach, może zostać i zapaść w moczarach, rozlewiskach, ukryć się. Tym, którzy przeżyją, rozkazuję, by wrócili po ciała tych, z którymi przyszło im dzielić walkę. Pozostali pójdą za mną.

Wielu ukryło się na bagnach, inni próbowali wyjść z okrążenia w mniejszych grupach, bądź na własną rękę, jeszcze inni poszli za mną.

Zacisnąłem pas i wskoczyłem na konia.

— Bóg z wami... Ruszamy! — wydałem rozkaz wymarszu.

Na przestrzeni kilometrów, suchy teren niemal całkowicie wyparły bagna. Grząska topiel zachłannie zasysała nas do środka. Nie było udeptanej drogi. Za nami i przed nami tylko dzikie ostępy lasu zalane cuchnącą wodą. Żywioł groźnie bulgotał pod nogami. W brudnym zwierciadle wody przeglądały się spokojnie wyniosłe olchy. Przechodząc z kępy na kępę, z pnia na pień, brnęliśmy przez szmaragdowy tunel odurzający nas zapachem zgniłej trawy i mchu. Nogi zapadały się w zamulone wykroty, napotykając zapory z powalonych przez burze czy starość drzew. Ich oślizłe, omszałe gałęzie, oplecione zielenią liści wychylały się na powierzchnię niczym sztywne ręce nieboszczyków.

Na przedzie torowano drogę siekierami. Przerażone konie bały się iść. Woda sięgała im po kolana i wyżej. Prowadziliśmy je za uzdy, szepcząc im do uszu słowa pocieszenia. Wozy z rannymi grzęzły w błocie. W końcu porzuciliśmy je, biorąc rannych na nosze. Ludzie byli śmiertelnie strudzeni. Przypominali cienie sunące krok za krokiem do przodu. Przystawaliśmy co chwila, by ominąć powalone drzewa, torować przejście.

Zarządziłem postój przy brodzie. Przed nami rozciągał się Sopot niczym mitologiczny Styks. Żaden z nas nie chciał wsiąść dzisiaj do łodzi Charona. Za rzeką czyhał wróg. Mieliśmy zrobić decydujący krok. Przejść obok

nich, przeniknąć pomiędzy ich posterunkami. I zrobimy to. Tylko odpoczniemy. Gdy nadejdzie świt, umkniemy wilczej sforze. A teraz niech śpią. Ja muszę czuwać ...

Moi żołnierze zasnęli. W dłoniach zaciskali broń. Puszcza unosiła w swoje trzewia echo ich chrapliwych oddechów.

Na próżno walczyłem ze zmęczeniem. Pokonało mnie jak wszystkich. Zasnąłem kamiennym snem. Nagle ktoś szarpnął mnie za ramię. Otworzyłem oczy. Ktoś pochylał się nade mną. Miał na sobie dziwny strój: długi, powiewający na wietrze płaszcz, przepasany pasem.

— *Chodź Za mna! Wstań i zbierz ludzi. Już czas.*

— Kim jesteś?

Postać w powstańczej czamarze ponagliła mnie.

— *Wstań i chodź Za mną.*

Spod czapki wymknął się płomiennie-rudy kosmyk włosów. Znajomy błysk zielonych oczu. Moim ciałem wstrząsnął potężny dreszcz.

— „Gerda”? - poderwałem się z ziemi, już zupełnie przytomny.

Postać w męskim przebraniu zamajaczyła w oddali białymi połami płaszcza. Kiedy zdążyła odbiec tak daleko? Biegłem w las.

— *Chodź za mną! Chodź!*

— „Wichura”, co robisz? — krzyknął ktoś.

Kobieta w czamarze mignęła wśród drzew. Zatrzymała się na brodzie przy rzece.

— Oszalał! — szeptały głosy.

— Ma otwarte rany. Nogi mu krwawią...



— Opamiętaj się! — Mój zastępca zagroził mi drogę. — Tam nikogo nie ma!

— Tam jest „Gerda”!

Odwrócił głowę i długo patrzył w ciemność. Po chwili jeszcze mocniej zacisnął palce na moich ramionach.

— Może kiedyś ją odnajdziesz — powiedział cicho. — A teraz weź się w garść! — Potrząsnął mną.

Nie rozumiałem, czego ode mnie chce, dlaczego stoi na mojej drodze i przesłania mi jej postać! Wyrwałem mu się z rąk, by do niej biec. Lecz nad brzegiem rzeki nie było już nikogo.

— Jesteś naszym dowódcą, „Wichura” — usłyszałem. — Wyprowadź nas stąd!

Po tych słowach oprzytomniałem. Rozejrzałem się wokół. Rozpoznałem skurczone sylwetki partyzantów. Do moich uszu dotarło żalosne rżenie koni. Wróciła rzeczywistość. Pot, bagno i kleszcze obławy. Lecz ja czułem wypełniającą mnie siłę i nadzieję. Nadchodził świt. Las powoli szarzał. W miejscu, gdzie widziałem „Gerde”, szumiał Sopot. Bród na rzece okrywała mlecznobiała mgła. To znak, zrozumiałem. Postanowiłem zaufać widmu.

— Wyjdziemy stąd! — powiedziałem do moich żołnierzy. — Sformować kolumnę! Przejdziemy cicho pomiędzy niemieckimi pozycjami, a gdy trafimy na opór — przebijemy się siłą! Broń maszynowa na przód! Reszta za mną... — Zacisnąłem w dłoniach karabin.

— Oszalał — szeptali do siebie, wstając. — Nie mamy najmniejszych szans.

— Idziemy za nim — mówili inni. — Lepiej zginąć w walce, niż szczeznąć na bagnach! Tak czy owak pisana nam śmierć!

Sopot nie był w tym miejscu głęboki, lecz strome brzegi i nierówne dno utrudniały przeprawę. Szedłem na czele kolumny, uważnie obserwując wyłaniający się z mgły brzeg. Po obu stronach Sopotu rozciągał się pas łąk z rzadka porośniętych krzakami. Tuż za nimi, brzeg porastał nieduży odcinek lasu. Uznałem go za cel naszej przeprawy. Dawał niewielką, ale jednak osłonę. Mgła otulała nas szczelnie swoim szalem. Na wzniesieniu górującym nad Sopotem czaił się wróg. Lada chwila miał nadejść świt. Musieliśmy iść naprzód. Nie było dla nas odwrotu. Rozwiniętą w marszu tyralierą wspięliśmy się na stromy brzeg i weszliśmy na łąkę. W zasięgu wzroku wyłaniały się drzewa... I nagle znowu ją zobaczyłem. Stała naprzeciw mnie. Była bez czapki. Chłopięco przycięte kosmyki rudych włosów rozwiewał wiatr. Biała suknia zlewała się z mgłą. Wyciągnąłem dłoń, by jej dotknąć. Kolumna za moimi plecami zatrzymała się. Czułem za sobą ich gniew i strach. Ona przywoływała mnie dłonią.

— *Chodź Za mną! Chodź! Za lasem jest pole porośnięte zbożem. Zaprowadź ich tam!*

W tej samej chwili gdzieś w oddali wybucha mina. Niemcy nas dostrzegli. Moi ludzie chwycili za broń. Zacisnąłem palce na karabinie.

— *Za mną!* — wydałem rozkaz. — *Kto żyw, biegiem za mną!*

Bez namysłu skoczyłem w las. Rozwinięci w szeroką tyralierę byliśmy widoczni jak na dłoni. Wynurzaliśmy się jak bogowie wojny z mlecznobiałej mgły. Udało nam się zaskoczyć wroga, lecz czy uda nam się przeżyć? Do naszych uszu docierały wyraźne okrzyki w znieprawidzo-

nym języku okupanta. Słyszeliśmy poruszenie w oddziale wroga. W niebo wystrzeliły rakiety oświetlające teren. Niemieckie stanowiska rozszczękały się ze wszystkich stron, plując w nas ogniem z broni maszynowej i moździerzy. Wokół jedynie błysk wystrzałów, jakby byli wszędzie.

Nie czułem zmęczenia ani bólu. W żyłach wrzała mi krew. Bez zastanowienia przeprowadziliśmy szturm na niemieckie gniazda, torując drogę tym, którzy zostali w tyle. Biegłem na przedzie. Za mną moi ludzie. Wbiegliśmy w rzadki las. W jego prześwicie w oddali dostrzegłem szumiące i wysokie łąny zboża. Gałęzie biły mnie po twarzy, drapały do krwi. Stopy zapadały się w zdradliwe próchno pni, a ja biegłem. Nie czułem bólu. Świeżo zagojone po postrzale nogi niosły mnie w ekstazie walki naprzód.

Chciałem dobiec do niej pierwszy. Może oni jej nie widzieli, lecz ja byłem już pewny, że nie śnię. Kule świstały nam nad głowami. Nikt jednak nie upadł. Pędziliśmy naprzód. Jeszcze sekunda. Jeszcze dwie... Głośny rytm serca zagłuszał myśli. Szybciej... Szybciej... I nagle znowu ona. W rozwianej sukni biegła na czele oddziału.

— *Padnij!* — krzyknęła.

Jak na komendę zanurkowałem w mchu. Za mną moi żołnierze. Czułem, jak nieznana siła zgina mój kark do ziemi. Ostre igliwie drzew wbiło mi się w dłonie. Grudki piasku i strzępy mchu obsypały nam twarze.

— *Za mną!* — poderwała mnie z ziemi. Pobiegłem, prowadząc ludzi. Jeszcze chwila i zanurkowaliśmy w zbożu. W tym samym momencie ona ponownie znikła. Nad gło-

wami gęstniała seria z automatu. Musiałem coś zrobić, by nie wybili nas w zbożu jak kaczki.

— Za tym polem jest las. Musimy tam dotrzeć! — Znowu przejąłem dowodzenie. Jakby w odpowiedzi gęsta jak mleko mgła przesunęła się znad rzeki puszystym obłokiem i cicho opadła na pole. Złociste kłosa zboża zmieniły barwę na srebro. — Naprzód! - Zgięty w pół pobiegłem do przodu. Zarepetowałem broń. W dłoni zacisnąłem granat. Ruszyli za mną. Echo wystrzałów pozostało gdzieś za nami...

### **Tobiasz**

— Nie wiesz, dlaczego chce z nami rozmawiać? — Andrzej dopalił papierosa i zdusił go w popielniczce. Wyszliśmy na zewnątrz.

— Nie mam pojęcia — przyznałem. — Może chodzi o zwykłą pogawędkę księży.

— Ksiądz senior i pogawędkę! — Zaśmiał się. - Szanuję go, ale nie przypominam sobie żadnej z nim dłuższej rozmowy. Tylko zwykłe, grzecznościowe wymiany zdań.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie tej, którą odbyliśmy przed godziną. Jeszcze pozostawałem pod jej wrażeniem.

— Od kiedy tu jestem - ciągnął Andrzej - ksiądz Kon-radowski nie opuszcza starej plebanii. Tylko czasem, gdy zdrowie mu pozwala, spaceruje po lesie w towarzystwie kościelnego. Nawet dzisiaj, kiedy wiozłem go ze szpitala do domu, nie zamienił ze mną zbyt wielu słów. A ja - nie

ukrywam — lubię sobie z ludźmi porozmawiać. Dopiero przy kościelnym się ożywił i rozmawiali, jakby mnie obok nie było.

— Nie lubisz Franciszka — zagadnąłem.

— Nie ujął bym tego w ten sposób, ale także skłamałbym mówiąc, że go lubię. Z jego strony jest dokładnie tak samo. Dlatego tolerujemy się i tak upływa dzień za dniem.

Stanęliśmy przed drzwiami starej plebanii, gdzie czekał na nas proboszcz Konradowski. Wcześniej poprosił mnie, bym przyprowadził Albero.

— Słuchaj, Tobiaszu. — Zatrzymał się. — Przepraszam, że pytam, ale zupełnie przypadkowo otworzyłem zapisane na pulpicie zdjęcie sztyletu. Interesujesz się bronią?

Nie rozumiałem, o co pyta.

— Jakiego sztyletu?

— Szukałeś w Internecie informacji na temat sztyletu... Próbowałem sobie przypomnieć, ale nie mogłem.

— Kiedy dokładnie?

— W czwartek. Potem przyszedł po ciebie wnuk pani Emilii Sokół.

-Jakub?

— Zdaje się, że tak miał na imię. Przedstawiłeś nas sobie. Potem poszliście razem do Wrzosowisk i... Podobno zemdlałeś w kościele?

— Franciszek mnie znalazł, ale nie wiem, co tam robiłem o tej porze. Andrzej pokręcił głową.

— To zastępstwo za mnie nie było dobrym pomysłem. Najwyraźniej jesteś przemęczony...

Drzwi otworzył nam zniecierpliwiony Franciszek.

- Ile można na księży czekać! Ksiądz proboszcz musi teraz wypoczywać i mam zamiar tego dopilnować.

Bez słowa weszliśmy do środka.

Ksiądz Konradowski siedział w łóżku, uśmiechnięty i oparty o poduszki. Z obrazu nad łóżkiem spoglądały na nas wilcze ślepia, które dostrzegłem po przebudzeniu w pokoju księdza. Tak niedawno, a miałem wrażenie, że minęło bardzo wiele czasu. Okno było uchylone, a wiatr delikatnie poruszał firankami. Upalne dni przeminęły. Wciąż było ciepło, jednak powietrze było bardziej rześkie, jakby szykowało się na nadejście jesieni. Ksiądz twierdził, że pogoda jest taka, jak lubił, po prostu idealna. Zmieniła się po nawałnicy, której nie pamiętałem, podobnie jak wizyty u Andrzeja i przeszukiwania Internetu, i innych rzeczy, które wydarzyły się przed dwoma dniami. Czwartek, 23 sierpnia 2013 roku, przybrał postać białej, czystej kartki. Miałem iść do Wrzosowisk, by pomogli mi zrozumieć, co się stało. Wiem jedynie, że byliśmy wszyscy na Czartowym Polu i że modliliśmy się za dusze naszych zmarłych. Skończyliśmy późnym wieczorem, gdy na niebie pojawił się księżyc. Była pełnia, a potem wszystko przesłoniła mgła. Chciałem spotkać się z nimi jak najszybciej, ale wciąż coś mnie zatrzymywało na plebanii: powrót księdza Konradowskiego ze szpitala, potem nasza rozmowa i wojenne wspomnienia, a teraz to...

— Siadajcie, proszę — wskazał krzesła, które Franciszek ustawił tuż przy łóżku. — Przejdę od razu do rzeczy, żeby nie zabierać wam czasu — oświadczył proboszcz, gdy usiedliśmy. — Czekałem na potwierdzenie mojej prośby przez biskupa i właśnie ją otrzymałem. Znamy się od wielu długich lat, by-

liśmy razem w seminarium, dlatego liczyłem na to, że moja prośba będzie pozytywnie rozpatrzona i nie myliłem się...

Wymieniliśmy z Andrzejem spojrzenia. Teraz nie tylko ja, lecz i on niczego nie rozumiał.

— Daję wam czas do jutra...

— Czas na co? — nie wytrzymał Andrzej.

— Na decyzję, rzecz jasna. Biskup obiecał pomóc w pewnej zamianie... Krótko mówiąc: Tobiasz może objąć probostwo we Wrzosowiskach, jeśli ty, Andrzej, zgodzisz się przejąć jego obowiązki w Monachium.

W pokoju zapadła cisza. Proboszcz patrzył na nas z uwagą.

Andrzej wyraźnie zaniemówił. Spoglądał raz na mnie, raz na księdza i próbował wywnioskować, czy to żarty, czy jednak wszystko dzieje się naprawdę. Czulem ciepło rozlewające się w moim sercu.

— Oczywiście, jeśli Tobiasz nadal chce tutaj zostać — dodał proboszcz. — W przeciwnym wypadku zapominamy o całej sprawie, a ja telefonuję z przeprosinami do biskupa.

Andrzej patrzył na mnie w oczekiwaniu. Miałem wrażenie, że wstrzymał oddech.

— Zostanę z radością — odpowiedziałem.

— Yes! Yes! Yes! — wykrzyknął ksiądz.

## **Julia**

— Tobiaszu, zaczekaj, proszę! - zawołałam, gdy zamyślony przechodził obok. Odwrócił się i przystanął. Podeszłam do niego bardzo blisko.

— Muszę powiedzieć ci coś ważnego.

— Słucham, Julio...

Nie spodziewała się tego, co zrobiła. Objęła go za szyję i przycisnęła swoje usta do jego warg.

— Co robisz, Julio — chciał krzyknąć, lecz z ust, które zachłannie całowała, wydobył się tylko zduszony szept. Bronił się resztkami sił wbrew sobie.

— Kocham cię — wyznała. — Czy nie tego chciałeś?

— Masz męża, Julio — upomniał mnie. — Twoją miłością zawsze był Adam.

— Po tym, co powiedział o tobie, nie chcę go znać! Zbyt długo się oszukiwałam. Dzisiaj zrozumiałam, że całe życie nie kochałam Adama, tylko ciebie...

Tobiasz zacisnął dłonie na moich ramionach, aż zabolęło, lecz nie cofnęłam się.

— Nie wolno ci przekreślać długich lat szczęśliwego związku...

— To Adam go zniszczył — przypomniałam.

— Adam żałuje swoich słów, a ja wybaczyłam mu z serca — powiedział stanowczo. — Bez ciebie gotów zrobić coś głupiego. Znam go. Jest słaby. Nie wolno ci go teraz porzucać!

W jego spojrzeniu nie było czułości. Musiałam go przekonać. Dlaczego bronił Adama? Jego młodszy brat nie zasługiwał na to, czy tego nie widział?

— Wiem, że jesteś księdzem i potrafisz wybaczyć największy grzech, ale ja nie umiem. Nie chcę! Przejrzałam na oczy i wiem, co czuję. Kocham cię, Tobiaszu. Zawsze kochałam tylko ciebie...

Pomarańczowy cień na twarzy Tobiasza przybrał kolor czerwieni. Przestraszyłam się jego zimnego wzroku.



— Od dawna jest na wszystko za późno, Julio. - Zaśmiał się gorzko.  
— Wracaj do domu...

Odwrócił się i chciał odejść, lecz ja nie zamierzałam tak łatwo się poddać.

— Tobiaszu, proszę, wróć do mnie! Możemy zacząć nowe, lepsze życie...

— Nigdy nie porzucę dla ciebie kapłaństwa, Julio!

Nie oglądając się, oddalił się polną drogą w kierunku doliny. Spływała na niego czerwona poświata zachodzącego słońca.

— Tobiaszu, ale ja cię kocham...

Policzki paliły mnie żywym ogniem. Dopiero teraz dotarło do mnie, co zniszczyłam swoim wyznaniem. Zadałam śmiertelną ranę naszej przyjaźni. Już nigdy nie będzie między nami tak jak dotąd.

Usiadłam w trawie i pozwoliłam płynąć łzom. Cóż innego mi pozostało...

Proboszcz Andrzej Albero wznosił ręce i spojrzał na kościół wypełniony wiernymi.

— Mszę Świętą sprawujemy dzisiaj za spokój duszy naszej zmarłej siostry Marianny Sokół w siódmy dzień po śmierci oraz zmarłych z rodziny Sokołów, Zaborniaków i Stawarskich. Ksiądz Tobiasz modli się w osobistej intencji... Módlmy się...

Siedziałam w pierwszej ławce obok Jakuba. Gdyby nie on, nie przyszedłabym do kościoła. Nie mogłam cofnąć raz wypowiedzianych słów. Ale też cofnąć ich nie chciałam...

— Powstańmy.

Uniosłam głowę i spojrzałam na księdza.

— Świętego Pawła Apostoła List do Tymoteusza...

Napotkałam jego zimny wzrok. Zadrzałam, jakby nagrzanym słońcem kościołem zawładnęła nagle polarna noc. Tobiasz oparł dłonie na otwartych stronicach księgi. Mówił głośno, dobitnie i powoli.

— „Takie oto polecenie kładę ci na sercu, Tymoteuszu, synu mój, zgodnie z owymi proroczymi słowy, które ongiś nad tobą rozbrzmiewały (...) Chcę, żeby mężczyźni na każdym miejscu pobożnie wznosili ręce do modlitwy wyzbywszy się gniewu i swarów.

Już po pierwszym zdaniu zrozumiałam, że wyparł się mnie, a słowa płynące z jego ust zastąpiły kamienie. Nie myliłam się.

— „Podobnie mają niewiasty ukazywać się w godnej postawie, ubierać się przyzwoicie i skromnie. Niech się nie stroją w kunsztowne sploty włosów ani w złoto i perły lub kosztowne suknie; ozdobą ich niech będą dobre uczynki, jak to przystoi niewiastom oddanym służbie Bożej...”

Nie czytał, lecz recytował z pamięci... Patrzył na mnie i mówił tylko do mnie.

— „Niewiasta winna szukać pouczenia w cichości i w pełnej uległości. Nie pozwalam niewieście wykonywać urzędu nauczycielskiego. Nie wolno jej przywłaszczać sobie władzy nad mężem, lecz winna być cicha i powściągliwa...”

Wstałam, odwróciłam się i biczowana wzrokiem wiernych wyszłam z kościoła.

— „Bo najpierw został stworzony Adam, potem dopiero Ewa. I nie Adam został zwiedziony, lecz niewiasta uległszy pokusie popadła w grzech. Ale uzyska zbawienie przez macierzyństwo, jeżeli skromnie i wstydliwie trwać będzie w wierze, w miłości i świętobliwości...”

Słowa księdza niosły się głośnie echem nad lasem a jego głos był obcy i niewzruszony... Słyszałam go wyraźnie nawet wtedy, gdy odbiegłam bardzo daleko od kościoła. Dotknęłam dłonią chropowatej kory drzewa i pozwoliłam, by zwyciężył we mnie gniew. Nie osłabiał mnie i nie wyciskał łez, jakby ich źródło wyschło we mnie na zawsze.

## EPILOG

### Puszcza Solska, czerwiec 1944 rok

— Zostaniesz tu i przeżyjesz! — „Wichura” zacisnął palce na ramionach drobnego chłopca. Były dla niego jak uścisk żelaznej klamry. Na jego dziecięcej, piegowatej buzi malował się strach, który bezskutecznie próbował ukryć. — Czekał cierpliwie, wróć i wyciągnę cię stąd. Przysięgam!

„Rogaś” nie patrząc mu dłużej w oczy, posłusznie wszedł do cuchnącej jamy. Z całych sił *zacisnął zęby i bez słowa skargi* pozwolił dowódcy upchnąć się w błotnistej mazi. „Wichura” pracował w pośpiechu. Zgarnął błoto, maskując dokładnie miejsce, w którym postanowił zostawić chłopca, by dać mu chociaż najmniejszą szansę na przetrwanie.

Jest drobny i mały. Jeśli los będzie mu przychylny, przetrwa oblężenie w bagiennym wykrocie, oblepiony warstwą trawy i mchu. Jak Bóg da...

Już po chwili nad ziemią wystawała jedynie głowa „Rogasia.”. Teraz suche trzciny, mech i ściółka. Kopczyk nad głową. I kolejne kępy traw, by zamaskować całość.

— Możesz oddychać? - W głosie dowódcy słychać tłumioną rozpacz.

— Tak. Wytrzymam. Idź już - prosi.

Wszystko w nim zaprzecza tej prośbie. Zamyka oczy. Nie chce, by dowódca zrozumiał, jak bardzo chłopiec się boi. Jak pragnie, by wyciągnął go z bagna i zabrał ze sobą. Na śmierć... Ma ochotę żebrać i wyć, jednak zaciska zęby.

— Jestem żołnierzem — powtarza, zaciskając oczy. — „Wichura” po mnie wróci, bo nigdy nie łamie danego słowa. Wróci i zabierze mnie stąd. Muszę wytrwać!

— Niemcy idą od wschodu — dociera do niego stłumiony głos dowódcy. — Gdybym nie przeżył, odczekaj, ile będzie trzeba, a potem przedzieraj się do bazy. Suchy prowiant zakopaliśmy na „Jedynce”.

— Rozkaz!

Strach dławi mu krtań, ale chce być dzielny.

— Oni są blisko...

— Bóg z tobą, synu! — „Wichura” odwraca wzrok, by ukryć łzy płynące po policzkach. — Bóg z tobą...

Potem tylko płacze bezgłośnie, wsłuchany w strzały i krzyk dobiegające z doliny Sopotu. Odgłos karabinów i świst granatów kołyszą go do snu w bagnistej topieli. Gdy wraca świadomość, walka wciąż trwa. „Wichura” i jemu podobni drogo sprzedają swoje życie. Modli się za nich, dopóki dochodzi do niego echo bitewnej wrzawy. Przeciągająca się cisza powoli odbiera mu nadzieję.

Kolejny raz zapada zmrok. Ziemia jest mokra i lepka od deszczu. Komary i meszki wdzierają się do oczu, nosa i ust. Nie pozwalają oddychać. Skłute boleśnie ciało, niczym opuchnięta, piekąca rana przypomina małemu partyzantowi o tym, że wciąż żyje.

Niemcy są wszędzie. Na wyciągnięcie ręki. Wytresowane nozdrza niemieckich wilczurów tuż przy jego kry-

jówce łapią trop. Deszcz i wilgoć miesza zapach ludzkiej zwierzyny ze zwierzyną leśną. Oba gatunki nie mają dzisiaj szans. Błyszczące oficerki zapadają w bagno tuż przy głowie chłopca.

Przeczesaują Puszcę centymetr po centymetrze. Słyszy, jak zabijają tych, którzy podobnie jak on ukrywają się w bagnach, wykrotach i na drzewach. Patrzy, jak giną w nierównej walce o przetrwanie, wplątani w sidła jak zwierzęta. Strach odbiera mu zmysły. Przynosi ulgę, odbierając świadomość. Kontakt z rzeczywistością jest nieludzkim cierpieniem.

Nie pamięta, jak długo tkwi w bagnie. Echo walki umilkło, wszystko wokół wypełnia przerażająca cisza. Resztkami sił wygrzebuje się z kryjówek i po omacku czołga się przed siebie. Mija czas. Czerwcowe noce ciągną się mrokiem całą wieczność. W dzień śpi ukryty w bagnie. Nocą zbiera siły, by pełznąć dalej.

Jest sam. Wokół tylko trupi odór i grzęzawiska. Spieczonymi gorączką wargami bezgłośnie woła o pomoc. Natrętne pragnienie każe mu pełznąć wciąż przed siebie. Gdzieś tam szumi potok... Jedyne słodki smak jagód łagodzi ból.

Już wie, że traci zmysły, gdy spod przekrwionych powiek dostrzega wpatrzone w siebie żółte ślepie wilka. Noc i dzień zlewają się w jedno.

— Żyję jeszcze czy umarłem? — Szepcze i odwraca głowę od cuchnącego padliną oddechu zwierzęcia. Potężny, szary wilk podchodzi coraz bliżej. Droga ucieczki jest zamknięta. — Widocznie nadszedł czas! - Zamyka oczy, czekając w napięciu na pierwsze, rozwścieczone szarpnięcie dzikich

kłów. Prosi Boga, by umrzeć od razu. Odchyła szyję, czekając na śmierć.

Nie czuje bólu. Lodowaty strumień nienawiści rozlewa się w jego wynędzniałym ciele, zastyga w klatce piersiowej na podobieństwo sopła lodu.

— *Pomścisz ich* — szepcze głos. — *Odpokutują za wszystkie krzywdy, które ci wyrządzili- Ja wskażę ci drogę.*

— Czy to sen? — Nie wierzy już w bajki, ale uczucie, którego doświadcza, nasuwa wspomnienie baśni o Królowej Śniegu. Okruch z rozbitego zwierciadła wpada do oka Kaja, zamieniając jego serce w zimny, nieczuły lód. To samo dzieje się z sercem „Rogasia”. Złą Królową Śniegu jest wojna.

— „Gerda”, „Wichura”, „Wilk” - szepcze. - Nigdy nie starczy wam sił, by mnie odnaleźć...

Ciąg dalszy nastąpi w III części sagi o wiedźmach z wrzosowisk pt. „Uroczysko”.